fr. Cas. Ćwikliński.
fr. Thomas Wieprecht
fr. Lucianus Wiza O.M.C.

MANE, THEKEL, FARES

czyli **RĘKA BOŻA**

RZĄCA ZUCHWAŁYCH GRZESZNIKÓW, BLUŹNIERCÓW I BEZBOŻNIKÓW.

Pamiątka Od. Ojca Franciszka Barszczaka

Dla Wizy.

OŚWIADCZENIE AUTORA.

Autor oświadcza, że znacznej części faktom przytoczonym w tej pracy przypisuje tylko pewność moralną, czysto ludzką, a gdzie chodzi o kwestje sporne wyraża tylko osobiste zdanie, zawsze gotowe do poddania się w zupełności decyzji Kościoła rzymsko-katolickiego.

Mane, Thekel, Fares

czyli **RĘKA BOŻA**

KARZĄCA ZUCHWAŁYCH GRZESZNIKÓW, BLUŹNIERCÓW I BEZBOŻNIKÓW.

Wiązanka faktów, zebrana przez **V. G.**

w tłomaczeniu

CELINY ŁĘSKIEJ.

243

Sprawiedliwość Boża wydaje się działać bardzo wolno. Jakżeż często spóźnia się! mówią. Ile potęgi i mocy zostawia w rękach nieprzyjaciół Boga i Religji! Ile powodzenia i ziemskiego szczęścia im udziela! Tak, ale oni żyją, idą ku śmierci, upadają, a Bóg jeden pozostaje wielki.

Ludwik VEUILLOT.

WARSZAWA
NAKŁADEM „PRZEGLĄDU KATOLICKIEGO“ WARECKA 15
1912

Cena 1 rb., setka 75 rb.

Manuscriptum, cui titulis: **„Mane, Thekel, Fares** czyli **Ręka Boża karząca zuchwałych grzeszników, bluźnierców i bezbożników. Wiązanka faktów.**" nullo circa sacram fidem ac bonos mores laborare errore, typisque imprimiri et vulgari posse testor.

Varsaviae, die 4 Augusti 1910 a.

Franciscus Brzeski
Protonotarius Aplicus, Praelatus Lovic.
Curat. S. Andr. libr. rel. arg. in Archd. Censor.

Nr 5123.

APPROBATUR.

Varsaviae, die 19 Septembris 1910 a.

Judex Surrogatus Praelatus Metropolitanus

Leopoldus Łyszkowski.

Secretarius

Al. Sękowski.

Czcionkami drukarni „Przeglądu Katolickiego," Warszawa, Hortensja 3.

OD WYDAWCY.

Książka niniejsza p. t. *Mane, Thekel, Fares*, czyli *Ręka Boża karząca zuchwałych grzeszników, bluźnierców i bezbożników* przyjęta została w świecie katolickim z żywem zainteresowaniem, czego dowodem jest kilka ich wydań zagranicą, co skłoniło nas do wydania jej w polskim przekładzie, gdyż ów szereg faktów, sprawdzonych sumiennie, z przedstawieniem źródeł, wymowniej przemawia do serca i umysłu niż najgorliwsze napomnienia.

Wiemy dobrze o tem, niestety, że bezbożnicy z uśmiechem szyderczym wymawiać zwykli owe słowa: „Ręka Boża“ mówiąc, jako ów szaleniec, o którym wspomina Psalmista. „Zgrzeszyłem, a cóż mi się złego stało?“

Na szczęście jednak nie wszyscy ośmielają się zaprzeczać zuchwale, że sprawiedliwość Boża nie istnieje, zwłaszcza w polskim narodzie wiara szczera i gorąca żyje, i żyć będzie niezachwianie; bojaźń Boża złotemi głoskami wypisaną była w sercach naszych przodków, bojaźń Bożą matki zaszczepiały

w młodociane dusze swych dziatek, one to dodawały rycerzom otuchy i zagrzewały do boju, one pozwalały w pokorze znosić ciosy i klęski, a jeśli w obecnej dobie odzywają się niekiedy głosy buntowników, chcących zniweczyć zuchwałemi napaściami świętą wiarę w sprawiedliwość wyroków Bożych, są to jednostki tylko, jakby zgangrenowane członki społeczeństwa, które jednak nie zdolne są ów rozkład moralny rozszerzyć do tego stopnia, aby cały organizm narodowy nim zarazić!

Zastanowiwszy się głębiej i wniknąwszy w rdzeń wykazanej w tej książce myśli przewodniej, widzimy, że od dawniejszych czasów, jeśli sięgniemy nawet do źródeł literatury pogańskiej, spotykamy pojęcie o potędze nadprzyrodzonej, wymierzającej sprawiedliwość według zasługi. Weźmijmy np. jeden z najsłynniejszych dramatów greckich, opiewających dzieje Edypa i Antygony, zaliż nie uderza w nim głębokie poczucie straszliwej pomsty nieba?...

Pismo św. nas uczy, iż dopiero w przyszłem życiu Bóg każdemu wymierzy zapłatę. Ziemia nie jest królestwem prawdy i sprawiedliwości, nieraz bowiem zdarza się widzieć ludzi szlachetnych, cierpiących niewinnie, znoszących prześladowanie, narażonych na wzgardę, a natomiast źli i podli cieszą się uznaniem i pozorny tryumf odnoszą nad cnotliwymi.

Z tego to właśnie każdy umysł, głębiej zastanawiający się nad tajemnicą bytu, czerpie pewność

niezachwianą, o konieczności przyszłego życia, w którem bezwzględna panuje sprawiedliwość.

Bóg nie może być twórcą zła, ale w swej mądrości najwyższej dozwala, aby zło chwilowo tryumfowało, dlatego iżby tem więcej zajaśniały przy nim cnoty. Gdyby nie było katów i oprawców, nie byłoby też męczenników. Gdyby cnota otrzymywała stale nagrodę już w tem życiu, przestałaby być zasługą, gdyż miałaby źródło w samolubnych instynktach. Ponieważ jednak najczęściej jest zgoła przeciwnie i cnota ciernistą przechodzi drogę, o ileż większą ma wartość, gdy spotykamy ją niewzruszoną wśród zepsutego i przewrotnego świata!

Sam Jezus, najsprawiedliwszy wśród sprawiedliwych był tu na ziemi zapoznany, prześladowany, umęczony.

Ewangelja mówi nam, że nie jest uczeń wyższy nad Mistrza i oczekiwać powinien takiego samego jak On prześladowania.

Tak więc główną zasadą, o której nie należy zapominać, w danym razie jest ta, iż kara Boża, dotykająca występne jednostki w doczesnem życiu, nie może być uważaną za ogólną normę, albowiem widzimy, że Bóg *„jest cierpliwy oddawacz,“* często-kroć pozostawia wymierzenie sprawiedliwości na czas późniejszy, ale ciężko będzie winnym stanąć przed obliczem Pańskiem, jeśli usłyszą głos Sędziego Najwyższego, który rzeknie im: *Oraliście niezbożność, żęliście nieprawość, jedliście owoc kłamstwa.* (Ozeasz 10—13).

Klęski zsyłane na całe narody z woli Opatrzności są niekiedy próbą, niekiedy zaś karą Bożą.

Doświadczał Pan Tobiasza, albowiem miłym on był Bogu. Ale widzimy również na przykładach z Biblji czerpanych, że Kain, Koresz, Datan, Abiron, Heliasz, Oziasz, Baltazar i wielu innych zostali ukarani jawnie za nieprawości swoje.

Kiedyż więc Bóg doświadcza przeciwnościami, a kiedy karzące swe wyciąga ramię?

To proste pytanie nastręcza uwagę, jak dalece oględnymi winniśmy być w sądzeniu faktów i jak starannie rozważać towarzyszące im okoliczności. Wszelako w bardzo wielu razach karząca ręka Boża ukazuje się wyraźnie i piętnuje winnych w sposób straszliwy, aby wiedzieli, *iż przez co grzeszy, przez to karan bywa.* (Mądr. 11. 17).

Podając czytelnikom naszym ten szereg faktów, tak jasno uwydatniających wielką sprawiedliwość Bożą, sądzimy, iż przysłużymy się dobrze naszemu społeczeństwu, ponieważ książka niniejsza ma znaczenie apologetyczne, czyta się przytem z zajęciem, budzi lęk grzechu i nastręcza temat do budujących nauk i kazań.

Być może spotka nas zarzut, który z naszej strony uważamy za bezzasadny, lecz z którym spotkaliśmy się już niejednokrotnie w naszej działalności wydawniczej, że wszystkie podane tu fakta są zaczerpnięte z obcej niwy.

Na to odpowiedź prosta:

Sprawiedliwość Boża jest przedewszystkiem

międzynarodową: korzystamy w danym razie ze źródeł pewnych, przytaczamy wydarzenia sprawdzone i nie ulegające wątpliwości. U nas, aczkolwiek możemy twierdzić śmiało, że mniej daleko podobnych faktów dałoby się naliczyć, niemniej słyszymy nieraz o boleśnych wypadkach, o świętokradztwach, o bezbożnych szyderstwach, i o tem jako według słów psalmisty: *w uczynkach rąk swoich pojmany jest grzesznik.* (Psalm 9—17).

Dlatego więc, niech te przykłady sprawiedliwości Bożej znajdą się w ręku każdego, niech będą współrodakom naszym wskazówką, iż *kto miłuje nieprawość, ma w nienawiści duszę swą.* (Psalm 10. 6). A *kto sieje nieprawość, będzie żął nieszczęście.* (Przyp. 22—8).

Książkę tę zamykają wywody autora o znakach zbliżającego się końca świata. Niepodzielając wywodów autora pod względem blizkości tego czasu, umieściliśmy jego studjum dla całości obrazu w wiernem tłomaczeniu, przestrzegając zbyt wrażliwe dusze, aby czysto ludzką temu tylko dawały wiarę, ze względu, że dzień końca świata całkowicie spoczywa ukryty w mądrości Boga.

Przekład tej książki zawdzięczamy ś. p. Celinie z Tymowskich Łęskiej, gorliwej katoliczce, która ostatnie miesiące życia spędziła nad tą pracą, dla pożytku współbraci podjętą.

Bóg nie dał Jej doczekać się ujrzenia w druku tej pracy, ani kilku innych, pozostawionych w rękopisie, które niebawem pozostała rodzina zapewne

dla pożytku wiernych katolików postara się wydać, mnożąc przed Bogiem i społeczeństwem zasługi tej nieodżałowanej obywatelki—polki, tak przedwcześnie zgasłej.

Chyląc czoło przed niezbadaną drogą Opatrzności polecamy modlitwom czytelników duszę tej Bożej Pracowniczki, która wiele jeszcze zamierzała na ziemi uczynić dla pożytku Kościoła w kierunku piśmienniczego ruchu literackiego.

Komu ta książka trafi do przekonania a do gorliwszej służby Bożej pobudzi, niechaj odmówi Zdrowaś Marja za duszę ś. p. Celiny Łęskiej.

Ks. Dr. Z. Skarżyński.

PRZEDMOWA OD AUTORA CZWARTEGO WYDANIA.

Niech powstanie Bóg, a niech się rozproszą nieprzyjaciele Jego, a niech uciekają, którzy Go nienawidzą od oblicza Jego.
(Ps. LXVII—2).

Niechaj nam wolno będzie najpierw gorąco podziękować czytelnikom za życzliwe przyjęcie, jakiem zaszczycili skromną naszą pracę. Około trzech tygodni starczyło, aby *Ręka Boża karząca zuchwałych grzeszników, bluźnierców i bezbożników* drukowana w 3000 egzemplarzy rozeszła się po całej Francji i Zagranicy, w obecnej zaś chwili zamówiono już 400 tomów na wydanie czwarte.

Czemu przypisywać mamy to nieoczekiwane powodzenie? Ani osobistość nasza nieznana, ani wielki nakład pracy nie grały w tem żadnej roli.

Bo cóż myśmy zrobili? Oto poprostu zbieraliśmy kłosy rozrzucone na polu historji i tradycji, a ująwszy je więzią w snop, ustawili. Bóg dokonał reszty, to wpływ Jego Ręki... to Jego dzieło!

Zaiste! przykładne kary wyzierające z każdej stronnicy tej książki, są wyrazem woli Opatrzności, która drwiąc z pychy naszej wymierza ciosy, zmuszające człowieka do pobożnego okrzyku, pełnego trwogi: „Palec Boży jest w tem.“ Digitus Dei est hic!

Nie! Nie zawsze Bóg czeka wieczności, aby zasłużoną karę wymierzyć, często przed ostatecznem uregulowaniem rachunku Sprawiedliwość Jego już tu na ziemi objawia swój „gniew“ według śmiałych słów Pisma św. i od niektórych wielkich zbrodniarzy straszliwych żąda zadatków.

A łatwe ku temu używa środki! Czytamy w księdze przypowieści, że Boża Mądrość „działa,“ działa bezustannie w obliczu Boga, działa we wszechświecie. Do piorunowych gromów nie zawsze odnosić się jej potrzeba... jakieś nic... drobiazg—jest uprzywilejowaną Jej bronią. Dla zgładzenia armji nasyła komary, dla pogrążenia takiego Antjochusa do robactwa i zgnilizny się ucieka, chcąc zwalczyć pychę Filistynów rozkazuje Samsonowi uśmiercić ich oślą szczęką.

Nie osłabło dotąd Ramię Boże i druzgocze w dalszym ciągu.

Wszystkim bezczelnym przeniewiercom, wzgardzicielom Tajemnic św. tym, którzy krzyże niszczyli, ucztującym w Wielki Piątek, ateuszom, obrazoburcom, włamywaczom, masonom, Sprawiedliwość Boża odpowiada najczęściej — o gorzka ironjo! — pokaraniem podobnem do uczynionej przez nich zniewa-

gi. Istotnie bardzo wiele tragicznych zgonów nosi piętno historycznego *Prawa odwetu!...*

Kto potrafi zgłębić niezbadane wyroki Boga? Na Kalwarji obok Zbawiciela dwóch łotrów ko-ła, tego samego dnia jeden z nich w stronę piekła pada, drugi ku niebu się wznosi. O tajemnico nie-dosięgła! Sprawiedliwości! Miłosierdzia!

Kilku ludzi jednakowy grzech popełnia. Ten a miejscu zbrodniczego czynu piorunującą odnosi karę i skazany jest na ogień wieczny, ów po cięż-kich cierpieniach umiera z wszelkiemi oznakami po-kpienia, inny znów dla paru dobrych uczynków popełnionych przez ciąg życia nagrodzony będzie zni-komem powodzeniem tu na ziemi, powodzeniem przyczyniającem się, niestety, do tym większego za-klepienia, które zanurzy go głębiej jeszcze w osta-teczną zatwardziałość serca.

Czwarty wreszcie po bolesnem odpokutowaniu noszonem cierpliwie karzącemu go Bogu łzy żalu swego złoży w ofierze tak długo, aż śmierć go wy-woli od smutków życiowych i nie rozewrze przed nim wrót Nieba.

Czemuż taka różnica? To tajemnica jest Boga, którego Sprawiedliwość i Miłosierdzie tak jak i in-ne Boże przymioty są niezmierzone i niezbadane.

Oby liczne zdarzenia, jakie opowiedzieć mamy wyryły głęboko w duszach ludzkich *lęk przed Bo-giem będący początkiem mądrości,* a tym samym użyć mogły do skarcenia złych ludzi i utwierdze-

nia w cnocie ludzi dobrych wśród walk i strapień chwili obecnej.

Takiem jest, o Jezu! nasze najgorętsze pragnienie, składamy je w przybytku twego najświętszego Serca ku wprowadzeniu na ziemi królestwa Bożego. Racz je przyjąć i nam pobłogosławić.

V. Gourdel.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	str.
Od wydawcy	V
Przedmowa autora	XI
Słowo wstępne	1
Rozdział I. Ręka Boża, karcąca gwałcicieli praw bożych przed Narodzeniem Jezusa Chrystusa	5
Roz. 2. Ręka Boża, karząca prześladowców Jezusa Chrystusa	10
Roz. 3. Ręka Boża, karcąca Bogobójczą Jerozolimę	12
Roz. 4. Ręka Boża, karcąca prześladowców Kościoła w ciągu pierwszych trzech wieków.	14
Roz. 5. Ręka Boża, karząca Herezjarchów	21
Roz. 6. Ręka Boża, karcąca bluźnierców i bezbożników czyli ateuszów.	24
Roz. 7. Ręka Boża, karcąca za zniewagę Eucharystji	37
Roz. 8. Ręka Boża, karcąca przeciwników spowiedzi wielkanocnej	50
Roz. 9. Ręka Boża, karcąca ludzi pracujących w niedzielę	54
Roz. 10. Ręka Boża, karcąca podróżujących w niedzielę	66
Roz. 11. Ręka Boża, karcąca lżących Imię Marji.	70

str.

Roz. 12. Ręka Boża, karcąca ucztujących w Wielki Piątek 91
Roz. 13. Ręka Boża, karcąca znieważców świętych Pańskich 99
Roz. 14. Ręka Boża, karcąca znieważców rzeczy świętych 116
Roz. 15. Ręka Boża, karząca zbrodnie spełnione na męczennikach Wandejskich 121
Roz. 16. Ręka Boża, karcąca tych, którzy lżą krzyż św. Chrystofobia (krzyżowstręt). . 143
Roz. 17. Ręka Boża, karząca wrogów Papieża . 178
Roz. 18. Ręka Boża, karząca dwóch najsłynniejszych filozofów XVIII wieku 196
Roz. 19. Ręka Boża, karząca królobójców . . 202
Roz. 20. Ręka Boża, karząca zabójców księży w dyecezji Seez 211
Roz. 21. Ręka Boża, karząca wrogów Kościoła w XIX wieku 218
Roz. 22. Ręka Boża, karząca wrogów duchowieństwa i religji 228
Roz. 23. Ręka Boża, karząca włamywaczy i grabieżców domów Bożych 243
Roz. 24. Ręka Boża, karząca nabywców dóbr kościelnych 258
Roz. 25. Ręka Boża, karząca Martynikę . . . 263
Roz. 26. Ręka Boża, karząca Włochy 267
Roz. 27. Dodatek do czwartego wydania. . . 272
Roz. 28. Ręka Boża, czuwająca nad Francją . 321
Nauka oparta na dowodach. Znaki szczególne poprzedzające koniec świata 326

SŁOWO WSTĘPNE.

Chcąc określić objawy sprawiedliwości Boga na tym świecie, Pismo św. posługuje się do tego trzema wyrażeniami: 1) *Ręka Boża,* 2) *Palec Boży,* 3) *Ramię Boże.* W języku powszednim dwa pierwsze równobrzmiące mając znaczenie, mówią nam o działaniu Opatrzności na jednostki. Ramię Boże oznacza tę samą działalność, ale w obszernym zakresie przy wielkich objawach boskiej potęgi takich, jak piorun, grad, burze, trzęsienie ziemi, głód, dżuma, wojna lub inne tym podobne przewroty w społecznym lub przyrodzonym porządku.

Zdarzenia tu opisane są właśnie objawami tej Sprawiedliwości karzącej, której *Ręka i Ramię* cięży niezmiennie na jednostkach i narodach przez wieki całe.

Fakta te przytaczamy tak, jak nam je przekała *ustna i pismem* uwieczniona opowieść, a częstokroć obydwie społem.

Wydarzenia, będące poza wątpliwością wszelką i stwierdzone głosem ogółu, wciągamy do szeregu innych bez wnikania w ich źródła. Co się tyczy mniej znanych dowodów Sprawiedliwości Bożej przytaczać będziemy czasopisma, z których zaczerpnięte zostały, jako też nazwiska objaśniających nas osób.

Tygodniki religijne różnych dyecezji dostarczyły pod tym względem cennych i licznych wiadomości. Gdyby cokolwiek w pismach owych nie miało cechy istotnej prawdy, w krótkim przeciągu czasu postaranoby się o sprostowanie, które przecież ze względu na blizkość miejsc wydarzeń zbadać byłoby łatwo.

Obok kar doraźnych, przez prasę stwierdzonych, znajdują się również czerpane z tradycji ustnej, ale i one stają się pewne z chwilą, gdy na ich udowodnienie przedstawić można cały stos świadectw, otrzymanych od osób wiarogodnych.

Historyczna pamięć ludzi zaćmiewa się łatwo i nie wiele czasu potrzeba, aby pewne fakta przeistoczyły się zupełnie lub uległy zapomnieniu. Można się czuć szczęśliwym, napotkawszy poważne świadectwa, mówiące na poparcie swych twierdzeń: „w tym a tym czasie istniała ogólna świadomość tego lub owego faktu, o którym dzisiaj niestety zapomniano!“ Zapewne, świadectwo to jest tylko nicią ustnego podania, ciągnącą się przez długie wieki, starczy ono wszelako do stwierdzenia prawdy.

A teraz nasuwa się pytanie, czy wszystkie przy-

toczone przez nas wypadki noszą piętno wiecznego potępienia? Niechaj czytelnicy sami rzecz tę osądzą.

O umiejętność zbadania tajemnych wyroków Opatrzności nie nam kusić się zuchwale!... O. Ravignan powiada: „Nie można wiedzieć ani udowodnić tego, co się dzieje w ciężkich chwilach konania ludzkiej istoty; żadne odgraniczenie ani niemożliwość nie ma miejsca pomiędzy Łaską a duszą dopóki tli iskra życia w ciele umierającego człowieka“.

Ale, o ile o żadnym grzeszniku w pojedyńczym wypadku powiedzieć nie można, że gorzeje w ogniu piekielnym, o tyle wstrzymujemy się w dwójnasób od umieszczania w Niebie jawnych bezbożników, którzy do ostatniej godziny życia, urągliwie prześladowali Religję. Czytając dzieła Ojców Św. nie widzimy nigdzie śladu, aby wierzyli w zbawienie Arjusza, Nestorjusza i Juljana Apostaty. A w bliższych czasach, któż z pomiędzy katolików dopuszcza w myśli zbawienie Lutra, Kalwina, Woltera i tylu innych, którzy po życiu bezbożnem zgaśli w hańbie bez żalu i pokuty.

Mamy słuszną obawę, że ludzie ci zmarli w uczuciach, jakim hołdowali za życia, lubo z głębi serca pragnęlibyśmy, aby w chwilach swego przejścia z czasu do wieczności w umęczonej ich duszy zabłysła iskra doskonałego żalu, która drzwi Raju otwiera.

Niewątpliwie spotka nas tylokrotnie powtarzany zarzut, że przytoczone fakty czerpiemy z historji i życia obcych narodów. Gotową jednak mamy od-

powiedź, że dotąd nie zajmowano się u nas zbieraniem i notowaniem podobnego rodzaju wypadków, brak jest więc zupełny odpowiednich materjałów. Zresztą u nas, dzięki Bogu, do ostatnich lat przykłady jawnej, zaciekłej bezbożności były bardzo rzadkie. Niestety, ostatnie czasy bardzo nas zbliżają do objawów i wypadków, opisanych w tej pracy, stąd też myślimy, że ogłoszenie ich będzie bardzo pożyteczne ku przestrodze rozwielmożniającej się niewiary i bezbożności w naszym kraju.

I.

Ręka Boża, karcąca gwałcicieli praw bożych przed Narodzeniem Jezusa Chrystusa.

I rzekli czarownicy do Faraona: „Palec to Boży." I zatwardziało serce Faraonowe i nie posłuchał ich, jako przykazał Pan:
Ks. Wyjścia VIII, 19.

Na początku, przed wiekami, aniołowie podnoszą sztandar buntu, lecz rażeni sprawiedliwością Bożą padają na dno piekieł.

Praojciec ludów Adam nieposłuszeństwem naraził się Bogu i odtąd dzieje cierpień naszych będą dziejami jego grzechu.

Kain brata swego zabija, a krew Abla woła o pomstę i w ślad za tem następuje życie jego tułacze i bezdomne.

Czemże jest potop, jeżeli nie znakiem widomym pomsty Bożej, śmiercią karzącej ludzkość przewrotną i znieprawioną?

Czemże wieża Babel, jeśli nie jawną obecnością tej Ręki, co unicestwia szaloną pychę człowieka?

Bóg wybrał między narodami lud uprzywilejowany i podobało Mu się obdarzyć go względami swemi. Lecz Izrael zbyt często niewdzięcznością dobroczyńcy swemu odpłaca, opuszcza Go i bałwanom cześć oddaje! Aby lud ten upokorzyć i sprowadzić na drogę obowiązków Ręka Boża wymierza surową karę.

Przeglądając Pismo Św. na każdym kroku widzimy piorunującą potęgę Boskiej sprawiedliwości.

Na ołtarzu ofiarnym synowie Aarona rozniecają ogień ku czci fałszywych bogów, w odpowiedzi Bóg ciska ogień święty, który ich w Obliczu Pana zabija.

Kore, Datan i Abiron spiskują przeciw Mojżeszowi i Aaronowi, na co ziemia się rozwiera i pochłania ich żywcem.

Pewien Izraelita bluźni przeciw świętemu Imieniu Boga: „Wyprowadzić tego bluźniercę poza obóz“ - rzekł Pan Mojżeszowi — i niech go lud wszystek ukamienuje“.

Przydybano innego w dzień Sabbatu na zbieraniu drzewa i po odniesieniu się w tej sprawie do Boga, odebrano rozkaz poddania go temu samemu męczeństwu.

Jakże straszną jest Ręka Boga, opadająca na głowę arcykapłana Heli, który przez słabość zaniedbał ojcowskiego obowiązku, i w skutek tego utracił dwóch synów w kwiecie wieku. Arka Przymierza przechodzi do rąk nieprzyjaciół, 30,000 ludu ginie na placu, a na wieść tej klęski oczy dziewięćdziesięcioośmio-

letniego starca bielmem zachodzą, pada on na wznak z rozbitą czaszką i kona.

Niemniej widocznie nam się przedstawia mściwy odwet Jehowy względem ciemiężycieli jego ludu w Egipcie. „Palec Boży jest w tem“ mówili czarnoksiężnicy, „Sprawiedliwym jest Bóg, jesteśmy bezbożnikami ja i naród mój“ wołał Faraon.

Ozjasz, wbrew zakazowi, chwyta za kadzielnicę i wypełniać chce czynności, do których nie ma prawa: „Wstrzymaj się książę“, nawołuje go arcykapłan. „Kapłanom tylko ten obowiązek przysługuje, opuść miejsce święte, gdzie ci wejść wzbroniono. Prawami Bożemi nie pogardzaj. Strzeż się kary za nieposłuszeństwo“! Lecz Ozijasz, posunąwszy się zadaleko, wstydzi się odwrotu. Zaślepiony gniewem, kapłanom grozi, w tejże chwili dotyka go sromotna choroba, zmuszająca żyć zdala od ludzi do końca życia.

Gdy bezbożny i srogi Antioch wymawia te śmiałe słowa: „Pójdę do Jerozolimy i z miasta tego uczynię wspólny grób Izraela“, — dotyka go Bóg raną ukrytą i nie dającą się zgoić. Robactwo toczy ciało jego, które kawałkami odpada. Nędzną umiera śmiercią, nie z ręki ludzkiej, jak mu to na dwa wieki przedtem prorok Daniel przepowiedział: Bóg naznaczył czas trwania prześladowania i dozwolił bezbożnemu królowi przez lat sześć znęcać się nad swym ludem.

Pikanor kapłanom grozi wywróceniem ołtarzy, rozwaleniem świątyni do posad i wzniesieniem in-

nej w to miejsce ku czci Bachusa. Wkrótce pobity, wraz z wojskiem, pada śmiertelnym ugodzony ciosem, a głowę jego zaniesiono do Jerozolimy i ze szczytu warowni na widok publiczny wystawiono: było to dla ludzi wiernych znakiem najwyższej opieki, a dla złych, gniewu Bożego.

Bez końca przyszło by fakta wymieniać, gdyż po wszystkie czasy, o każdej godzinie, wśród cieniów nocy lub w blasku dnia widoczną jest Ręka Boża, kreśląca, jak na uczcie Baltazara, te trzy wyrazy, streszczające w sobie karny kodeks jego praw: *Mane — Thekel — Fares!*

Mane: — Bóg liczy nieprawości ludu swego: *Thekel*: waży je na wadze swej sprawiedliwości: *Fares:* — gdy wypełnia się miara, wyrok swój głosi. Zatwardziały, niepoprawny Izrael trwa w zbrodniach i bezbożności. Naród ten zgładzony na zawsze: pozostało z niego tylko jedno pokolenie Judy, lecz Juda nawet nie zachował przykazań Pana i Boga swego, i błądził błędami Izraela.

„Wówczas, mówi wielki pisarz, wzbudził Bóg na wschodzie, króla pysznego i groźniejszego od wszystkich dotąd znanych. To Nabuchodonozor król babiloński, najokrutniejszy ze, zdobywców. Więc Bóg ukazuje go w dali ludziom i królom, jako mściciela dla karania ich przeznaczonego. Zbliża się, a trwoga przed nim kroczy. Podbija Jeruzalem poraz pierwszy i część ludności do Babilonu pędzi. Mściciel wraca do Judei, a jarzmo niewoli nad Jerozolimą się zacieśnia; lecz miasto nie zbu-

rzone jeszcze, dopiero, gdy zbrodnie przepełniły miarę i pycha wraz ze słabością woli po nad miarę urosła, Nabuchodonozor w proch wszystko ściera. Bóg nie szczędzi swego Przybytku. Ta cudna świątynia, ozdoba świata, w ogniu Assyryjczyków się pali. Oto upadek ludu Bożego miał dla świata stać się nauką. W bezbożnej a zarazem zwycięzkiej postaci tego króla widzimy czem są zdobywcy. Po większej części są oni narzędziami pomsty Bożej, Bóg sprawiedliwość swoją przez nich pełni i im samym ją wymierza.

„Wszystko upada, wszystko powalonem jest sprawiedliwością Bożą, której wykonawcą staje się Nabuchodonozor, sam z kolei pogrążony, lecz Bóg posiłkujący się ręką tego księcia do ukarania swych dzieci i zgnębienia nieprzyjaciół, zachowuje na długie lata jego, jako narzędzie dla swojej wszechpotężnej Ręki.

„Zwycięski książe, syt chwały, zasiadał w Babilonie, z którego największe, najpotężniejsze i najpiękniejsze pod słońcem uczynił miasto. Tej chwili Bóg czekał, by pychę jego zdruzgotać. Gdy napawał się pięknością Babilonu i własną dumą, a w swojem mniemaniu wzniósł się ponad ludzkością, Bóg miażdży go, odbiera rozum i do zwierzęcego stanu doprowadza.

II.

Ręka Boża karząca prześladowców Jezusa Chrystusa.

„Ich utrapienie równać się będzie ich zbrodniom". Bossuet.

Pierwsze czasy istnienia Kościoła ukazują nam krwawy całun pokrywający popioły męczenników, tych najszlachetniejszych jego synów, oraz karę wymierzoną ciemiężcom, którzy do ciągłych podniecali rzezi, by życie chrześciaństwa stłumić w kolebce.

U szczytu Kościoła widnieje Boski Jego Założyciel Jezus Chrystus. Więc zaledwie stopą ziemi dotknął stał się przedmiotem prześladowania.

Ale wówczas, jak zawsze, prześladowcy jego już w życiu doczesnem ciężką ponoszą karę.

Herod, który dla zgładzenia Go z tego świata rzeź świętych Niewiniątek zarządził, umiera robactwem stoczony (w 2-im roku ery chrześcijańskiej).

Syn jego Herod Antipater przez zbrodniczą usłużność, poświęcający głowę św. Jana zajadłości swej nałożnicy, ten sam, który na znak szyderstwa białą suknię Syna Bożego przyoblec rozkazał, jako

wygnaniec nędznie ginie w Lugdunie z Herodyadą roku 40-go ery chrześciańskiej.

Kaifasz za śmiałość domagania się wyroku śmierci przeciw Jezusowi, nie uniknął ogólnego losu. Pozbawiony godności arcykapłana przez Witeljusza, zabił się z rozpaczy.

Pontski Piłat zaś, którego shańbione imię po wieki zostanie do pręgierza symbolu Wiary przybite, Piłat, skazujący na biczowanie i ukrzyżowanie Jezusa, pomimo uznanej jego niewinności, tenże Piłat łask cesarza Augusta pozbawiony, wygnany został do Galji, gdzie samobójstwem również skrócił sobie życie (Rok 59 ery chrześć.).

Ale ponad wszystkie imiona istnieje, jedno zohydzone wiekami, a imie to *Judasz*. Nikomu tajnym nie jest tragiczny jego koniec: rozpacz stryczek mu podała — powiesił się. Ciało pękło, a jelita zasłały ziemię.

Niemniej przerażającej kaźni uległ Herod Agrippa za uwięzienie św. Piotra i ścięcie św. Jakóba. Gdy pijany pychą, król słuchał w teatrze pochlebstw tłumu wołającego: *„Nie ludzki to głos, lecz Boski“* dotknął go Anioł Pański i bezbożnik nagle bólami obezwładniony, żywcem przez robactwo stoczony został w 7-ym roku swego panowania a 44 po ur. Jezusa Chrystusa.

III.

Ręka Boża, karcąca Bogobójczą Jerozolimę.

„Albowiem przyjdą na cię dni, obtoczą się nieprzyjaciele twoi wałem i oblegną cię i ścisną cię zewsząd: i na ziemię cię obalą i syny twoje, którzy w tobie są: a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu.“

(św. Łukasz rozdz. 19).

Słaba, zaiste, była kara, jaką Bóg Żydom wymierzył przez Nabuchodonozora w porównaniu z klęską, zadaną za pośrednictwem Tytusa. Jakież miasto było świadkiem kiedykolwiek śmierci miljona stu tysięcy ludzi, w przeciągu siedmiu miesięcy i podczas jednego oblężenia? Tego doświadczyli Żydzi przy ostatniem oblężeniu Jerozolimy. Chaldejczycy na nic podobnego zdobyć się nie odważyli. Pod jarzmem Chaldejczyków niewola trwała siedmdziesiąt lat: od lat tysiąca sześciuset Żydzi nie przestają być w niewolnictwie świata całego i dotąd jeszcze w niewoli nie doznają ulgi.

Taką jest w istocie historja Żydów. Prześladowali osobę Mesjasza, prześladowali Go w osobach jemu wiernych. Świat cały poruszyli przeciw ucz-

niom jego, nie dając im spokoju w żadnym mieście: na nowopowstający Kościół uzbroili Rzymian: ukamienowali św. Szczepana, zabili dwóch Jakóbów, których świętość wzbudzała szacunek nawet u wielu z nich: zamordowali bałwochwalczą ręką św. Piotra i św. Pawła, a więc zginąć musieli. Tyle krwi zmięszanej z krwią Proroków, woła o pomstę do Boga. Ich rozpacz nie mniejszą będzie od ich zbrodni.“ [1]).

Żyd wieczny tułacz.

Najstarsza legenda o Żydzie tułaczu sięga XIII-go wieku. Mateusz Paris daje wiecznemu tułaczowi na imię Kartofilus i opowiada, że żyd ten uderzył w ramię Chrystusa, dzwigającego krzyż, swój na Kalwarję i szyderczo powiedział: „Idź prędzej“. Na co Chrystus mu odrzekł: „Pójdę, ale ty czekać będziesz powrotu mego.“ Odtąd Kartofilus, nie mogąc umrzeć, tuła się po świecie i czeka ostatecznego dnia, w którym przyjdzie Chrystus powołać wszystkich ludzi na Sąd.

Z tej legendy wieje prawda historyczna. Żyd wieczny tułacz jest uosobieniem Judaizmu w przeciwstawieniu do Chrześciaństwa. Przedstawia on lud żydowski za karę Bogobójstwa, rozproszony po świecie całym, błąkający się, tułaczy, który bez ojczyzny i pana czeka końca wieków, by poznać Mesjasza.

---

[1]) „Historja Powszechna.“ Tom X str. 859.

IV.

Ręka Boża, karcąca prześladowców Kościoła w ciągu pierwszych trzech wieków.

„Potęga wyższa wyniszczyła nie tylko prześladowców, ale całe ich pokolenie.“ (Laktancjusz).

Historja powszechna nie zna szczytniejszego widowiska, potworniejszej walki, jak ta, do której dnia pewnego stanęły: nędza z bogactwem, nikczemność z szlachetnością, słabość z potęgą, zakończona ostatecznie podbojem największego państwa świata! Podbój ten rozpoczęli biedni rybacy w liczbie dwunastu, a dokonało go jedenaście miljonów męczenników. Laktancjusz, naoczny świadek okrutnego prześladowania, zostawił nam sławną księgę, opisującą nędzny koniec cezarów rzymskich, którzy w pierwszych trzech wiekach z szaleństwem zbrodniczem dążyli do utopienia w krwi nawet nazwę chrześcijanina. Większa ich część zginęła, dotknięta karzącą Ręką Boga.

„Otóż ta księga, powiada Feller, zdolna głębię uczuć i pociech obudzić w sercach wiernych, mogła-

by też z łatwością urość w potężne rozmiary przez dodanie tysiąca innych faktów, historją wieków stwierdzonych.

Z korzyścią więc będzie dla nas streścić tutaj dzieło Laktancjusza i śledzić dalszy ciąg zdarzeń po przez wszystkie wieki Kościoła aż do dni naszych.

Erę pierwszych prześladowań otworzył Neron. On to zasztyletować kazał matkę swą, zabić żonę, potruć najwierniejszych przyjaciół! Z jego rozkazu Rzym spłonął: ale zbrodnie te zrzuca na barki chrześcian, którzy wkrótce smołą oblani stają się żywemi pochodniami w rozkosznych ogrodach cezara. Lecz znienawidzony, opuszczony przez poddanych ten potwór, uciekać musi z Rzymu do wiejskiego schronienia, gdzie rozkazuje sztyletem przerwać dni swoje, nie mocen z trwogi sam tego uczynić. (19 czerwca, 68 r. po nar. Chrystusa).

Domicjan, drugi prześladowca Kościoła, idąc w okrutne ślady Nerona ujść też nie może ciężkiej karze. Ginie zamordowany przez własną żonę i przyjaciół swoich. Zohydzona została pamięć jego do tego stopnia, że Senat zniszczył wszystkie jego edykta, aż do najdrobniego podpisu w księgach publicznych.

Cesarze: Trajan, Adrjan, Marek Aureljusz więcej obojętnością, aniżeli osobistą wolą przyzwalali na prześladowanie chrześcian: z tej widać przyczyny uniknęli sami sprawiedliwości Bożej, choć państwo rzymskie odczuwało zgubne skutki rozlanej krwi męczeńskiej. Za Trajana okropne trzęsienie

ziemi, na Wschodzie prawie ogólne, ciężkie spowodowało straty. Za panowania Marka Aureljusza wylew Tybru zatopił pół Rzymu, roznosząc trwogę, głód i ruinę.

Nic Laktancjusz nie mówi o Septynie Sewerze, którego imię złączone jest z piątem prześladowaniem powszechnem, lecz historja poucza nas o karze, jaką za okrucieństwo poniósł; w rzeczy samej Antonjusz Karakalla, jeden z synów jego, najbardziej zepsuty z książąt, jakich ziemia wydała, sztyletem godził już w serce ojca i byłby go zabił, gdyby nie osoby z otoczenia, które mu broń wytrąciły z dłoni. Ten postępek wyrodnego syna pogrążył nieszczęśliwego cezara w ciężką melancholję śmiercią zakończoną. Skonał, wymawiając te słynne słowa: „Byłem wszystkiem na ziemi, lecz wszystko niczem jest.“ Karząca Ręka Boża spoczęła też i na dzieciach jego. Geteusza zabił Karakalla brat jego, który z kolei zamordowanym został.

Maksymian, podżegacz do szóstego prześladowania, jest znienawidzony w całem państwie za okrucieństwa i skąpstwo. Senat Rzymski uznaje go wrogiem stanu i na jego miejsce nowych wybiera cezarów. Dziejopisarz Kapitolinus mówi o nim: „Nie wydała dotąd ziemia podobnego zwierza.“

Ginie wraz z synem, zabity przez własnych żołnierzy.

Cezar Decjusz „wstrętny potwór“ według słów Laktancjusza daje się pobić przez Gotów, a na widok ginącego syna, rozpaczą uniesiony, szuka śmierci

głębokiem bagnisku. Trup jego pozbawiony mo-
iły, staje się żerem ptactwa i zwierząt.

Po śmierci Decjusza, historja zaznacza prześla-
owanie Walerjana wprawdzie krótkotrwałe, ale
emniej okrutne. I tu zgrozą przejmuje działanie za-
niewanej Ręki Bożej. Największy niegdyś monar
ha świata, ten książe przez króla perskiego Sapo
sa pobity i więziony, musi kłaść się na ziemi
grzbietem służyć za podnóżek swemu zdobywcy,
po siedmioletniej ciężkiej niewoli Sapores każe
u oczy wyłupić, skórę z niego zedrzeć i powiesić
świątyni na znak zwycięstwa.

Inny prześladowca, Aureljusz, na początku pa-
owania swego chrześcianom nie był przeciwnym,
e zabobonnie przywiązany do czci bałwanów,
agle postępowanie zmienił i ostre wydał rozkazy,
akazując gnębienie religji chrześciańskiej. Do tego
asu dziejopisarze odnoszą męczeństwo św. Dyoni-
go, pierwszego biskupa miasta Paryża, który ra-
m z innymi świętymi kapłanami śmierć poniósł
wzgórzu, zwanem odtąd wzgórzem Męczenników
Mont des Martyrs) dzisiejszy Montmartre. Co zaś
Aureliana i jemu, śladem poprzedników, smutny
zeznaczony był koniec, bo śmierć gwałtowną wła-
y sekretarz mu zadał.

Dyoklecjan, dziesiąty prześladowca, zmuszonym
ł przez Galerjusza do złożenia władzy i usunięcia
od rządów, choć go niegdyś do godności cezara
wyniósł. Licynjusz skazał żonę z córką na śmierć,
on sam ani spocząć, ani odżywiać się nie mógł,

gdyż zbrodnie zawisły całym ciężarem nad jego głową. Jęczał tylko bezustannie, wijąc się i tarzając po łożu i podłodze. I oto przez ciąg lat dwudziestu władca świata, mówi Laktancjusz, doprowadzonym jest do stanu tak nędznego, że z nudy, troski i głodu umiera (312 r.).

Maksymian współtowarzysz Dyoklecjana tak w rządach jak w prześladowaniu, zmuszony złożyć koronę, powiesił się z rozpaczy.

Cezarowie prześladowcy: Galerjusz, Maksencjusz, Maksym i Licynjusz zasłużoną karę otrzymali.

Galerjusz, dotknięty straszną chorobą, dosłownie przez robaki zjedzony został.

Maksencjusz, pobity przez Konstantyna nad brzegiem Tybru, zginął w jego nurtach.

W chwili rozpoczęcia bitwy z Licynjuszem, Maksym Decjusz w razie zwycięztwa obiecuje Jupiterowi zgładzić chrześcian aż do ich imienia, lecz przegrał i wtedy, zrzuciwszy płaszcz królewski, uciekł, przebrany za niewolnika, zażył trucizny; z trucizną ogień wsączył w żyły swoje i aby żal wewnętrzny ugasić gryzł ziemię, porwany szałem padł, głową o mur uderzył, aż oczy na wierzch mu wyszły.

Dowiadujemy się od Laktancjusza, że Boża Potęga wyniszczyła nie tylko wszystkich prześladowców, ale i całe ich pokolenie.

Po śmierci Maksyma Decjusza (313) jedynym

władcą Wschodu pozostaje Licynjusz. Nie zaczepia chrześcian przez pierwsze lat kilka, lecz gdy później, z jego woli prześladowanie zostało wznowione, los sprawia, że zaplątany w wojnę z Konstantynem, panującym na Zachodzie, zostaje pobity i z jego rozkazu, pod błahym pozorem, zamordowany. Konstantyn zostaje chrześcianinem i Kościołowi pokój przynosi.

Kilkanaście tragicznych śmierci możnych tego świata, nie uspakaja gniewu Bożego. Widzimy jego Rękę sięgającą dalej, aby zadać cios ostateczny, zadość czyniący Boskiej pomście i sprawiedliwości, a tym ciosem będzie obalenie olbrzymiego państwa Rzymskiego i zniweczenie pogańskiego Rzymu.

Bóg rzucił to miasto, pijane krwią męczenników, na pastwę barbarzyńców, jak mówi św. Jan w Apokalipsie i wznowił karę, doznaną przez Babilon, którego miano dostało się Rzymowi. Nowy ten Babilon — Rzym, wzorujący się na dawnym, jak tamten przejęty dumą swych zwycięstw, tryumfujący w rozkoszach i bogactwie, zbrukany bałwochwalstwem, prześladowca ludu Bożego, runie jak i jego poprzednik w upadku wielkim, a fakt ten dziejowy św. Jan przepowiedział w Apokalipsie (XVII i XVIII). Odebrana mu jest chwała zwycięstw, które swoim bożkom przypisywał, stanie się łupem dzikich hord zdobędą go, trzy i cztery razy zrabują, splądrują i zniszczą. Chrześcianom tylko miecz barbarzyński pobłażliwość okaże. Z popiołów dawnego wyłoni

się Rzym nowy, a tym razem do ˙cna chrześciański. Z wędrówką ludów ustala się dopiero pełne zwycięstwo Jezusa Chrystusa nad rzymskiemi bożkami. Legną strzaskane bałwany dawne, a z pamięci swej wymażą je ludzie.

V.

Ręka Boża, karząca Herezjarchów.

„A kiedy burza wstrząsa konarami
Kościoła, lecą tylko suche gałęzie".

Po czterech wiekach panowania prześladowców, następują czasy herezjarchów: otóż wszystkich tych rycerzy i przewódców błędu, nie wyłączając dzisiejszych marjawitów, jednakowo smutny czeka koniec.

Arjusz bluźni przeciw boskości Jezusa Chrystusa: w kleszcze dziwnego jakiegoś bólu schwytany, zgangrenowany język wypluwa i umiera, mając pęknięty brzuch i wydobywające się na zewnątrz trzewia.

Nestorjusz zaprzecza boskiego macierzyństwa Marji i ginie w hańbie i nędzy na oddalonej pustyni.

Macedoniusz napada na boskość Ducha św., pozbawiony urzędu na Soborze konstantynopolitańskim (360) umiera równie mizernie [1]).

---

[1]) Feller. Tom III str. 14.

Julian Apostata zaprzysiągł usunąć religję chrześciańską z widowni świata; przeszyty zatrutym grotem; umiera i wraz z krwią wyrzuca z siebie słowa często wspominane: „Zwyciężyłeś Galilejczyku!“

Jeżeli przeskakując wieki, dojdziemy do wielkiej herezji czasów ostatnich: do protestantyzmu, widzimy wyraźnie rzut Ręki Bożej, trafiający w jego twórców.

Jak niegdyś Judasz tak i Luter powiesił się. Służący, nawrócony do katolicyzmu widokiem ostatnich chwil swego chlebodawcy, zaświadcza, iż w wilję śmierci z towarzyszami niósł bezprzytomnie pijanego Lutra. Gdy na drugi dzień chciał mu dopomódz w ubieraniu, zastał tylko wiszącego trupa. Książe, opiekujący się Lutrem i jego lekarze na wagę złota milczenie służącego kupili, zalecając utrzymanie tajemnicy; postanowiono też nagłą śmiercią upozorować przed publicznością zgon jego [1]).

Kalwin dręczony okropnem cierpieniem, skonał w najstraszniejszej rozpaczy [2]).

---

[1]) Wyciąg z „Etudes religieuses“, będący sprawozdaniem o dziele p. Mayuntka, pisarza niemieckiego o rodzaju śmierci Lutra (p. Tydzień katolicki wydany w Leez 1891 r. str. 609).

[2]) Kalwin zmarł w Genewie w 1564 r. poniżej dosłowne świadectwo jednego z jego uczniów naocznego świadka:

„Calvinus in desperacione finiens vitam obiit, foedissimo et turpissimo morbo, quem Deus rebellibus et maledictis comminatus, prius excruciatus et consumptus. Quod ego verissime attestari audeo, qui funestum et tragicam illius exitum his meis oculis prasens aspexi“.

Henryk VIII na progu śmierci smutnym głosem przemawiał do otoczenia: „Druhy moje, niestety, straciliśmy wszystko: dobre imię, państwo, sumienie, Niebo“ [1]).

Ja umrzeć chcę! Dajcie mi skonać, bo życie stało mi się nieznośnem, tak do lekarzy zwracała się krwiożercza Elżbieta, założycielka anglikańskiego kościoła [2]).

(Joan, Haren, Apud, Petr, Cutsemium. Patrz słownik Fellera w artykule o Kalwinie).

[1]) Słownik Fellera, artykuł o Henryku VIII.

[2]) W przedśmiertelnej chorobie, Elżbieta zdawała sobie sprawę z niecnego życia. Do usiłujących nieść jej pomoc lekarską, rzekła: „Dajcie pokój, chcę umrzeć, życie stało mi się nieznośnem“. Cecyl i biskup miasta Kantorbery, rzucili się jej do nóg, prosząc o zażycie lekarstwa, lecz daremnie. W ostatnich wymówionych słowach przed konaniem, rozkazała, aby umrzeć jej pozwolono. (Feller, tom IV, str. 490).

VI.

Ręka Boża, karcąca bluźnierców i bezbożników czyli ateuszów.

Bez Boga sprawiedliwości niema.
Bez Boga władzy niema.
Bez Boga człowiek człowiekowi niema prawa rozkazywać.
Bez Boga istnieje tylko siła brutalna!..
A siła brutalna to objaw dzikości. Silny ugniata słabszego, słaby przebiegłością wciąga do matni silnego i morduje go.
(A. Maunoury),

I. Ateizm. (Bezbożność).

Nie armat i kartaczy nam się lękać!.. lecz bezbożników, powstających w łonie społeczeństwa i zagładą mu grożących. Ateusz oto nieprzyjaciel!

Rozróżniamy dwa rodzaje bezbożników: jeden dowodzi: „że Boga niema“, drugi mówi: „Bóg mnie nie obchodzi“. Pierwszy nie wierzy w Boga, drugi radby w Boga nie wierzyć, a obydwaj siebie są warci.

Nierozwinięty to umysł, który przeczy istnieniu Najwyższej potęgi, lub o tem istnieniu wątpić się ośmiela, bo pojąć nie zdolny jest, że dom bez pomocy mularza powstać nie może, jak zegar bez zegarmistrza, przeto do utworzenia świata, nieodzowny był twórca bezmiernie mądry i wszechwładny! Nie dziw, iż Duch Święty ateusza nazywa człowiekiem niespełna rozumu [1]).

Jeżeli ateizm jest szaleństwem, jest również zbrodnią względem Boga i społeczeństwa. Względem Boga: czyż ze wszystkich nieszczęśliwych, którzy urągają Bogu, najbardziej winni nie są ci, co zaprzeczają jego istnienia? Wobec społeczeństwa ateusz bezbożnik nie uznaje żadnej władzy, zatem i prawa; nikt więc nie ma mocy rozkazywać bliźniemu, lub mu czegoś zabronić. Jeżeli niema praw, a zatem więc i zbrodni być nie może, a kradzież, morderstwo i inne przestępstwa powinny być bezkarne. Oto w jaki sposób tłumaczyć się daje rewolucja, anarchja i bandytyzm, które za naszych dni rozwielmożniły się we wszystkich warstwach i krajach. *Ani Boga, ani Pana!* Bez wątpienia, że to są wstrętne i straszne słowa, ale drugie musowo wynikają z pierwszego.

Społeczeństwo, które szanuje ludzi nie uznających istnienia Boga, zasługuje i ściąga na siebie karę i przekleństwo. Nawet bałwochwalcy tego sa-

---

[1]) Ps. XIII p. 6.

mego byli zdania. Jeden z ich poetów mówił: „Z bezbożnikiem strzegłbym się mieszkać pod jednym dachem i wstępować z nim na pokład okrętu, gdyż obrażone bóstwo często jedną karą wraz z winnym obejmuje niewinnych“.

Ile przykładów gwałtownej śmierci tu przytoczymy, tyle mieć będziemy odpowiedzi na harde zaprzeczenie ateisty istnieniu Boga.

Bezbożnik, rażony nagłą śmiercią w chwili bluźnierstwa.

Do szpitala w Pommadone przyjęto niejakiego Wenecjanina, który oburzał chorych na wspólnej sali klątwą i naigrawaniem się z Boga. Pewnego razu, gdy mu dozwolono łóżko opuścić, pod wpływem nienawiści, począł bluźnić Bogu, że zadrżeć musi ręka powtarzając jego słowa:“ Jeżeli istniejesz ty, Boże czemu nie doznaję w tej chwili skutku twego gniewu! Nieszczęsny! Natychmiast przekonał się, że Bóg jest; zachwiał się bowiem i legł martwy na ziemię ku przerażeniu innych chorych świadków jego bezczelności [1]).

Dwie piorunujące odpowiedzi z Nieba.

W 1848 r. niedaleko Tuluzy we Francji pewien bezbożnik, rzecznik ludu, przemawiając na

---

[1]) Wypadek ten, opisało włoskie: „Stendardo Cattolico“, a miał miejsce w Maju 1865 r.

yborach do Zgromadzenia narodowego, barwną
rą słów usiłował zwalczać w wyborcach poszano-
anie dla Religji, która stawi zawsze groźną tamę
amiarom złych ludzi. Na wszystko napadał, prze-
zył wszystkiemu, nawet istności Boga. „Niechże
ię odezwie,“ wołał pięścią wygrażając, niech się
dezwie jeżeli mnie słyszy!..

Nie dokończył, gdy straszne uderzenie piorunu
atrzęsło okolicą, a bezczelny bluźnierca rażony, spadł
mównicy nieprzytomny, w oczach przerażonego
łumu. Myślano, że życie skończył, lecz po dwóch
godzinach odzyskał czucie; wątpię jednak czy zażą-
dał kiedykolwiek nowych od Opatrzności Boskiej
dowodów.

Inny nędznik, stokroć winniejszy, doraźnie uka-
any został w 1849 r. w miasteczku sąsiadującym
Caen. Działo się to w niedzielę podczas Mszy św.
W handelku z gorącymi napojami tuż przy kościele
dwóch przyjaciół piło wino.. Na odgłos dzwonów
kościelnych jednego z nich szał gniewu ogarnął.
Zaczął bluźnić przeciw Bogu, Kościołowi, wymyślać
na księży a w napadzie rozuzdanej wściekłości, wo-
bec właściciela handelku i towarzysza, który da-
remnie usiłował go uspokoić, chwycił szklanicę
i krzyknął na cały głos: „Co tam Bóg! Niechże
spróbuje przeszkodzić mi wypić tę szklankę wina!“
W tejże chwili runął na ziemię, tknięty apopleksją.

Dałoby się wymienić niezliczone mnóstwo wy-
padków tego rodzaju, świadczących o wymierzaniu
sprawiedliwości Bożej, jeszcze tu na ziemi. Są to

tylko pojedyńcze przykłady kary, niby zadatek orzeczeń Sądu, który nas czeka w przyszłości.

Jeżeli Bóg jest, niech się ukaże!

Nie dalej jak trzy lata temu, cholera czyniła wielkie spustoszenie w departamencie Aude, we Francji. Dawała się odczuwać silnie w miasteczku Peyriac - Minervois. Jeden z najzdrowszych i najsilniejszych mieszkańców miasta drwić począł w sposób ohydny:

— Księże proboszczu, mówisz, że Bóg cholerę zsyła! Chcesz nam strachu napędzić? Jeżeli jest jakiś tam Bóg, niech się ukaże! A uderzając się silnie w piersi dodał:

— Czekam tu na Niego i nie lękam się wcale! W dwie godziny później bezbożnik ów już nie żył.

„I w tejże chwili Whitney runął bez życia"!..

Dziennik angielski „New-York Herald," wcale nie mający opinji pisma pobożnego, opowiada, że w kawiarni w mieście Baltimore, bezbożnik Whitney prowadził z kilku znajomymi rozprawy religijnej treści. Mocno wzburzony, iż nie udaje mu się przekonać przeciwników, zawołał:

— „Na dowód, że Boga niema, wyzywam Wszechmogącego; jeśli jest, niech trupem padnę!

I w tejże chwili Whitney runął na ziemię bez życia, a przerażeni świadkowie próżne robili starania, aby go ocucić.

Gwałtowna śmierć w podobnych warunkach, rdzo gorąco omawiana była w Baltimore. Czyta- opis wyżej opisanego faktu, szyderczy uśmiech vita może na ustach, tak zwanych niezależnych yślów, ale niezawodnie innym duchem owiani i obecni patrząc na doraźną karę, jaka dotknęła hwałego bezbożnika.

(„Tygodnik Katolicki z dyec. de Seez". 1904 r. . 620.

Podczas wykładu nieszczęsny śmierć poniósł.

Tydzień katolicki, wychodzący w Tuluzie, owiada szczegóły śmierci M. Goy'a, dyrektora dniej szkoły żeńskiej tegoż miasta. Podczas wy- du etyki, czyli nauki moralności, nieszczęsny ierć poniósł, gdy zaprzeczając istnienia duszy zkiej, doszedł do zaprzeczenia istoty Boga, - „Boga ma!" - Były to ostatnie jego słowa wymówione ziemi, zanim stanął przed groźnym sądem Boga, ze swych okropnych bluźnierstw zdać rachunek. t ten miał miejsce w r. 1888.

(Tydzień katolicki dyecezji Seez 1888 r. str. 159).

Niechaj zmiażdży!

W wielkim francuzkim dzienniku „La Croix" (Krzyż) datą 2 Grudnia 1908 r. czytamy: „W Niedzielę listopada 1908 r. w Bouxieres aux Dames (depart.

Meurthe - et - Moselle) pewien górnik, siedzący w kawiarni, naigrawał się z mężczyzn, idących do kościoła rano na Mszę św. – „Niema Boga“, mówił — a jeżeli jest, niechaj mnie zmiażdży!“ Nazajutrz w poniedziałek, ciężka bryła oberwała się nad głową owego górnika i zgniotła go w chwili, gdy pracował w wązkim a nizkim korytarzu szybu. Śmierć była natychmiastowa. Dziwny zbieg okoliczności silne uczynił wrażenie na górnikach okręgu, jak również i w całem mieście.

Ręka Boża karząca bezbożników, stojących u steru rządu we Francji.

Oto trzydzieści lat upływa od czasu jak we Francji głosić wzbroniono najświętsze Imię Jezus z rozporządzenia urzędowego. Smutno pomyśleć, iż naród ten, tak słynący dawniej z pobożności, jest dziś jedynym wśród świata cywilizowanego, który się zgadza, aby jego rząd zachowywał publiczne milczenie o Bogu.

Czy wobec tego dziwić się można, iż każde siedmiolecie prezydentury znamie sromotne nosi że Bóg Rękę swoją opuszcza ciężko na winowajców urzędowego ateizmu? Jakże niefortunny jest koniec przeważnej ich liczby!.. Oto jawne tego dowody:

Juljusz Grèvy.

Dziewięcioletnie dzieje jego rządów (1879 — 1889 r.) streścić można w kilku słowach. Podpisa

bezwstydne dekreta i nieuczciwe prawa, wydalił ze szkół zakonników i zakonnice, prześladował Krzyż, usiłował nawet zatrzeć Imię Boga. Z murów klasztornych wydalił: OO. Redemptorystów, Jezuitów, Premonstrantów, Franciszkanów, Benedyktynów i t. d. Byli oni wszyscy niezkazitelnymi obywatelami ziemi francuzkiej, a zbrodnią ich jedyną: modlitwa, nauczanie i głoszenie Ewangelji św.

„Jeżeli Pan umie widzieć i rozumieć — pisze, odnosząc się do Grevy'ego, paryzki dziennik, mało skądinąd przejęty chrześcijańskiemi uczuciami, jakiż odwet czeka Pana za wszystko, co było stratowane, zgniecione, zapoznane! Niegodziwe, bezbożne dekreta, noszące twój podpis spokojną kreślony ręką, zwracają się teraz przeciw tobie i rodzinie twojej. Wytrychem gwałciłeś zamki, wytrych służy do badania twoich szuflad i do przetrząsania twoich papierów! Kazałeś uczciwych ludzi brać za kark i wyrzucać precz z ich domostw, a w tej oto godzinie trybunały sądowe zięcia twego za kark imają i z Elizejskiego pałacu każą mu iść precz. Zmuszałeś innych do opuszczenia kraju, teraz ty z kolei wypędzony jesteś, ale nie znajdujesz na twej drodze oznak szacunku i przychylności, jakiemi darzono, przez ciebie wygnanych zakonników. W porządku świata istnieje, niezbita a tajemnicza logika, konsekwentna do samego końca; może zatem w tej przyćmionej niepowodzeniem chwili, zrozumiesz wreszcie czem jest Opatrzność, którą wymazać kazałeś z nauczania publicznego i którą całe życie lekceważyłeś.“

Sadi - Carnot.

W czerwcu 1894 r. Sadi-Carnot, prezydent Rzeczypospolitej francuzkiej, został zasztyletowany w Lionie przez włoskiego anarchistę, Caseria. Według historycznych danych w rodzinie Carnot'a gromadziły się przez ciąg wieku długie rachunki, do zdania z nich sprawy na Sądzie Bożym. Podpis dziada jego widnieje na dekretach rewolucyjnych z 1793 r., krew niezliczonej ilości ofiar spływa na bruki miasta Lionu. Aż tu na okrzyk niech żyje Rewolucja!.. w temże mieście, na temże bruku polała się krew naczelnika państwa, a tym naczelnikiem jest wnuk Lazare'a Carnota.

Kto pchnął Caseria na tę drogę? Kto nasunął mu zamiar mordu? Zbrodniarza wydał posiew rewolucyjny, występne czyny morderców z roku 1793! Teroryzm zrodził anarchję — z ręki anarchisty zaś zginie potomek przewódzcy terorystów.

Od chwili objęcia najwyższego stanowiska państwowego, Carnot, nie przestępił progu kościoła, nie wymówił nigdy słowa, w którymby jaśniała myśl religijna: Jeżeli Bóg jest pustym wyrazem, na czem się oprze ludzka władza? Kto czem wojuje od tego zginie. To też logika namiętności musiała wsunąć sztylet w rękę Caseria, aby nim przeszyć serce bezbożnika.

Jednakże Sprawiedliwość Boska okazała się miłosierną względem Carnot'a i dała mu sposobność należytego przygotowania się na śmierć, stało się

to na skutek wielu modlitw, a także w nagrodę jego zasług publicznych.

Feliks Faure.

Prezydent Faure w nocy z 16 na 17 lutego 1890 r. nagle powołany został przed Trybunał Tego, który sądzi wszelkie nieprawości świata. Wezwano księdza, lecz przybył gdy chory już konał: miał zaledwie czas wymówić sakramentalną formułę. W pięć minut później Faure już nie żył. Feliks Faure względnym był dla ludzi i szlachetne żywił uczucia. Religijnym obowiązkom, jako człowiek prywatny, całkiem obcy nie był, nie miał jednak dość siły, aby zdruzgotać urzędową bezbożność. W kościele widziano go tylko na pogrzebie swego poprzednika i na nabożeństwie za ofiary, które zginęły na Bazarze urządzonym na korzyść ubogich.

Bóg często piorunującem wstrząśnieniem budzi pamięć swej potęgi w głębi serc ludzi, którzy zapomnieli o Nim, albo co gorsza rumieńcem płoną gdy im się zdaje, że Go uznają. W godzinę obrachunku ostatecznego, chociażby ciążył na duszy jedyny grzech, którym był podpis na niecnym dekrecie, jednakże pozostanie jeszcze odpowiedzialność za pobłażanie złemu, gdy była możność przeszkodzenia smutnym wynikom podobnego rozporządzenia; spada wina za stawianie trudności czynom dobrym, gdy wszystko przemawia za obowiązkiem

zostawienia swobody działania; będzie wreszcie odpowiedzialnym ten, kto żyje wśród zgorszenia urzędowej bezbożności, jaką obecnie Francji Masonerja narzuca.

Nieszczęścia nie ustają od czasu zabronienia oddawania usług religijnych w marynarce francuskiej.

We wrześniu 1908 r. miał miejsce wybuch na okręcie *Latuche Treville,* a był tym boleśniejszy dla marynarki francuskiej i załogi portu w Tulonie — już bardzo dotkniętej w latach poprzednich — że dzielił go jeden tylko miesiąc od katastrofy na okręcie zwanym *La Couronne.* Naliczono trzynaście osób zabitych i kilku rannych. Z powodu tej okoliczności biskup z Frejus przesłał rodzinom ofiar wypadku wyrazy głębokiego współczucia i przyjaźni od duchowieństwa swojej djecezji i dołączył słowa, w nieszczęsnych czasach obecnych, niestety, zbyt często nam się przypominające: „Niemogę milczeć dłużej! Najodporniejsze dotąd umysły zastanawiać się poczynają nad istnieniem Wyższej Potęgi, wobec strasznych wypadków, które się powtarzają w francuskiej marynarce od czasu, jak wzbroniono nieść załodze usługi religijne. Módlmy się za niewinnych, którzy według praw Opatrzności pokutować muszą za narodu winy. Błogosławiąc szeregi trumien ustawionych na oczach przedstawicieli urzędowej Francji, która pozwoliła na ten raz, by modlitwa nasza

skrytą i odosobnioną nie była, wzywam was do modlitwy, aby miłosierny Bóg otworzył wam oczy, zakorzenione uprzedzenia usunął, krajowi powrócił wolność wyznań w braterskiej i wspaniałomyślnej łączności wszystkich francuskich serc."

II. Ręka Boża, karząca bluźnierców.

Ateusze udają niewiarę, bluźniercy zaś wierzą w istnienie Boże, ale je przeklinają. Jedni i drudzy roszczą sobie prawo do nazwy umysłów wyższych i do jakoby wynikającej ztąd chwały; otóż Bóg o własną chwałę zazdrosny, szuka pomsty za znieważenie swego Imienia.

Śmierć bluźniercy rzadko pobożną bywa.

Ohydne bluźnierstwo. Przerażająca śmierć.

Pierwszego Września 1908 r. w Metlaoui (Tunis) Emanuel Porco, włoski maszynista kolejowy, wygrał fuzję na loterji fantowej. „Gdy umrę broń tę włożycie mi do trumny" — powiedział kolegom - „abym, stanąwszy przed Bogiem i Matką Jego, celnie wymierzonym w nich strzałem, mógł siebie obronić."

Nazajutrz, po wyrzeczeniu tego okropnego bluźnierstwa, o godzinie 11-ej zeszedł z parowozu dla kupienia sobie winogron, a kiedy chciał wskoczyć do ruszającego już pociągu, poślizgnęła mu się noga i nieszczęśliwie wpadł pod koła.

Dwanaście wagonów przeszło przez jego ciało, miażdżąc je do tego stopnia, że zgarniano łopatą poszarpane szczątki.

Straszna to nauka dla bluźnierców!

(„Tydzień katolicki“ Dyec. Luçon 30 Października 1008 r.).

Bluźnierca rażony piorunem.

Kilka miesięcy temu gazety departamentu Jura we Francji rozniosły wieść o gwałtownej śmierci dwóch mieszkańców Sallières, rażonych jednem uderzeniem piorunu, na drodze prowadzącej do miasta.

Na jednym nie znaleziono ran żadnych, drugi zaś całkowicie był zwęglony. Warto tu przytoczyć kilka szczegółów odnoszących się do tego wypadku.

Za pierwszym grzmotem, zatrzęśli się wszyscy obecni, jeden zaś z nich wyzywająco głowę podniósł w stronę Nieba wołając: „No, huknij jeszcze!“ Zaledwie wyrzekł te słowa trzasł piorun zabijając go na miejscu. Znaleziony przy nim towarzysz zginął też pod wpływem prądu elektrycznego.

(Patrz Tygodnik Katolicki z Luçon Nr. 44 z roku 1908).

VII.

Ręka Boża, karcąca za zniewagę Św. Eucharystji.

Cóż piękniejszego na świecie ponad Św. Eucharystję"?

W Niej się mieści cała wiara katolicka. To punkt ośrodkowy, do którego wszystko dąży, to ognisko z którego promienieje światło i życie. Usunąwszy Eucharystję, religja stanie się zeschłem drzewem, nie wydającem owocu.

W Niej jest Chrystus uosobiony: to też do Eucharystji św. zmierza przeważnie zawiść wrogów Boga.

Zazwyczaj Baranek Boży z ołtarza, lżącym napastnikom odpowiada łaskawością bez granic, lecz niekiedy daje poznać, że zniewagi obojętne Mu nie są, a wówczas zsyła pomstę straszliwą.

Odpokutowanie.

W głębi ustronnej doliny, między nagimi i dzikimi pagórkami, okalającymi miasto Romans (depart. Drôme) stoi domek niepozorny. Nic w zewnętrznym

jego wyglądzie nie ściąga uwagi rzadkich przechodniów, docierających do tego pustkowia, a jednak do siedziby owej przywiązane jest ciekawe i pouczające wspomnienie, które jako jawny przykład sprawiedliwości i miłosierdzia Bożego, zapamiętać jest warto.

Przed stu latu mieszkał tam pan D. człowiek zażywający pewnej powagi, tak że nawet przez czas jakiś piastował urząd wójta w gminie P.

Kiedy nastąpiły ciężkie dni 1793 r., prąd bezbożności, który pociągnął za sobą we Francji tyle umysłów, uniósł również pana D. i pewnego dnia, myśląc, że błyśnie dowcipem zdobył się na nikczemny, świętokradzki figiel. Ujrzano go z przyjacielem na ulicach Romans; obydwaj przywdziali szaty kościelne i, z kielichem w ręku, przedrzeźniać zaczęli ceremonje religijne. Gawiedź uliczna darzyła błazeństo głośnymi okrzykami zadowolenia. W tem śmiechy umilkły i nastała cisza. Pod nogi pana D... zwalił się jego przyjaciel i martwy legł na ziemi, a D... samego tak przejmujące bóle chwyciły, że nie zwlekając, przebyć musiał biegiem milową przestrzeń, dzielącą go od domu. Nieco uspokojony, rzucił się na krzesło i uprzytomnił sobie wszystko, co widział i słyszał. Ale gdy cierpienia znów wróciły, począł po izbie, która mu służyła za kuchnią i sypialnię, bezmyślnie krążyć około słupa, zachowanego po dziś dzień. Jak tylko zatrzymał się na chwile, tak silnie nim targały bóle, że znów krążyć

musiał bez końca i w taki to sposób pokutę swą odbywał.

Osiem lat biegał tak po swej kuchni, lub około studni w ogrodzie, tuż przy domu. Dwie godziny tylko mógł zajmować się swojemi sprawami, po upływie zaś tego czasu, bóle powracały, nie opuszczając go, dopóki nie rozpoczął na nowo dziwnej swej wędrówki. Z upływem lat dokoła słupa i studni kroki jego wyżłobiły tak głębokie ślady, że je musiano ziemią zasypać.

Dotknięty karzącą Ręką Boga, D... upokorzył się i błędy swe uznał, a wieść o jego nieszczęściu ściągnęła licznych odwiedzających, których przyjmował pokornie i dobrotliwie upominając, by korzystali z przykładu, jaki Bóg im daje w jego osobie. Gdy poczuł zbliżającą się śmierć, wezwał kapłana i przyjął z wielką pobożnością Sakramenta Kościoła. Wreszcie Bóg rozkuł kajdany jego, dozwalając osiem ostatnich dni życia spędzić w łóżku i w niem umrzeć.

Fakt tu opisany nie jest podaniem lub legendą, lecz zwykłem streszczeniem faktu, znanego wszystkim mieszkańcom gminy P. Moglibyśmy całe nazwisko tego biedaka przytoczyć, lecz powstrzymało nas uczucie delikatności, gdyż rodzina D... nie wygasła i dziś jeszcze żyje w jednym z zakątków gminy: córka jego jest pełna sił żywotnych pomimo wieku 88 lat.

(Tydzień katolicki dyecez. Secz 1884 r. str. 58. Wyciąg z Tyg. wychodzącego w Beauvais).

Kobieta—potwór przywalona ciężarem Tabernaculum.

Pewna kobieta raczej szatan, przesiąknięta rewolucyjnymi poglądami, nie zawahała się wejść na ołtarz, zburzyć Tabernaculum i zbezcześcić Hostję św. Na karę nie długo czekała. Tabernaculum odepchnęło bezbożnicę precz, zwaliło się na nią i zgniotło świętokradczynię [1]).

W jasny dzień.

Czytamy w *Tygodniku katolickim* djecezji Seez pod datą 1 Maja 1873 r. fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości.

Działo się to w jasny dzień w obecności kilkunastu osób, które słyszały bluźnierstwo i były świadkiem kary. Choć upłynęło 35 lat zdarzenie to żywem jest w pamięci ludzi starszych w okolicy.

Niedawno wyrok pomsty niebieskiej przytrafił się w gminie Cerisy - Belle - Etoile, kanton Flers. W Wielkim Tygodniu około południa proboszcz z Cerisy dążył do chorego z Najświętszym Wiatykiem, Wyszedłszy z kościoła szedł drogą około zajazdu, przed którym trzech mężczyzn siedziało za stołem. Na widok Najświętszego Sakramentu dwaj z szacunkiem powstali i odkryli głowy, trzeci zaś

---

[1]) Wyciąg z listu zakonnicy z Limoges do O. Huguet'a 8 Maja 1870 r. patrz dzieło „Straszne kary spadłe na Rewolucjonistów str. 180.

zamiast pójść za dobrym przykładem, myślał, że będzie uchodził za dowcipnego, jeżeli ciśnie bluźnierstwo przeciw Jezusowi Chrystusowi i Najświętszej Dziewicy. Zanim bezwstydne słowa skończył, legł nieprzytomny na ziemię ku przerażeniu obecnych. Biegną po lekarza, po wikarego parafji, wszelka jednak pomoc na nic się zdała. Kapłan trzykrotnie próbował spowiadać konającego; naprożno! Ostatniem słowem jego było poprzednie bluźnierstwo. Przez dziesięć godzin wił się jeszcze w przerażających konwulsjach, poczem, odciąwszy sobie język zębami, zmarł.

Mszczące płomienie.

Wstrząsający zgrozą fakt nastąpił w Hay (Belgja). Dnia 10 stycznia w niedzielę 1874 r. uczeń szkoły normalnej przystępując do Komunji św. z wyuzdanem świętokradztwem wypluną Hostję św. W następną środę 13 tegoż miesiąca wybuchł pożar w klasie, gdzie się ów uczeń znajdował i obrócił w perzynę szkołę normalną wraz z niecnym świętokradzcą. (Tyg. katol. z Seez 1875 r. str. 143).

Dwa Sądy odmienne.

Dnia 4 lipca 1889 r. w niedzielę przez ulice miasta Gueret (Creuse) obnoszono uroczyście Najświętszy Sakrament podczas procesji. Pewien urzędnik kolejowy wmieszał się w tłum pobożnych i koło

krzyża przeszedł w kapeluszu na głowie i z czerwoną różą w ręku. Wikarjusz, utrzymujący porządek procesji, rzekł do niego: „Panie, ulica dosyć szeroka, grzeczność nakazuje iść bokiem.“ Na napomnienie ów człowiek uwagi nie zwrócił, lecz z miną wyzywającą szedł dalej i przeciskał się w stronę duchowieństwa: wówczas odepchnięty został przez kościelnego, kapelusz i róża znalazły się na ziemi, awanturnik zaś pięścią kościelnego uderzył. Na tem zajściu mogło się było skończyć, inaczej jednak myślał gorliwy komisarz policyjny; z jego rozkazu sługę kościelnego wezwano przed sąd pokoju, gdzie za karę odsiedzieć miał jeden dzień w areszcie. W dniu, w którym kościelny z Guèret stawał przed sędzią i o tej samej godzinie, sprawca awantury bez przygotowania religijnego stanął również, ale przed Sądem Boga.

Pogrzeb odbył się nazajutrz.

(Wyciąg z l'Univers“ 20 Czerwca 1888 r.).

Dowód sprawiedliwości Boga.

W stołecznem mieście okręgu Castelsarrasin (Tarn i Garonne) niejaki R. B. młody człowiek 16 — 17 letni, pracujący od dwóch lat w kancelarji gminnej, wpadł na myśl obrzucenia Najświętszego Sakramentu grochem, gdy w dzień Bożego Ciała procesja pod jego oknami przeciągać będzie. Wsypał sobie tedy grochu do kieszeni i miał już zamysł wykonać, lecz ujrzano, że blednie i pada jakby martwy.

Przyszedł jednak do siebie i na żarty kolegów, przypominających mu, że dotąd pogróżki nie wypełnił, odparł: „Straconą dzisiaj sposobność powetuję sobie w niedzielę z naddatkiem“.

Nadeszła oktawa Bożego Ciała. Wczesnym rankiem młody R. B. z kolegami, nie większej od niego wartości, udał się na przejażdżkę po Garonie. W tem doznał dziwnego, a tak silnego cierpienia, że zmuszony był prosić, by zaraz do brzegu przybito. Wysadzony na ląd, usiadł na ziemi i, zaledwie zdjął kapelusz, zmarł, nim pomoc nadeszła. Czy ów nagły zgon bezbożnika zwykłym był tylko przypadkiem? Ludzie bezwyznaniowi, ku zaspokojeniu swego sumienia, tak tłumaczą wdanie się Opatrzności w sprawy ludzkie, ale katolik musi w nich uznać oczywisty objaw sprawiedliwości Bożej.

(„Tydzień katolicki“ z Seez 1882 r. str. 439).

Zaczynam wierzyć, że to jest uczta moja ostatnia.

Czytamy w amerykańskim dzienniku „The Exchange“ okropną opowieść tej treści:

Tomasz Lemuel z Jenkintown (jedno z przedmieść Filadelfji) wydawał bankiet dla swoich przyjaciół dnia 14 Stycznia 1884 r. Zasiadłszy dokoła stołu, jeden z biesiadników zawołał: „Jest nas trzynastu, jak przy uczcie Chrystusa!“

Śmiechem i oklaskami przyjęto te słowa, Tomasz zaś, nieprzyzwoity żart posuwając dalej, mówi: „Ja jestem Zbawicielem, a on, wskazał na jednego z towarzyszy, Judaszem Iskarjotą.“

Poczem, jak donosi dziennik, miał ująć chleb, przełamać go i rozdzielić między biesiadników przez ohydne naśladownictwo pamiątki ustanowienia Najświętszego Sakramentu. Wino zastąpił gęsto krążącemi kuflami piwa. Czynnościom tym towarzyszyły tak wstrętne bluźnierstwa, że bankietujące grono było wprost zgorszone. Lecz oto blednie Lemuel, ręką dotyka czoła, skarży się na okrutny ból głowy, mówiąc: „Zaczynam wierzyć, że to ostatnia jest uczta moja“. Pragnie się oddalić, choć wszyscy zatrzymać go usiłują, z trudem do domu wraca, kładzie się do łóżka i narzeka na rzekomy cios otrzymany w głowę.

Próbowano nadaremnie wykryć przyczynę bólu, a w kilka dni później nad ranem, zastano go nieżywym w łóżku: rysy twarzy wykrzywił uśmiech szatański, otwartą źrenicą przywarł do strasznego, lubo niewidzialnego obrazu.

Anglicy, śmierć w podobnych warunkach, nazywają *odwiedzinami Bożemi*. Przychodzi nam teraz na pamięć opis, czytany przed kilku laty w gazecie „Times“, o nagłej śmierci jakiegoś „medium“ w momencie kiedy opowiadał, że „osobiście podawał dłoń Chrystusowi i św. Apostołom.“

Karcąca Ręka Boga nie przestaje zsyłać ciężkich kar, opisane wypadki są tego wyraźnym dowodem. (Tygodnik katol. z Seez 3 Kwietnia 1884 r.).

Chciałbym go zobaczyć!

Dnia 30 Lipca 1889 r. „Tydzień Religijny“, wydany w Puy (Owernja) opisuje:

Na ulicach miasteczka przystrajano ołtarz do uroczystej procesji. Przechodzący wówczas młody bezwstydnik zawołał: „Na co to? Co to za człowiek, którego czekacie? Nie widziałem go nigdy: a chciałbym jednak zobaczyć!“

Tegoż dnia wieczorem rozeszła się wieść, jako w kręgielni, odbita od ziemi kula, uderzyła w twarz jakiegoś młodzieńca, który z tej przyczyny postradał dwa zęby i obydwie wargi ma rozcięte. Owym młodzieńcem był tenże bluźnierca.

(Tygod. katolicki“ z Seez 3 Kwietnia 1884 r.)

Świętokradzkie bluźnierstwo — tragiczna śmierć.

„Tydzień Religijny“ redagowany w Bayeux pod datą 22 Kwietnia 1900 r. daje sprawozdanie z wypadku tragicznej śmierci, połączonej z świętokradztwem.

W Barcelonie (Hiszpanja 29 Lutego 1900 r. miejscowym zwyczajem przez plac Kataloński, obramowany gęstą ciżbą widzów, dążył korowód zapustny. Młodzi ludzie w maskach na twarzy, przybrani dziwacznie, obwieszeni świecidłami, wpadli według pisma *Diario Katalou* na świętokradzki pomysł odegrania komedji, przedstawiając pochód kapłana, śpieszącego z Wiatykiem do chorego. Niektórzy z zapalonemi świecami otaczali znieważcę, podtrzymywanego przez innych; tenże udając chorego przyjmować miał Komunję. Dowcipy i mowa młodzieńców odpowiadała ich czynom. W tem,

mniemany chory zasłabł na prawdę: udano się z nim do najbliższej apteki, zkąd wyniesiono już tylko trupa.

Pisma bezbożne starały się wypadek ten pokryć milczeniem, chociaż na świadkach olbrzymie wywarł wrażenie.

Wet za wet.

Od czcigodnego kolegi, proboszcza jednej z większych parafji djecezji Seez otrzymaliśmy list następujący z dnia 19 Lutego 1908 r.

„Oto fakt kary za bluźnienie przeciw św. Eucharystji, jakiego świadkiem byłem w Alençon i który postaram się jak najdokładniej opisać.

W adwencie 1876 z. podczas deszczu i śnieżycy, szedłem z Panem Bogiem do chorego, który mieszkał na samym końcu długiej ulicy Mans, tam gdzie stykają się granice departamentów Sarthe i Orne. Towarzyszył mi wierny nasz zakrystjan Pelletier. Kiedy znajdowaliśmy się naprzeciw ulicy Landon, z jednego z domów zamieszkałych przez tkaczy, na lewo od ulicy Mans, wyszło kilku ludzi, którzy jak się później okazało, noc na pijatyce i grze spędzili. Jeden z nich ujrzawszy nas, wymówił między innemi te słowa, wyraźnie przezemnie słyszane: „Patrzcie, snać Bóg nie widzi w nocy, skoro potrzebuje latarki!“ Odnosiło się to do światła niesionego przez zakrystjana.

Kilka dni później, żartowniś dotknięty chorobą oczu, udać się musiał na kurację do szpitala

w Alençon. Lekarze dociec powodu cierpienia nie mogli i uznając swą bezsilność w przyniesieniu jakiejkolwiek ulgi, odesłali go do Paryża. Okulistom stolicy nie powiodło się lepiej; pomimo wypróbowania najrozmaitszych środków i troskliwej opieki, chory cierpiał wielce, nie mogąc wzroku odzyskać. Lat temu cztery czy pięć zmarł w przytułku miasta Alençon [1]).

Za słowo wzięty.

Czytamy w „La Croix“ z dnia 15 Lipca 1908 r.

Liczny zastęp osób wiarogodnych był świadkiem przejmującego zdarzenia, które tu opisuję.

Było to w Saint Jammes w dniu Bożego Ciała. Niejaki August Railland, z zawodu kowal 35-cio letni, żartował w grubiański sposób z przygotowań do procesji; mimo oporu widzów wszedł na Tabernaculum jednego z ołtarzy, który budowano wprost figury ukrzyżowanego Chrystusa i do Niego odezwał się w te słowa: „Gdybyś takim leniwcem nie był, pomógłbyś mi zejść!“

Lecz cóż się stało? Oto bluźnierca spada z wysokości 4-ch metrów, zraniony tak ciężko, że

---

[1]) Według następnie zebranych objaśnień tyczących się tego człowieka, dowiadujemy się, że w przedśmiertnej godzinie, dzięki modlitwom żony oraz Siostry Miłosierdzia, zmarł, przejęty pobożnemi uczuciami.

(Szczegóły doniesione przez ks. Bernouis, proboszcza paraf. św. Szymona i ks. Letacq jałmużnika Szarytek w Przytułku m. Alençon).

po trzech dniach konania w okrutnych cierpieniach kończy życie.

Śmierć kowala Raillande'a, olbrzymi rozgłos miała w okolicy, bo zaznaczyć tu trzeba, że tenże człowiek lat kilka temu, bez szwanku, podobnemu uległ wypadkowi, z tą jednak różnicą, że wówczas przestrzeń 16-tu metrów dzieliła go od ziemi.

Do faktu opowiedzianego przez „La Croix de Paris“ dodajemy notatkę następującą, nadesłaną do dziennika „La Croix de Mans“ dnia 25 Sierpnia 1908 r. a czerpaną z wiarogodnego źródła:

„Aczkolwiek opowieść odmiennie nieco zredagowaną jest w „La Croix“ niż w innych pismach, jest ona w gruncie rzeczy bardzo dokładną.

Ustawiano ołtarze. Kazałem oprzeć o sam krzyż Chrystusa rusztowanie, na którem sztuczne skały ułożyć miano. Pogoda nie dopisała, musiano zatem odłożyć robotę na później i zostawić rusztowanie, na które to wszedł August Railland wieku lat 39 dla wygłoszenia do Jezusa Chrystusa kazania (jak je sam nazwał). Ukrzyżowanego lżył przytem grubiańsko.

W tym czasie zwalił się na ziemię. Lekarz stwierdził połamanie dziesięciu żeber, z których jedno rozdarło płuca. Prócz tego wybił ze stawu rękę i uległ zewnętrznemu i wewnętrznemu okaleczeniu. Dziwiono się powszechnie, że upadek z niewielkiej stosunkowo wysokości 4-ch metrów sprawić mógł tyle cielesnych obrażeń.

Po dwóch dniach ciężkiego konania zmarł,

a wypadek ów ludność uznała jednogłośnie za karę Niebios nad bluźniercą.

Od niedawna Railland zamieszkiwał Saint James; znałem go z widzenia, a poznałem bliżej sposobiąc na śmierć. Umarł po chrześciańsku i odważnie ku wielkiemu zbudowaniu towarzyszów.

VIII.

Ręka Boża karcąca przeciwników spowiedzi wielkanocnej.

„Zaprawdę, zaprawdę, wam powiadam, jeślibyście nie jedli ciała Syna człowieczego i nie pili krwi jego, nie będziecie mieć żywota w sobie.
(Św. Jan, VI — 54).

Mgr. de Ségur powiedział: „Ludzie, którzy spowiedzi wielkanocnej nie odbywają, tym samym nieposłuszni są Kościołowi w jednem z najważniejszych jego praw i wyłączają się sami ze społeczności katolickiej. Jako syn, wyrzekający się ojca i matki, traci prawo do jedności rodzinnej, tak chrześcjanin niewierny Bogu i Kościołowi, przez wyrzeczenie się spowiedzi i Komunji wielkanocnej, traci również prawo do łask duchowych, udzielonych braciom jego. Żyjąc jak poganin, również jak poganin umiera.“

Zadławiony umiera.

W przewodnią niedzielę 1882 r. ujrzano w rozległej gminie C.... (Dyec. St. Dié) około 400 osób przystępujących do Stołu Pańskiego, by przyjąć Komunję wielkanocną. Nic dziwnego, że widok ten rozdrażnił bezbożników. Jeden z nich wyładował z siebie w karczmie wioskowej cały zasób szyderstwa i wesołości, by wystawić na pośmiewisko przyjmujących Sakramenta św. Nadomiar uciechy, ujrzał na stole nakrytym do kolacji, ulubioną przez siebie potrawę, zawołał więc: „Oto będzie moja Komunja!“ Bierze kawałek mięsa, który potrafił wyciąć w kształcie Hostji i, naśladując ceremonję komunikowania, wkłada go sobie do ust. W tejże chwili pada martwy. Daremnie żona i dzieci ocucić go pragną. Umarł przez udławienie.

(Tygodnik z Viviers).

Nauka nie poszła w las!

Czytamy pod datą 14 kwietnia 1885 r. wieści nadesłane z Rodez do dziennika „La Croix“.

„W pierwsze święto Wielkiej Nocy prowadzący pociąg maszynista nazwiskiem Lavial, uległ wypadkowi, znaleziono go bowiem z pogruchotanemi nogami, przy wyjściu z tunelu Lioran (Aveyron) gdzie wkrótce w ciężkich męczarniach zakończył życie.

Mówią, że Lavial nachyliwszy się, by wzrokiem objąć dalsze wagony, stracił równowagę i z parowozu wypadł. Tegoż dnia rano Lavial wyruszył ze stacji Capdenac, a wilją, jak mówią, ohydnego dopuścił się bluźnierstwa.

Dwaj misjonarze dyecezjalni odprawiali wówczas rekolekcje dla robotników. Lavial rozmawiając z kilkoma towarzyszami rzekł do nich:

Czy i wy należeć chcecie do rzędu głupców, którzy jutro rano łykać będą pieniążki pół frankowe?

Takiem porównaniem nędznik Najświętszą Eucharystję mianował, a mówiąc o misjonarzach dodał: „Gdybym złapał tych nicponiów, oświecił bym ich po swojemu! A tymczasem wyruszam w drogę i będę łykał, ale kurz w liorańskim tunelu.

Tam właśnie umarł, jak opisaliśmy wyżej.

Nie myliła się ludność Capdenac, widząc w tej śmierci „Palec Boży“. Wielu z nauki skorzystało, bo obliczono, że lat ubiegłych 150 ludzi tylko przystępowało do Komunji wielkanocnej, ostatniej zaś niedzieli liczba ich do 450 wzrosła.

Według prawa odwetu.

Wieści tu opisane doszły nas za pośrednictwem ogólnie szanowanego księdza [1]), który jako naoczny świadek, ręczy za prawdziwość słów ni-

[1]) Ks. Chapelain proboszcz w Chênedouit. (Orne).

niejszych: Działo się to w czasie spowiedzi wielkanocnej, gdy wierni katolicy, zachowujący przepisy Kościoła, Chleb Anielski spożywali. Znalazł się jednak bezbożnik, doprowadzony do wściekłości pobożnem zachowaniem się tych ludzi, który wykrzykiwał:

„Wolałbym być zmiażdżony, niż pójść za ich przykładem!“

Nie minęło pół godziny, a człowiek ów, podczas gdy ścinał topolę, chociaż zachował wszelkie ostrożności dla zabezpieczenia się od wypadku, poniósł śmierć natychmiastową. Drzewo bądź wiatrem trącone, bądź inną dotknięte mocą, upadło w sposób nieprzewidziany, przygniatając swoim ciężarem nieszczęsnego drwala.

W sąsiedniej parafji żył też w bezbożności człowiek, głuchy na wszelkie prośby i namowy, aby się nawrócił.

Ja miałbym iść do spowiedzi? mówił, wolałbym zdechnąć jak pies, niż pochylić się do kolan księdza!

Otóż nieborak życie miał skończyć według słów własnych. W kilka dni później umierał gwałowną śmiercią na swojem podwórku, a nadbiegający ksiądz ujrzał go otoczonego psami, które lizały mu ręce.

Czyż nie jest to bezustannem wypełnianiem się słów Pisma św. „Ja się też śmiać będę w waszem zatraceniu i urągać będę, gdy to na was przyjdzie.“ (Ks. Przyp. I — 26).

IX.

Ręka Boża karcąca ludzi pracujących w niedzielę.

„Dałem wam sześć dni na pracę; dla siebie zachowałem siódmy i tego dnia nawet dać mi nie chcecie; oto z tego powodu ręka mego Syna ciężką jest".
Objaw. N. P. Salette.

Żadne prawo nie było usilniej przez Boga zalecone, jak święcenie dnia Jemu poświęconego. Prawo to jedyne noszące w nagłówku słowo: *Memento*... Pamiętaj!... niezapominaj dnia wypoczynku!

A dla czego Bóg tego żąda? Dla tego, że niedziela jest dniem Pana Boga, dniem przez Niego samego obranym, w którym istoty przez Niego stworzone, winny Go czcić i wielbić, okazywać swą wdzięczność, zanosząc gorące modły. Nie święcący niedzieli człowiek, zerwał z Bogiem, jest bezbożnikiem. Kraj, który nie święci niedzieli, uczuć religijnych nie posiada, zatem moralności mu brak: niema duszy, bo niema wiary w życie nadprzyrodzone. Tam ciało i pieniądz uznane są za boży-

szcza, więc panuje chciwość bez miary i uczciwości, przyjemnościom nie kładzie się kresu i granic, rodzina w rozkładzie, społeczeństwo w zgniliźnie, słowem, ruina i upadek narodu!

Niestety, czyż nie jest to obraz przeżywanej obecnie we Francji i u nas epoki? Czyż nie nad opłakaną rzeczywistością, Bóg ubolewał, mówiąc na szczytach Alp francuzkich, przez usta Najśw. Panny, dnia 19 Września 1846 r.:

„Dałem wam sześć dni na pracę: dla siebie zachowałem siódmy i nawet tego dnia dać mi nie chcecie: oto z tego powodu ręka Syna mego ciężką jest...“ Mszy św. słucha tylko nieliczna liczba ludzi wiekowych; inni w niedzielę pracują latem i zimą, a kiedy nie mają nic innego do roboty, idą na Mszę św. po to tylko, aby z obrzędów szydzić!“ Zdumienie ogarnia widząc jak jasno, prosto, bez ogródek słowa te piętnują zbrodnię Francji, zbuntowanej przeciw Bogu i Jego Kościołowi!

Bo, niestety, chcąc nie chcąc, godzić się trzeba z poważnem zdaniem Mgr. Dupanloup, biskupa Orleanu:

„Jedyny z nas naród na świecie, który niedzieli nie święci i gorszy świat pogardą dla prawa Bożego. Żydzi i Mahometanie uroczyście dzień siódmy święcą; Arabowie w kolonjach algierskich obchodzą go również, lekceważąc nas za nieposzanowanie niedzieli. Z tej przyczyny, w oczach ludów wierzących, nosimy znamię bezreligijnego narodu i z tej zasady wychodząc, mieszkańcy Eu-

ropy i Ameryki wielkim w tym względzie świecący przykładem słusznie nas potępiają. Anglicy, i protestanccy Amerykanie Stanów Zjednoczonych, przodujący w handlu i przemyśle, bardzo zajęci materjalnym dorobkiem, zapobiegliwi w sprawach własnych, gdy przyjdzie niedziela pilnie jej przestrzegają.

Przypatrzcie się Londynowi: w niedzielę cały świat handlowy zamiera, wszelkie prace wielkiego miasta ustają, fabryki, sklepy zamknięte, ludność wypoczywa i świętuje. Niechże cudzoziemiec do Paryża zajrzy: zachwycać się będzie sztukami pięknemi, misternością i cudami przemysłu, wspaniałemi gmachami, ale gdy przyjdzie niedziela, widząc w dniu tym pracowników w ubraniu robotniczem, sklepy i warsztaty otwarte i tłum przechodniów, zatrudnionych jakby w dzień powszedni, zdziwiony i zgorszony, czy to anglik, amerykanin, ewangelik lub muzułmanin, zadaje sobie pytanie, gdzie religja nasza i czy Francja jest jeszcze chrześcjańska? Na takie to smutne widowisko narażamy się wobec ziemi całej!“

Jakie ponure obawy rodzą się w każdym zastanawiającym się umyśle, który zachował jeszcze szczyptę wiary? To powszechne znieważanie niedzieli, czyż nie wywoła strasznej, przerażającej pomsty Bożej? Gdy lud jakiś dzień święty gwałci, buntuje się on przeciw władzy Najwyższego, bezbożność jawnie głosi, powstaje co tydzień przeciw Panu i Mistrzowi swemu. Każda zbrodnia musi być

ukaraną, a ponieważ narody tylko czas określony istnieć mają, trzeba, aby w tym czasie zbrodnie ich podległy karze. Opatrzność zawsze tak postępuje i, niestety, smutne mamy w tym względzie doświadczenie. Po porażce poniesionej w 1871 r. słusznie twierdził pewien anglik, mówiąc o olbrzymim przez Francję uiszczonym okupie: „Owe pięć miljardów spłacone przez Francję Prusakom, równają się zarobkowi niedzielnej jej pracy.“

Ilość wypadków przytrafiająca się w niedzielę i święta jest niezmierna i wymienić tu możemy tylko najważniejsze, bo w rzeczywistości należałoby zapisać kilka tomów posępnych opowiadań, codziennie wyliczanych przez pisma paryskie i prowincjonalne. Tu woźnica zgnieciony kołami wozu, tam górnik zasypany ziemią, gdzieindziej myśliwy przez nieostrożność zastrzelony, dalej cieśla lub mularz śmiertelnie raniony podczas roboty w niedzielę lub święto. Niezawodnie, wypadki tego rodzaju przytrafiają się w każdym czasie, ale na dni powszednie daleko mniej ich przypada.

Ztąd pochodzą znane francuskie przysłowia, np. „Nieszczęścia przytrafiają się zwykle w niedzielę.“ „Niedzielna praca szczęścia nie daje.“ Podajemy tu kilka przykładów:

To ja córkę moją zabiłem!

Dzierżawca folwarku w Notre Dame de Charzais (Vandea) kazał w niedzielę młócić zboże.

Podług jego obrachunku podwoić to miało jego dochody.

„O jeden dzień robotę przyśpieszę i w koszcie będzie ulga, myślał sobie, gdyż w okolicy święcono powszechnie niedzielę. Ale wkrótce dzierżawca ów poznać miał jak fałszywe są obliczenia ludzkie, jeżeli się przykazań Bożych nie zachowuje.

Na ostrzeżeniach mu nie zbywało, żona mówiła: „Nie pracuj w niedzielę, jeszcze jakie nieszczęście nas spotka!“ Co tam! odpowiedział, pracowałem kilkakrotnie i nic mi się nie stało.“

W zaślepieniu swojem zapomniał o niedawnej śmierci swego jedynaka.

Rządy Opatrzności pojmują jedynie serca prawe nie zaś zatwardziałe; ludzie starają się nie zważać na nią o ile winowajca natychmiastowej nie otrzyma kary. Młócono przez pół godziny, aż tu piętnastoletnia córka dzierżawcy, podająca snopy, upadła nagle, nogę jej pochwyciło koło trybowe młocarni, wydała krzyk straszny i zmiażdżoną została momentalnie. Gdy wyciągnięto nieszczęsną ofiarę, jej wygląd był nie do opisania. Stary lekarz, pośpiesznie wezwany, opowiadał: „Nigdy, przenigdy podobnie strasznego widoku nie miałem!“ Nie będziemy się silić na odmalowanie rozpaczy nieszczęsnych rodziców, Matka z bólu szalała, ojciec wołał z rozpaczą: „To ja córkę moją zabiłem, przyobiecałem nie pracować w niedzielę, Bóg mnie skarał!“

Świadkowie tego okropnego wydarzenia widzieli w tem jawną karę niebios. Jeden z nich

zekł: „Żeby mi kto złote góry obiecał, nie pracowałbym w niedzielę!

(*Tydzień katol.* z Secz. Wyciąg z *Tygod. z Lanoges* 1884 r.).

Tegoż roku w Montagne - Saint - Georges (Żyronda) małżonkowie Michaud, pogardzający wypoczynkiem świątecznym, cały dzień niedzielny spędzili na winobraniu. Wieczorem dziewięcioletni ich wnuczek zeszedł do piwnicy i pochylił się nad olbrzymią kadzią, chcąc winogrona zamięszać i tamże pozostał, zatruty gazami. Dziadka i babkę, którzy przybyli ratować wnuczka, ten sam los spotkał. Ludność miejscowa zatrwożyła się wielce: obyż rozumiała przestrogę daną jej przez Boga!

(*Tydzień kat.* z Secz 1884 r. str. 709).

Zgrzeszyłem i cóż mi się za to stało?

Dziwna jest nieraz łączność pomiędzy pogardą Prawa Bożego a wypadkami, jakim ulegają znieważcy niedziel, niepodobna więc nie widzieć w tem kary Bożej.

Kupiec jeden, mieszkający z żoną we Francji Zachodniej, po zebraniu znacznej fortuny z interesów się wycofał. Chełpili się oboje tem, iż są bezwyznaniowi, żartowali z praktyk religijnych, a popisując się majątkiem przy lada sposobności, czynili jak ów bezbożnik z Pisma św., który mówił: „Zgrzeszyłem i cóż mi się za to stało?“

W jednej z dzielnic miasta posiadali plac obszerny i na tym placu postanowili wznieść wspaniały dom mieszkalny. Nie liczyli się z groszem, zażądali więc od przedsiębiorców, by cała budowla gotowa była na Wielkanoc. Mówili: „Niech majstrzy z czeladzią pracują w niedzielę i święta, nas to nic nie obchodzi, bylebyśmy w pierwszy dzień Wielkanocy radość z nowego domu mieli“.

Pracowano więc w święta i niedziele bez wytchnienia i odpoczynku. W Wielką Sobotę o godzinie 12-tej budowniczy wraz z przedsiębiorcą właścicielom klucze wręczyli. Dom był skończony.

Zadowoleni i uszczęśliwieni powodzeniem małżonkowie pośpieszyli oglądać budynek tak pośpiesznie stawiany, lecz by się dostać do niego musieli przejść podwórze, w środku którego znajdowała się studnia, tymczasem deskami nakryta. Wszedłszy na pomost, deska pod stopą kupca się osunęła i wpadł na dno; żona która przypuszczalnie zatrzymać go chciała, również pociągnięta została.

Usłyszawszy jęki, pośpieszono z ratunkiem, niestety, spóźnionym, bo oboje już nie żyli.

Aktem przedślubnym zmarli zagwarantowali sobie majątek na przeżycie, skutkiem czego krewni, tak jednej, jak drugiej strony, uważając siebie za prawnych spadkobierców, rozpoczęli długotrwały proces, na który strwoniono większą część schedy.

(*Tygodnik katolicki* z Secz 1877 str. 589).

Z departamentu Haute Marne donoszą nam:

W Farté - sur - Aube w lipcu 1890 r. jednej iedzieli zawalił się z trzaskiem dach nad domem iejscowego rolnika. Rodzina właściciela domu nie ostradała wiary świętej, on sam był w wiosce rugim z kolei, który w niedzielę orał swe pola. Ojciec pierwszego znieważcy święta, zmarł na opleksję, matka pod wpływem rozstroju umysło- ego, utopiła się w rok potem.

W niedzielę 15 października 1893 r. N... z Ri- ancourt pojechał po kamienie do Chalvraines. drodze powrotnej przejeżdżając około Saint-Blin ada on z ładownego wozu, dostaje się pod koła, utkiem czego obydwie nogi ma zgruchotane. Właśnie w chwili wypadku w Saint-Blin ksiądz iejscowy głosił kazanie o święceniu niedzieli.

W niedzielę 23 września 1894 r. w Daillan- urt, znaleziono na drodze człowieka zgniecionego zez koła wozu. Był to mieszkaniec Champ-Court, óry pognał wieprza do Cirey i czas przeznaczony słuchanie Mszy św. spędził na karczemnej ławie.

Dnia 20 lutego 1898 r. w Neuilly - l'Evêque, obieta, która tej zimy nie chciała uczęszczać na kolekcje, w godzinach nieszpornych prała bieliznę. dczas owej czynności dziecko jej zapaliło się od omina i zmarło tegoż dnia wieczorem. Matka zy ratowaniu syna tak ciężkiemu uległa oparze- u, że musiano odjąć jej rękę.

W roku następnym w tymże okręgu, służący niedowiarek na Mszę św. iść nie chciał. Nim dzień upłynął, w czasie nieszporów zabił go piorun, czyniąc mu w piersiach trzy wielkie rany.

Pierwszego dnia Zielonych Świątek 1900 r. w Dammartin-le Saint-Pêre w kamieniołomie pewien człowiek pracował nad wydobyciem kamieni. W tem odrywa się wielki odłam kamienia i miażdży go na miejscu.

Niech młocarnie wypoczywają w niedzielę.

W 1885 r. katolicy w Perche (depart. Orne) wielce byli zgorszeni, słysząc po raz pierwszy huk młocarni, pracujących po żniwach w niedzielę. W owym czasie gwałtowne burze srożyły się w parafjach: La - Chapelle - Souef, Saint Germain - de - la Coudre, Saint - Cyr - la Rosière i rzecz podziwu godna, że folwarki należące do znieważców niedzieli spustoszeniu uległy, gdy inne, gdzie uszanowano prawo spoczynku, nie ucierpiały wcale.

Ogień Niebieski.

Dnia 1 lipca R.... poniósł śmierć od pioruna podczas gwałtownej burzy, która nawiedziła kantony Vicdessos, a szczególniej wioski Suc i Sentenac. Piszą w *„La Croix du Midi“*: Niejaki R.... w niedzielę rano żął zboże do 11-ej godziny. Około go-

dziny 9-ej rano ktoś przechodząc zapytał go: Nie idziesz na Mszę św? „Ech! co mi tam po Mszach!“ odpowiedział, klnąc okropnie – niech je ogień niebieski pochłonie!“

Po południu poszedł suszyć siano i oto właśnie, gdy się schronił pod stóg, piorun go dosięgnął.

Jego to, a nie Mszę św. nawiedził ogień z nieba. *Tygodnik kat. z Seez* 1897 r. strona 592. Wyciąg z *Tygodnika z Pamiers*).

Mówiąc to poślizgnął się i spadł z III-go piętra.

Dnia 8 września inżynier Morelli, któremu powierzono dozór nad przebudową pałacu Belzain na Izbę Obrachunkową, wstępuje na rusztowanie zewnętrzne, by majstrów znaglić do pośpiechu i dopilnować robót nie dosyć szybko według niego postępujących. Tłumaczą mu wszakże, że w dniu Narodzenia Najświętszej Panny wielu robotników do pracy nie stanie ze względu na święto uroczyste.

Co tam! „Nie istnieje żadna Najświętsza Panna“ odpowiada inżynier – a ci którzy pod tym pozorem nie przyjdą, stracą robotę na zawsze.“ – Mówiąc to, poślizgnął się i spadł z III-go piętra. Zbiegli się ludzie i otoczyli stygnące ciało. Prasa bezbożna w pośmiertnem wspomnieniu opłakuje zgon jego, mówiąc: „Był to jeden z najzacniejszych młodzieńców (nie miał jeszcze lat 40) w partji Młodo-Rzymskiej. Biada nieszczęsnemu!“

(Tygodnik katolicki z Seez 1871 r. str. 791).

Przestańmy pracować, nieszczęście przytrafić się może!

Silne wrażenie uczynił wypadek, który miał miejsce w jednej parafji djecezji Belley.

Pan X... wzywał do siebie robotników, godzących się się na pracę w pierwszym dniu Wielkanocy, lecz szukał naprożno. W następną niedzielę poszukiwanie wznowił i, niestety, kilku ludzi słabego ducha namówić zdołał. Ci jednak, pod wpływem wyrzutów sumienia, wkrótce zwrócili się do niego w te słowa:

„Panie, przestańmy pracować w dzień świąteczny, gdyż nieszczęście przytrafić się może“. Właściciel pola udał, że słów tych nie słyszy.

Spełniły się przeczucia robotników, bo znieważca niedzieli nagle padł nieprzytomny na ziemię. Nie umarł wszakże natychmiast; gdy go do wsi odniesiono, pojął, że stan jego jest bardzo ciężki i, chcąc ratować się, krew sobie puścił, co śmierć przyśpieszyło, gdyby zręczniejsze ręce nacięcie zrobiły, byłby może ocalony. Bodajby potrafił wzbudzić w sobie akt szczerej skruchy, przez który otrzymuje się miłosierdzie Boże!

(Tygodnik wydawany w Belley. 1889 r.)

X.

Ręka Boża karcąca podróżujących w niedzielę. — Nieszczęścia zdarzają się często w niedzielę.

W niedzielę i święta wszyscy wierni katolicy poczuwają się do obowiązku słuchania Mszy św. i nieszporów. W godzinach wolnych pozwalają sobie użyć trochę przechadki, lecz nigdy w długą nie puszczają się podróż. Wiedzą, że niedziela jest dniem spoczynku i skupienia, chętnie zatem pozostają w domu. W każdym razie, jeżeli podróżują, starają się wyjechać po wysłuchaniu Mszy św. inaczej nie czuli by się bezpiecznymi. Nie płonne są ich obawy, bo rzeczywiście w niedzielę i święta wypadki powtarzają się zbyt często; zauważono nawet, że najgroźniejsze przytrafiają się w tych dniach właśnie. Niezawodnie niema w tem żadnego dowodu, by we wszystkich przytoczonych okolicznościach Bóg podróżujących karać zamierzał, ale często przytrafiające się nieszczęścia wiele do myślenia dają. Oto kilka przykładów:

Straszna katastrofa na wersalskiej kolei żelaznej, w której zginęło kilkaset osób spalonych żywcem, zdarzyła się w niedzielę. (Wzniesiono na tem miejscu kapliczkę ku czci Matki Boskiej).

Spotkanie dwóch pociągów, powód tylu ofiar na linjii z Lionu do St. Etienne 1-go list. 1846 r. miało miejsce w niedzielę.

Rozpaczliwie smutny wypadek w Pouillouse, kilka lat temu, stał się w niedzielę.

Wybuch między Marsylją a Tulonem, który setki ofiar opłaciło życiem, stał się w niedzielę.

Dość przejrzeć archiwa kolei żelaznej z ostatnich dwudziestu lat, aby przekonać się, że uwaga nasza opiera się na szeregu faktów nie ulegających żadnej wątpliwości.

Omawiać nie będziemy katastrofy statku „Mouche“ na Saonie, zawalenia się wiaduktu w Perche, ani wielu innych strasznych przypadków niedzielnych, przypomnimy tylko że w 1879 r. na linjach drogi żelaznej we Francji zaznaczyć można trzy okoliczności, które w ciągu jednego miesiąca pociągnęły za sobą śmierć wielu ludzi. I tak:

W niedzielę 3 sierpnia, po uroczystościach w Nancy, na linji z Nancy do Xeuilly, wstrząsający wypadek stał się powodem śmierci pięciu osób i poranienia trzydziestu pięciu ofiar.

W dzień Wniebowzięcia pod Cerisy-Belle-Etoile, między Paryżem a Granville, dwa pociągi wpadły na siebie. W skutek nieszczęsnego zderze-

nia dziewięciu ludzi zostało zabitych i około 40-u rannych.

W niedzielę 17 sierpnia pod Carcassone pociąg osobowy zatamował przejście pociągowi towarowemu. Cztery wagony zdruzgotane, pięć osób pokaleczonych.

W niedzielę 4 lipca 1907 r. pociąg wychodzący o 11-ej 25 min. z Angers, a dążący do Poitiers unosił z sobą licznych podróżnych nad brzegi Loary. Za przystankiem Ponts-de-Cé, pociąg kurjerski wjechał na linję prowadzącą do 300-tu metrowego żelaznego wiaduktu, który jest przerzucony przez rzekę Loarę. Zaledwie lokomotywa wjechała na wiadukt, dało się uczuć silne wstrząśnienie, pociąg się zakołysał, poczem słyszano trzask, rozdzierające krzyki i huk powodowany runięciem pociągu w głębiny rzeki. Czterdziestu podróżnych utraciło życie.

Ilu też z tej liczby miało przezorność wysłuchania z rana Mszy św? Kiedy to piszemy (12 list. 1908 r.) dochodzi nas wiadomość o wykolejeniu, jakie miało miejsce ostatniej niedzieli na stacji Grisolle, (Tarn i Garonna), które pozbawiło życia 10-ciu podróżnych; pokaleczeniu uległo około 50-ciu osób, stan niektórych niebezpieczny.

Modlitwa ustrzegła ją...

Z listu nadesłanego do redakcji tygodnika religijnego w Angers wyciągamy ciekawy i pouczają-

cy urywek opowiadania, napisanego przez zasługującego na wiarę widza.

Przywiedziona okoliczność jest właściwiej świadectwem dobroci Boga względem ludzi Jemu wiernych, niż zadziwiającą karą. Oczywiście żadnej pewności niema, by wszyscy topielcy z pod Pont-de-Cé zaniedbali tego dnia uczestnictwa we Mszy św., ale według wszelkiego prawdopodobieństwa znaczna ich liczba swego obowiązku w tym razie nie wypełniła.

To samo dotyczy ofiar w Grisolle, bo jadąc drugim pociągiem zamiast pierwszym, nieszczęśliwcy uniknęliby zgniecenia.

W pociągu, który uległ zniszczeniu pod Pont-de-Cé, znajdowała się pobożna katoliczka, mieszkająca o kilka mil od Angers. Żywiąc całkowite zaufanie do wszelkich sposobów zalecanych przez Kościół ku otrzymaniu opieki Boskiej, nosiła na sobie, od pewnego czasu jeden z owych *Agnus Dei* z wosku, przez Ojca Św. pobłogosławionych do których przywiązane są wyjątkowe przywileje.

— Jestem przekonana — mówiła, że święta ta pamiątka ustrzeże mnie od wypadków w podróży.

W następną niedzielę, to jest w dzień katastrofy, przybyła do Angers na uroczystość św. Dominika, a ponieważ ten wielki święty jest patronem Tercjarzy, do których należała, w owym dniu zapragnęła uczcić szczególniej św. patrona.

W Saint-Laud zatem wsiadła o godz. 11-ej minut 45 do pociągu idącego w stronę Montreuil.

Próbowała parę razy zająć miejsce w jednym z wagonów, który wkrótce pochłonąć miała rzeka Loara, lecz na wejście zdobyć się nie mogła. Usiadła wreszcie w trzecim wagonie z rzędu i rozpoczęła natychmiast odmawianie modlitwy do Najświętszej Marji Panny.

Wymawiała właśnie słowa: „módl się za nami“ kiedy straszliwy wypadek nastąpił.

Boże ratuj nas! — krzyknęła, przyciskając do piersi poświęconego Baranka Bożego.

Wówczas przekonać się mogła, że poprzedzający wagon zawisł nad przepaścią.

Łańcuchy łączące wagon, w którym siedziała z poprzednim wagonem pękły... Może bezbożnik myśleć o tem co mu się podoba, lecz dobry katolik czyż może nie widzieć wyraźnej Ręki Bożej w owem zdumiewającem wydarzeniu?

XI.

Ręka Boża karcąca lżących Imię Marji.

„Biada ludziom lżącym Marję!
Syn pomści zniewagi Matce wyrządzone.“

„Bóg kocha więcej Marję“ mówi W. O. Huguet „niż wszystkich aniołów i błogosławionych razem wziętych. Ta Dziewica niezrównana więcej chwały przyczyniła Najwyższemu, niżeli Święci Pańscy, a więc i dziwić się nie należy, że z taką surowością karze zniewagi uczynione Matce Boskiej. Nie znajdą bezpiecznego schronienia przed Bożą pomstą ci, którzy Imię Marji zelżyli.

Znieważca Marji żywcem spalony.

Działo się to w pierwszej połowie XV-go stulecia.

Podczas zaburzeń paryzkich żołnierz należący do pułków ks. Burgundzkiego, wychodząc z szynku, w którym stracił wszystkie pieniądze, uderzył puginałem kilkakrotnie figurę Najświętszej Marji Pan-

ny. Zdawało się kilku osobom, przerażeniem zdjętych, że widzą [1]) tryskającą krew pod świętokradzkiem żelazem. Schwytany przestępca został na śmierć skazany. Posąg Marji zaniesiono do Saint-Martin des Champs, gdzie pod nazwą Matki Boskiej de la Carolle stał się przedmiotem szczególniejszej czci wiernych. Inną figurę umieszczono na miejscu zbrodni, gdzie rok rocznie w dniu 3 listopada palono posążek, wyobrażający człowieka uzbrojonego w puginał. Podług Villaret'a zwyczaj ten przetrwał aż do czasu ogłoszenia niniejszego opowiadania, to jest do 1764 r. [2]).

Taki był koniec zabawy, ale był to tylko początek nieszczęść p. R.

Kościół parafialny w miasteczku Husson, w okręgu Mortain, zachowuje cenną relikwję, a mianowicie starożytny posąg Najświętszej Marji, do którego mieszkańcy parafji przywiązują niezatarte wspomnienie.

W 1793 r. bezbożnie usposobieni mieszkańcy miasta Husson, uważali za stosowne zastawić na

---

[1]) Kilku osobom *zdawało* się, że widzą... Prawdopodobnie stwierdzono fakt, skoro spalono winowajcę. Niektóre ustępy z pism Lebrun de Charnette'a są w niezbyt katolickim duchu.

[2]) *Historja Joanny d'Arc* przez Lebrun de Charnette. Tom I. str. 315.

cmentarzu i mogiłach osób najdroższych ich sercu stół biesiadny, przy którym obchodzono tryumf Rzeczypospolitej.

Gdy krewni i przyjaciele nieboszczyków oddawali się hałaśliwej wesołości, naraz z pomiędzy nich łotr jeden, zwany R... niepoprzestając na grubiańskich drwinach, oświadczył, że zamierza sprawić tak zabawne widowisko, iż wszystkich do śmiechu pobudzi.

To rzekłszy, wstaje od stołu, biegnie do kościoła, wraca trzymając w ramionach posąg Najświętszej Marji Panny, a postawiwszy go na stole, rozpoczyna bluźnierczą przemowę.

Zachęcony oklaskiem współbiesiadników, bezbożny pyszałek posuwał się coraz dalej i koniec końców ośmielił się podsunąć tabakierkę pod nos figury, mówiąc: „Masz oto dobrą tabakę Obywatelko! Podał następnie kielich i rzekł: „Pij za zdrowie towarzystwa!“ Na ten widok pustota szalona ogarnia obecnych, wybuchają oni gromkim śmiechem, wnet jednak przejmujący krzyk bezeceństwom tamę kładzie. Dowcipkujący R... niespodzianie czuje, że ostry ból przeszywa prawe jego ramię, które wkrótce lodowatym chłodem zdjęte, sztywnieje i pozostaje sparaliżowane na zawsze.

Widząc w tem zasłużoną karę, cmentarni goście w przerażeniu, zrywają się pośpiesznie i uciekają co tchu na wszystkie strony.

Taki był koniec zabawy, lecz niestety był to początek nieszczęść obywatela R.

Dalej pracować na utrzymanie już nie mógł, więc z ramieniem na temblaku obchodził parafję od drzwi do drzwi, żebrząc o kawałek chleba. Nadomiar nędzy przyczepiła się do niego wstrętna choroba skórna, która, jak mówią, spowodowała śmierć Heroda i Sylli.

Ciało jego pokryte wrzodami stało się pastwą plugawego robactwa, niedającego się niczem wytępić, a które sprawiało bóle nieznośne: ponadto wydawał z siebie woń odstręczającą, przedstawiając najopłakańszy widok.

Taką była słuszna kara za jego bezbożność. Szczęśliwy, jeżeli przyjął ją z poddaniem i w myśl pokuty za grzechy.

(Revue de Coutances).

August Gazner — jego świętokradztwo i tragiczna śmierć.

Historja to już dawna, lecz wspomnienie jej żyje dotąd w pamięci licznych mieszkańców Fontenay-sur-Orne, wioski położonej o milę od Argentan, na drodze do Ecouché.

Wiadomo, że we Francji w 1794 r. wszyscy księża, którzy uniknęli śmierci, na wygnanie skazani byli, lub też ratując życie ukrywali się w bezpiecznych miejscach. Wójtem w Fontenay sur Orne był natenczas niejaki L. D., znany w całym okręgu jako rewolucjonista groźny i nieubłagany. Zoba-

czywszy opuszczoną plebanję, republikanin ów obrócił ją na stajnię i umieścił w niej własne konie.

Gdy dnia pewnego August Gagner, bezbożny i grubiański parobek wójta, szedł na plebanję, by konie nakarmić, ujrzał nad głównemi drzwiami kościoła figurę Najświętszej Panny Łaskawej, której nie zauważył dotąd.

To rozbudziło w nim gniew zaciekły, chwycił kamień i ugodził nim w wizerunek święty, potem z wściekłością tłuc zaczął figurę Matki Bożej i Chrystusa.

Dumny z niecnego czynu, niby ze zwycięztwa odniesionego nad przesądami, wchodzi na plebanję, odwiązuje konie, by je napoić i jednego z nich dosiada. Miejscowym zwyczajem prowadzi rumaki do wodopoju du Moulin, znajdującego się o trzy minuty drogi od kościoła.

Koń, na którym August siedział, spokojnie i łagodnie się zachowywał, nagle stanąwszy u wodopoju, do którego przecież co dnia przychodził, z niewiadomej przyczyny znarowił się, dęba stanął i w szalonym skoku jeźdźca swego do rzeki wrzucił.

Uniesiony prądem nieborak krzyczy w niebogłosy; ludzie nadbiegają, ale nim z ratunkiem pośpieszyć zdołano, dostaje się pod koło młyńskie, oddzielone tylko od dna na cztery cale. Wszystkie kości ma połamane. Krwią zlanego wyciągają go ztamtąd, kładą w kosz i odstawiają do wójta.

Około dwóch godzin żył jeszcze, następnie

rzionął ostatnie tchnienie i stanął przed Trybuna-
n Tego, którego Matkę znieważył.

Opisany wypadek wywołał głębokie wrażenie
parafji Fontenay i w całej okolicy. Starcy opo-
adają go dzieciom i niema chaty, w której by nie
ano historji Augusta Gagner, jego świętokradztwa
kary poniesionej.

Wskazują młyn, jako miejsce kaźni, a także
d drzwiami kościoła dziś jeszcze oglądać można
zkodzoną figurę świętą, jawny dowód uczynionej
roku 1794 zniewagi.

Jeszcze obecnie (1874 r.) żyją w Fontenay
iemdziesięcioletni ludzie, którzy widzieli na wła-
e oczy, jak niesiono poszarpane ciało Augusta do
eszkania jego chlebodawcy.

(Tygodnik kat. z Seez. (A. Maunoury) 31 lip.
73 r. str. 687).

Jeżeli cokolwiek możesz, daj nam znak widomy!..“

W Saint Pierre de la Carneille, w czasie re-
olucji, porozbijano wszystkie figury świętych,
ócz jednej, wyobrażającej Matkę Bożą, która wiel-
ą czcią otoczoną była. Pewnego dnia jakiś zajadły
ecznik ludu przyszedł na wiec odbywający się
kościele i tam zgniłe jabłko rzucił w twarz Naj-
więtszej Dziewicy, mówiąc: „Jeżeli cokolwiek możesz
rzynić, daj nam znak widomy.

W kilka miesięcy potem, żona jego urodziła

dziwną istotę nie mającą ani ludzkiej ani zwierzęcej postaci.

Kara była oczywista [1]).

„Cóż ty nie widzisz? Idźże zapytać Najświętszą Panienkę, czy też ona widzi?

Ksiądz Boissey, proboszcz w Beauchêne, (Orne) donosi nam co następuje:

W djecezji Seez pobożni katolicy z Saint-Aubin de Bonneval, zakopali w czasie rewolucji figurę kamienną Najświętszej Panny, aby ją ustrzedz przed zniewagami bluźnierców. Skoro zawierucha minęła, wyjęto z ziemi posąg szacowny, a kilka kobiet zebrało się dla odczyszczenia go przed ustawieniem na postumencie. Wśród nich znajdowała się też prababka mojej matki, która przyniosła z sobą trochę płótna dla dopełnienia tej zbożnej czynności. Zapas wyczerpał się wkrótce i musiano się udać z prośbą o czystą płachtę do stojącej opodal mieszczanki przyglądającej się ich zajęciu. „Mam ci ja w domu pięknie uprane chusty, ale nie dla niej, nie dla niej!“ To mówiąc lżyła Matkę Boską i pląsając przed figurą zachęcała innych do tańca.

Nadeszła inna kobieta, którą też proszono o chusty lub ręczniki. I ta odmówiła jak pierwsza,

---

[1]) Podług świadectwa ks. kanonika Guesdon, proboszcza w La Carneille, zebrane przez ks. Blin, kanonika katedralnego w Seez.

naśladując ją w bezbożności, jęła palcami urągliwie rozwierać powieki Matki Bożej, wyrzucając Jej, nie widzi na oczy tak dobrze jak ona sama.

Nie upłynęło dwóch tygodni, a owa pierwsza ogodziwa kobieta została sparaliżowana i w tym anie pozostała do śmierci, to jest lat 15. Druga ewiasta również wzrok straciła i kalectwo to trwało lat 30. Mąż grubjanin nie wybaczył jej nigdy, na podobną karę się naraziła i stale wymawiał ługi, jakie jej oddawać musi. Jeżeli czegokolwiek żądała, podawał jej bezlitośnie rozpalone do czerwoności szczypce lub łopatkę, dodając jeszcze te owa: „Cóż ty nie widzisz? A idźże zapytać Najwiętszą Panienkę, czy też ona widzi.“ Mógłbym ymienić nazwiska tych dwóch ofiar bezbożności, cz wolę je nie rozgłaszać.

Apopleksja raziła go na miejscu.

Pewien nieposłuszny władzy nowozaciężny zmarł uszony w stogu siana, do którego się schronił. olnierze znaleźli trupa i znęcali się nad nim. Gdy ś jeden z nich odkrył szkaplerz na piersiach umargo, zawołał: Oto najlepszy dowód, że był zbójem mordercą — i, bluźniąc, przedziurawił obrazek Najwiętszej Marji Panny. Jakież było jednak zdumienie obecnych, skoro ujrzeli, że ów świętokradca nale drgnął, twarz jego wykrzywiła się ohydnie.

To apopleksja raziła go na miejscu.

(Wyciąg z florenckiego *Contemporaneo,* podany o dziennika *Monde* z 23 kwiet. 1863 r.)

Stracił równowagę i padając złamał obydwie nogi.

Czytamy w „Univers“ (Nr. z 39 maja 1871 r.):

Wczoraj w niedzielę w Chantilly pod Paryżem straż narodowa, umieszczona w gmachu Lazarystów, była świadkiem niżej opisanego zdarzenia:

Jeden z obywateli dostrzegłszy figurę Matki Boskiej, postanowił ją obalić, pomimo oporu towarzysza, wszedł na drabinę i cios wymierzył, wtedy stracił równowagę, spadł na ziemię i połamał obydwie nogi. Zmarł tejże nocy. Widok ten wywarł na widzach silne wrażenie.

Jeden oślepł, drugi zwarjował.

Ktoś zasługujący na wiarę, donosi z Kintyheim (Alzacja) do *Echo de Fourvières* z dnia 4 czerwca 1872 r.

Opowiem wam fakt doraźnej kary, którą niebo zesłało na dwóch ewangelików, bezczelnie łżących Najśw. Marję Pannę i Ojca św.

Znieważający Matkę Bożą był robotnikiem z Mulhausen: w chwili bluźnierstwa odrazu wzrok utracił, drugi zaś karczmarz z Plaffen-Hoffen (prowincje nadreńskie) wyrysował karykaturę Ojca św., obok którego umieścił szczekającego psa. Natychmiast po skończeniu rysunku człowiek ów dostał obłędu, począł szczekać jak pies i wyć w niebogłosy. Może ich oglądać, kto tego zapragnie. Oto znaki widoczne potęgi Boga!

Kto Jej dotknie, temu biada!..

W Tygodnika z Monpellier donoszą:

Ludność miasta Vias była niedawno świadkiem jednego z tych wydarzeń, które są jakby odwetem Bożym za śmiałość stawienia Mu czoła.

Oto przy jednej z najruchliwszych ulic, na froncie prywatnej kamienicy, widniał posąg Najśw. Marji Panny, umieszczony tam od dawna. W latach ostatnich, gdy dom zamieniono na gmach publiczny, figura została usunięta, lecz przygarnęły ją dłonie pobożne i umieściły kilka miesięcy później w nowej wnęce na sąsiednim domu. Tym sposobem, ku radości mieszkańców, Najświętsza Marja Panna w dalszym ciągu na uliczce tej pozostawać miała.

Po upływie pewnego czasu, jacyś młodzieńcy przez lekkomyślność lub chełpliwość, tę oto pogróżkę wyrzekli, przechodząc mimo figury: „Nie pobędzie tutaj długo!“ Przestraszona ludność dzielnicy błagalną prośbę do właścicielki domu zaniosła, aby kratą zabezpieczyć kazała figurę. „Tego nie uczynię,“ odpowiedziała, „Najśw. Panna dostatecznie jest potężna, aby obronić się od napastników, a kto Jej dotknie, temu biada!“

Atoli po ośmiu miesiącach, groźba po części została wykonana. Figura z lanego metalu ciężką była, więc zdołano zaledwie z miejsca ją poruszyć: przechylona pionowo wsparła się o tylną ścianę framugi. Ustawiono ją napowrót, przypuszczając, że świętokradztwo się nie powtórzy. Niestety, inaczej się stało.

W nocy z 13 na 14 maja 1903 r., (kładziemy nacisk na ten ważny szczegół), około w pół do jedenastej wielki hałas, niby stuknięcie o ziemię spadającej bryły żelaznej, przerwał sen kilku sąsiadów. Czuwające jeszcze dwie osoby wyszły na próg domu i spostrzegły uciekających trzech ludzi. Nieśmiało kilka kroków postąpiwszy w stronę zkąd je huk doleciał, ujrzały leżący na ziemi posąg Najśw. Marji. Obydwa ramiona były odłamane, twarz nosiła znaki kilku zadraśnięć, obok figury zaś spoczywało narzędzie zbrodni czyli długi kij, zakończony zakrzywionym drutem w formie haczyka.

Wieść o świętokradztwie trwogą przejęła wszystkich, najobojętniejsi nawet nie zawahali się potępiać niecnego czynu. Proboszcz miał sobie za obowiązek ogłosić w niedzielę o tym smutnym fakcie z ambony, przyczem polecił modlić się za winowajców, by oddalić od nich pomstę Bożą. Pokazało się w następstwie, że pobożne życzenie proboszcza spełnić się nie miało. Tymczasem zreparowaną figurę ustawiono znowu w framudze i milczenie osłoniło zbrodnię i jej wykonawców.

Będzie temu około dwóch miesięcy, jak na folwarku pani Chivaux w Vias służący zebrali się na posiłek, a byli też tacy, którzy wiodąc śprośne i bezbożne rozmowy wywołali oburzenie. Chłopiec stajenny, chociaż w gruncie rzeczy niezbyt pobożny, uważał jednak za stosowne przerwać gawędy temi słowami: „Zamilczcie, proszę was, może być z tego jaka bieda.“—„Co za niedorzeczne obawy! odezwał

się ktoś, którego nazwisko, przez wzgląd na rodzinę zaznaczę tylko literami T. A.“ Niezadługo rok upływa, jak kazałem zejść Matce Boskiej de la Glacière, a przecież żadnego nie poniosłem szwanku.“ Poczem drwiąc i przechwalając się, jął opowiadać, jak za pomocą kija z zakrzywionym końcem chwycił figurę za głowę i zrzucił na dół. Tak więc wobec licznych przyjaciół zwierzył się z dokonanej zbrodni, a co gorsze szczycił się nią.

W pierwszych dniach maja T. A. przyjął służbę u margrabiego de Castellane w Saint Jean de la Cavalerie w okolicy Vias, a stanął do obowiązku w poniedziałek 9 maja. Dzień Wniebowstąpienia 12-go tegoż miesiąca spędził jeszcze w Vias, skąd późną nocą powrócił. Nazajutrz w piątek rządca zadysponował od rana siew sztucznych nawozów, polecając T. A. zawiezienie superfosfatu robotnikom w pole.

Nie małe było zdumienie, gdy o 4-ej po południu wjechał na dziedziniec folwarczny wóz z koniem, ale bez woźnicy. Cóż się stało? Czy nieszczęście jakie? Biegnąc w stronę winnicy, gdzie pole zasilano nawozowym proszkiem, ujrzeli ludzie T. A. rozciągniętego bezprzytomnie na drodze. Głęboką ranę miał w głowie, a twarz pokaleczoną kołami wozu. Co było przyczyną upadku? Nikt się nie dowiedział.

Około 8-mej wieczorem zaniesiono rannego do rodzicielskiego domu w Vias, a wezwany lekarz stwierdził pięć ran śmiertelnych w głowie, reszta zaś ciała pozostawała nietknięta. T. A. tejże nocy,

po strasznych cierpieniach ducha wyzionął, nie odzyskawszy przytomności do końca.

Tak więc T. A. pochwycił Najświętszą Marję za głowę: Bóg go w głowę uderzył. Najświętsza Panna otrzymała pięć ran na ciele: T. A. miał pięć ran na głowie. Popełnił zbrodnię w nocy z 13 na 14 maja 1903 r. Umarł w nocy z 13 na 14 maja 1904 r. Zbyt jawna była kara i nikt zaprzeczyć jej nie mógł. T. A. zeszedł z tego świata z piętnem świętokradztwa i naśladowcom swoim przekazał surową naukę. Nie można nadaremnie drwić z Boga i Jego Matki Najświętszej.

Umiera uduszony i pochowano go jak psa.

Bezwyznaniowiec zamieszkały w Valliere-les-Grandes (Loir i Cher) na znak wzgardy i bluźnierstwa, miesiąc temu, zawiązał różaniec około karku swojego psa, niby obrożę. Utrzymywał, że jest to najlepszy użytek z różańca, „że od tego czasu szczęści mu się na polowaniu i nigdy dorodniejszych zajęcy nie bił.“

Ale wkrótce potem szyja silnie mu nabrzmiewa, nie może jeść, ani oddychać i umiera uduszony po trzech dniach strasznej katuszy.

Na jego żądanie, pochowano go jak psa.

(Tyg. Kat. z Seez 1889 r. str. 637.) (Wyciąg z Tyg. tuluzkiego).

**Jeżeli jesteś Najświętszą Dziewicą,
okaż mi to, odejmując mi ramię.**

Czasem za zuchwałość poczytać można chęć wyodrębnienia działalności Opatrznościowej w tym lub owym fakcie, ale bywają niekiedy tak dziwne okoliczności, że najodporniej usposobione istoty odczuwają potrzebę uznania, iż jest jednak w tem „Palec Boży“, takie zdanie wypowiedział Tygodnik Religijny, wydawany w Bayeux z dnia 23 kwietnia 1889 r. Może niżej opisana rzecz służyć będzie za przykład.

Corriere di Napoli, przeciwreligijna gazeta, podaje fakt nadzwyczajny, który miał miejsce w Liver pod Casa Marciano. Żył tam niejaki Filip Baronne, człowiek nader gwałtownego charakteru, który miał zwyczaj bluźnić i swemi czynami obrażał religijne uczucia rodziny oraz wszystkich domowników.

Kilka dni temu, po sprzeczce z żoną, w napadzie złości, rzucił jakimś przedmiotem w obrazek Najśw. Marji i krzyknął: „Nie mam ciebie wcale za Matkę Boską, a jeżeli nią jesteś, okaż to, odejmując mi ramię!..

Kończąc te słowa zwalił się na ziemię, jakby rażony piorunem i w omdleniu leżał przeszło pół godziny. Odzyskując przytomność uczuł, że prawe jego ramię, to, którem znieważył obrazek święty, bezwładnie zwisa i rozkładać się zaczyna.

Położył się do łóżka a okrutne cierpienia dokuczały mu coraz bardziej. Zakażenie krwi ramię całkowicie odjęło i zmarł kilka dni temu.

Widać miejsce na oczy przeznaczone, ale źrenic brak.

Około Buguey, w jednej z parafji, którą moglibyśmy wymienić, żył pewien wieśniak. Bezbożność rewolucyjna tak dalece przewróciła mu w głowie, że zapragnął sławy zdobytej bezbożnym czynem. Zbliża się tedy do posągu Marji wołając: „Wpatrujesz się we mnie, otóż za chwilę nie będziesz mnie widziała,“ jednocześnie młotem wybija oczy Najświętszej Pannie.

Był on natenczas bezżennym, w lat kilka potem ożenił się, a pierwsze dwoje dzieci przyszły na świat niewidome; znać było miejsce na oczy lecz źrenic brakło; w obec tego dowodu, ojciec uznał oczywistą karę Bożą i nie łudził się. Zrozpaczona żona modliła się i na Mszę św. dawała, on zaś do Sakramentu Pokuty przystąpił i nawrócił się, prosząc Boga o przebaczenie. W następstwie rodzina jego powiększyła się jeszcze, a nowonarodzone miały oczy piękne i wzrok doskonały.

(Straszne kary na Rewolucjonistów przez O. Huguet, str. 176).

Warto rzecz tę rozgłosić, nie można zamilczeć nauk danych przez Boga.

Tydzień Religijny w Angôuleme, ogłasza fakt następujący, podany do gazety przez O. Brieuc trapistę z Thymadeuc. Zdarzenie, które opowiemy, nastąpiło w zeszłym roku w Brehan-Loudéac i wywołało ogromne wrażenie:

„Przed klasztorem naszym, drogą prowadzącą do kanału, szło trzech czy czterech młodych ludzi w wieku od lat 16 do 20-tu. Było to w niedzielę 16 lipca 1905 r. w godzinach po południowych. Doszedłszy do drewnianego krzyża, któryśmy wznieśli blisko drogi, zatrzymali się. Wówczas jeden z nich dziewietnastoletni młodzieniec, nazbierał kamieni i obrzucił nimi wizerunek Matki Boskiej, zawieszony u stóp Ukrzyżowanego. Ciskając kamienie miotał też obelgi. Uczciwsi koledzy oburzali się na szaloną jego zuchwałość, drwił z nich, ale przestał kamienować Matkę Boską i odszedł w stronę kanału. Tam po kąpieli cała gromada tą samą powracała drogą. Pod krzyżem znieważca powtórzył ohydne świętokradztwo, lżył, jął kamyki rzucać: „Dalej że mała — mówił, zwracając się do Najświętszej Panny — sądzę że mnie do piekła nie wtrącisz, nie stać cię na to!“

Soboty następnej dnia 22 lipca około godz. 1-szej po południu, znieważca dążył do kanału, aby się wykąpać. Towarzyszyli mu wówczas chłopcy 13- 14-to letni. Ledwie wszedł do wody, stracił grunt pod nogami i znikł z oczu. Potem ukazał się jeszcze kilkakrotnie na powierzchni wody wzywając ratunku.

Ta walka z żywiołem trwała z dziesięć minut i przez ten stosunkowo długi czas, towarzysze stali nieruchomo na brzegu kanału, o dwa kroki od topielca, jakby siłą jakąś powstrzymani, patrzyli na

niego bezradnie, gdy wystarczyło by ułamać i podać mu mocną gałąź wierzby rosnącej w pobliżu.

Dopiero kiedy topielec nie ukazywał się więcej, chłopcom wróciła przytomność umysłu i pobiegli do dozorcy szluzy po ratunek. Lecz było już zapóźno... wyłowiono trupa.

Zdaje mi się, że warto rzecz tę rozgłosić, nie można zamilczeć nauk danych nam przez Boga!

Imienia nieszczęsnego młodzieńca nie podaję. Pozostawił po sobie serca zbolałe, których smutku pogarszać nie należy.“

Kara i miłosierdzie.

Rewolucjoniści w pewnej wsi, uważali za stowne z bluźnierstwem na ustach zdjąć czczony, starożytny i piękny posąg Najśw. Marji podstawy. Jeden z nich, chcąc się wyjątkowym popisać zapałem, wyraził zamiar utopienia figury w studni, na co, ku przerażeniu uczciwych ludzi, jednomyślną uzyskał zgodę. Projektodawca sam najgorliwiej nad wykonaniem dzieła pracował. Zginęła tedy figura w studziennym otworze, lecz krótka była radość bezbożników, bo świętokradzca w tej chwili wzrok stracił, tak, że trzeba było odprowadzić go do domu. Nie nawrócił się jednak pod wpływem kary i niewidomym pozostał do końca.

W kilka lat później, chociaż Francja odzyskała spokój upragniony, figura Matki Boskiej na dnie studni pozostała, o czem pobożni bez głębokiego

żalu myśleć nie mogli. Aż pewnego dnia rzekł do nich proboszcz:

Trzeba nam modłami gorącemi przebłagać Najświętszą Marję Pannę i wydobyć jej święty wizerunek ze studni, gdzie pozwoliliśmy go wtrącić.

Przyznano słuszność proboszczowi i wszyscy gotowali się do tej uroczystości, która miała być ogólnem świętem.

Około studni zebrali się mieszkańcy wsi za wyjątkiem proboszcza, który miał kierować robotą: nadszedł wreszcie, ale nie sam, bo prowadził ślepca wszystkim dobrze znanego, a którego nikt się tu widzieć nie spodziewał. Ruchem ręki proboszcz uciszył gwary i dał znak, że chce mówić.

– Chrześcjanie!—rzekł,— ten niewidomy, dręczony wyrzutami sumienia, dziś rano przyszedł, aby odemnie i od was uzyskać łaskę, którą mu obiecałem w waszem imieniu: prosi pokornie, abyście mu wspólnemi siłami pozwolili ciągnąć liny, któremi niezadługo wydobywać będziecie figurę Najśw. Marji Panny ze studni. Okazuje się, że do wrzucenia jej przyczynił się dziesięć lat temu. Żałuje teraz za grzechy swoje i świętokradztwo, za które słusznie został ukarany; chce przebłagać Boga i was wszystkich, katolicy! Zapewniam, że Bóg i Najśw. Marja Panna przebaczyli mu, teraz bracia na was kolej.

Tak – jęknął z płaczem niewidomy, wyciągając ręce przebaczcie! ani dniem, ani nocą nie mam spokoju, sumienie mnie dręczy, przebaczcie!

Dobrze, dobrze, niech ciągnie liny!—zawoła-

li obecni z radością widząc jego skruchę. Niewidomy do zrębu studni przystąpił i dano mu w rękę linę. Już ludzie schodząc w głąb dojrzeli posąg na szczęście nieuszkodzony, linami przytwierdzono go silnie i podnosić zaczęto śpiewając litanję. Wszystko szło pomyślnie. Widok ukazującej się figury bezmierną radością serca przejął, lecz wybuchy szczęścia zagłuszył krzyk wielki, a wyszedł on z piersi ślepca, który na kolanach, z rozwartemi ramiony, wołał: „Widzę!.. widzę!.. widzę!.. Otoczono go, a on przejrzał istotnie i nie było to złudzeniem, gdyż wzrok odzyskał zupełnie. Już teraz bez przewodnika szedł za figurą, którą procesjonalnie lud odnosił na dawne miejsce i do ustawienia jej dopomagał. Oto niezaprzeczony dowód miłosierdzia Najśw. Marji.

(Ludwik Veuillot).

Śmierć Zoli.

Rzadko spotyka się znieważców Niepokalanej Dziewicy, którzyby do szlachetniejszych powrócili uczuć; ich udziałem raczej zatwardziałość serca i ślepota rozumu: Biada znieważcy Marji! Bóg karze za obrazę czci Najświętszej Panienki.

Zola ośmielił się podać w wątpliwość cuda spełnione w Lourdes i rzecz nadprzyrodzoną przedstawił w sposób najzupełniej fałszywy. Omyłiły go rachuby. Zamiast spodziewanej chwały zebrał plon ludzkiej wzgardy. Zadano bezwzględny kłam jego twierdzeniom i doszło do tego, że za dowiedzenie

faktów przytoczonych w jego opisie cudownej miejscowości, obiecywano pisarzowi znaczne sumy, a ponieważ dowodów dostarczyć nie mógł, został ośmieszony w opinji całego świata.

W rok po potępieniu dzieł Zoli przez Papieża, autor bezwstydnych romansów, cuchnących kałem rynsztoków, znieważca Krzyża św. i Niepokalanie Poczętej Marji, zmarł w warunkach, w jakich obracał się przez całe swoje życie, znaleziono go bowiem po śmierci pogrążonego we własnym kale.

Dnia 3-go czerwca 1908 r. parlament francuzki postanowił przenieść zwłoki Zoli do Panteonu, gdzie spoczywają ludzie zasłużeni w narodzie. Marzyli o tem wyróżnieniu przyjaciele pisarza, lecz posłużyło ono tylko do zohydzenia jego pamięci.

Wprowadzono Zolę do grobów Panteonu wieczorem i potajemnie. Nazajutrz, zamiast tryumfalnej owacji, ludność Paryża wyraziła swe oburzenie szyderczym okrzykiem:

„Opluć Zolę! Do wody z nim!...“

Takim to wyrazem wzgardy zakończono uroczystość.

Przytaczamy tu urywek „Apoteozy Zoli“ napisanej przez Karola de G....:

O Jezu!
Cofa się me pióro
Przed sprośności falą,
Z której wyszedł nędzarz,
Co ludzkość Twą skalał!...
Nie jestże to straszne
I „niedopuszczone“

Przeciw rozumowi
Bluźnić tak bezczelnie?
Wszak Sam mówisz o tem,
Że rzecz to ohydna,
„Której ni zapomnieć,
Ni odpuścić można.“
Bóg Sprawiedliwością
Jest wieczyście trwałą,
Łamie więc i kruszy
Pierwszego bluźniercę,
A potem skrwawioną
Potrząsając rózgą,
Ściga na barłogu
Zolę Apostatę.
W noc ciemną go ludzie
Znaleźli mrącego
Jako i żył dotąd...
W nieczystościach własnych!

XII.

Ręka Boża karcąca ucztujących w Wielki Piątek.

W Wielki Piątek, kiedy wierni korzą się u stóp
rzyża, garstka bezbożników, nazywających siebie
olnomyślnymi, w wesołem towarzystwie mięsiwem
ę opycha. Wybór ich pada przedewszystkiem na
naczne kąski sporządzone z owego zwierzęcia,
óre prawdopodobnie jest dla nich mądrości wzo-
m: przeto kiełbasy i szynki stanowią dla nich
poście najlepsze przysmaki a jedząc wieprzowinę
uźnią jeszcze lepiej.

Nie jeden też umyślnie je mięso w dni postu,
y zaznaczyć swoje niedowiarstwo. Ale, niestety,
ięso w Wielki Piątek spożyte, dotkliwie obciąża
eraz, jeśli już nie sumienie, to w każdym razie
łądek bezbożnika. Oto przykłady:

Nie czekał długo na karę!...

„Kurjer Lugduński“ opisuje wiarogodne doniesienie:

Wolnomyśliciele z Saint Chamond, a było ich sześciu, umyślili dwa lata temu, zapoczątkować wielkopiątkowe uczty.

Jedli tłusto, bluźnili swobodnie, posunęli bezbożność do ustawienia pod stołem figury Chrystusa, na którą kości i szczątki biesiady rzucali.

Ale za ich plecami stała kara! Z sześciu wspólników świętokradzkiej uczty, trzech utraciło cały majątek, czwarty, z mocy wyroku trzy miesiące w kozie przesiedział, piąty zabił się, w obawie niesławy spowodowanej nadużyciem zaufania ludzkiego; szósty jest w wielkim strachu, by go nie spotkał los jego bezbożnych przyjaciół wielkopiątkowej uczty.

Usta bezbożnika pozostały otwarte.

Pewien kupiec z Ferté-Fresnel pilnym był czytelnikiem gazet wolnomyślnych, a także gorliwym krzewicielem jadania mięsa podczas postu. Ulubione jego pisma wychwalały książęce i akademickie obiady, kiedy to za pięknych dni Cesarstwa jedzono kiełbasę w Wielki Piątek. Zdawało mu się, że stanie się sławnym, że o nim wyłącznie mówić będą we wszystkich jadłodajniach,

zeli pójdzie za przykładem słynnych owych roz-
stników, to też naśladować ich postanowił.

Umyślił w tym celu kupić śledzia i indyka,
y indyka spożyć w Wielki Piątek a śledzia na
ielkanoc. Już w Wielki Czwartek wydał rozkaz,
ptaka zabito i oskubano, a sąsiadów wtajemni-
ył w swoje zamysły, lecz rozniesiona wieść nie
lepszyła ani też pogorszyła jego opinji, gdyż da-
no, dzięki gorszącemu postępowaniu, oceniono go
edług rzeczywistej wartości.

Ucztować zapragnął od Wielkiego Czwartku
 począwszy, czyli od 12 kwietnia. Zastawiono prze-
suty obiad, wino się łało strumieniem a bluźnier-
wom końca nie było. Na raz kupiec zwraca się
o służącego i mówi: „Każ przyrządzić w kuchni
ew indyka, mam ochotę skosztować jej dziś je-
cze...“ poczem dziwnym dodał głosem: „Prawdę
owiedziawszy śledzia nie lubię... Zamrę jeszcze
zed niedzielą, wszyscy powiedzą: dobrze zrobił!...“
odano mu potrawę z krwi: nowem powitał ją blu-
ierstwem i do otwartych ust poniósł, ale usta
mknąć się już nie miały. Spojrzano na niego:
argi miał rozwarte, błędne oczy bezmyślnie patrzą
zed siebie, z krzesłem w tył na wznak upada.
taczają go zewsząd, wzywają lekarza, nie szczędzą
oskliwych zabiegów, wszystkich środków probują,
e napróżno!

Kupiec G... przez cztery dni konał w strasznej
ęce. Przyszedł ksiądz: czy jednak słowa jego, czy
nak Krzyża, kreślony nad umierającym człowie-

kiem, wywołać zdołały w jego duszy uczucie żalu Jest to tajemnica Bogu tylko wiadoma. Przyto mności nie odzyskał i, przeżywszy lat 35, umar w drugi dzień Świąt. Chociaż niezwlekano z po grzebem jednakże woń wydzielająca się z trumny była do tego stopnia przykrą, że zamykano drzw i okna na ulicy, którą kondukt żałobny przechodził Straszny cios Sprawiedliwości Bożej, wszystki umysły poruszył.

(Tyg. kat. z Seez 23 kwiet. 1874 r. str. 269)

W 1874 r. słyszeć się dały w małej osadzie Varages śpiewy i krzyki nocne, wyprawiane przez kilku bezbożników, którzy urągali Jezusowi Chry stusowi urządzeniem świętokradzkiej uczty w Wiel ki Piątek. W następnym roku wódz bluźnierczej bandy zmarł nagle na kurcze żołądka i pochowano go 26 marca czyli w sam Wielki Piątek.

(Tyg. kat. z Secz 1875 r. str. 243).

Nie utonął, lecz powodem śmierci było uderzenie krwi do głowy.

Otrzymaliśmy list następującej treści:

Pouliguen d. 21 lipca 1908 r.

Szanowny Księże Proboszczu!

Włożono na mnie obowiązek opisania żądanych przez ks. proboszcza szczegółów, odnoszących się do tragicznej śmierci jednego młodzieńca z naszego

wybrzeża. Przepisuję je wprost z regestru parafialnego i w słowach zamieszczonych w tymże regestrze.

W roku 1904 w Wielki Piątek niejaki Legars, rodem z Batz, zaszedł do rzeźnika w Pouleguen i kazał sobie dać mięsa. Rzeźnik zwrócił mu uwagę na post, lecz otrzymał odpowiedź, że rzecz to obojętna, bo mięso w Wielki Piątek równie dobrze smakuje jak w inne dni. Najadł się i poszedł łódkę wypróbować w towarzystwie niejakiego Lescadron, z którym zrobił wycieczkę na morze w stronę wysepki Evains. Powrócili niebawem ztamtąd i gdy już dobili do portu, wiatr łódkę zakołysał i takową wywrócił. Znieważca Wielkiego Piątku pływać nie umiał, więc groziła mu śmierć niechybna. Woła ratunku, błaga towarzysza o pomoc, poczem z oczu ginie. Lescadron jednak, pływak zdolny, tonącego pochwycił i na brzeg wyniósł: Legars oddychał jeszcze, lecz był nieprzytomny. Wezwano natychmiast miejscowego lekarza, przybył również lekarz z Guerrain, bawiący chwilowo w Pouliguen. Po daremnych usiłowaniach i wypróbowaniu wszystkich środków sztuki lekarskiej, Legars zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Powodem śmierci nie było utonięcie, bowiem kilka zaledwie sekund w nurtach pozostawał, lecz za rzeczywistą przyczynę uważać należy uderzenie krwi do mózgu.

Ks. J. M. Perraud, wikary w Pouliguen.

Doraźna kara.

Czytamy w dzienniku *Union:*

W Wielki Piątek roku bieżącego (1881-go) kilku młodych ludzi w Boulogne sur Mer, urządziło przedstawienie Męki Pańskiej, w zamiarze ośmieszenia takowej.

Grający rolę Judasza zachorował na groźną ospę w dzień Wielkiejnocy i miał ciało pokryte strupami niby trądem. Odstawiono go do szpitala, gdzie w przystępie silnego gorączkowania tak niespokojnie się zachowywał, że dozorcy zmuszeni byli trzymać go we czterech i nałożyli choremu kaftan warjatów. Przez dwa dni w strasznych męczył się cierpieniach a w dodatku życie zakończył bez pociech religijnych. Ta straszna śmierć, bezpośrednio następująca po świętokradzkim czynie stanowi dotąd przedmiot rozmów okolicznych mieszkańców.

(Tydzień kat. 1881 r. 16 czerwca).

Dalszy ciąg wyżej opisanego faktu podał *Univers* z dnia 22 lipca tegoż roku:

Z trzynastu niedowiarków w Boulogne sur Mer, którzy w loży massońskiej urządzili ośmieszające widowisko z Bożej Męki, aktor, który Jezusa Chrystusa udawał, zeszedł ze świata 15 dni temu, po dwudziesto-cztero-godzinnej chorobie; oznaki jej przypominały cierpienie, jakim uległo dziewięciu wspólników świętokradzkiego czynu, dziś już nie żyjących. Jakeśmy już powiedzieli, pierwszą ofiarą był przedstawiciel Judasza; okropna choroba dotknę-

ła go w Wielką Sobotę, wywołując natychmiastowy rozkład ciała, tak, że w niedzielę Wielkanocną był już trupem cuchnącym.

Trzy śmierci.

We wsi la Meuse młody człowiek, by wywołać zgorszenie, chciał w Wielki Piątek kupić mięsa, i zjeść go natychmiast, lecz rzeźnik, przeczuwając zamiar ów bezbożny, zbył młodzieńca odmową. Babka jego jednak, przez słabość dla wnuka, uległa prośbie, a ponieważ nie miała świeżego mięsa pod ręką, odkroiła kawałek szynki. Młodzieniec zjadł trzy kawałki. W krótkim czasie umiera babka w piątkowy dzień, ojciec kończy życie w piątek, on zaś sam doczekał się swojej kolei, bo skonał również w piątek o godz. 3-ciej.

(Wyciąg z *La Croix* 26 maja 1885 r.).

Żołądek okazał się drażliwszym od sumienia.

Sędzia pokoju w jednym z kantonów departamentu Orne bezbożnych był zasad, a chcąc zasłynąć z wolnomyślności, wydał w Wielki Czwartek, bieżącego roku, rozporządzenie swej kucharce, by upiekła kurczę na obiad wielkopiątkowy. Uczciwa kobieta i pobożna, jak na ogół wieśniacy, tłumaczyła panu, jaki to grzech popełnia, jedząc mięso w dniu ściśle nakazanego postu. Nie nalegał dłużej, ale kupił sam wieprzowe kotlety i zjadł je w Wielki

Piątek. Wieprzowina nie obciążyła sumienia, inaczej rzecz osądził żołądek, bo w sam dzień Wielkanocy zmarł sędzia pokoju skutkiem niestrawności. Nazajutrz, to jest w poniedziałek, komisarz policyjny kazał dół wykopać na cmentarzu i pochował go bez ceremonji religijnych.

Jest to fakt, który powtarzają sobie ludzie w całej okolicy miasta Alençon.

(Tygodnik katolicki z Seez 1885 r. stron. 356).

XIII.

Ręka Boża karcąca znieważców Świętych Pańskich.

Nędznem było życie świętych na ziemi. Prześladował ich świat i szyderstwem ranił. Ale po śmierci Bóg cześć im przywraca tak w niebie, jak i na ziemi. To najmilsi Jego towarzysze, bo dla Imienia Jego wiele cierpieli. Czy nie słusznem, że zażywają chwały po dniach bólu i troski? To też biada znieważcom świętych! Biada temu, który z piekielną bezczelnością wznosi świętokradzką rękę na posągi i wizerunki świętych sług Bożych!

Zawalenie się domu po raz pierwszy, drugi i trzeci.

W 1794 r. komisarz Konwencji Garnier de Saintes, przejeżdżając przez Sees, dostrzegł wspaniałe posągi Apostołów umieszczone na froncie katedry. Podrażniony tym widokiem gromił i domagał się zniszczenia tych arcydzieł świadczących, o wierze ojców, bo uważał je za rzecz zabobonną.

Rada jeneralna, pod wpływem strachu, uchwa-

liła skwapliwie większością głosów, zebranie sumy pieniężnej na usunięcie ozdób z najpiękniejszej świątyni Pańskiej, która jest chlubą djecezji Seez.

Wyrwano przytrzymujące klamry żelazne, zarzucono sznury i dzieło zniszczenia zostało dokonane!

W jakiś czas wystawiono posągi na sprzedaż przez licytację publiczną i znalazł się człowiek bezbożną myślą wiedziony, który kupił drogocenne szczątki i umieścić kazał na nowobudującym się domu. Zaledwie kamienica stanęła, huk straszliwy dał się słyszeć: dom się zawalił. Odbudowano go po raz drugi i trzeci, a za każdym razem powtarzał się ten sam wypadek.

Niefortunny budowniczy, doprowadzony do wściekłości, chwyta fuzję, nabija ją kulą i strzela do resztek pozostałych posągów Matki Bożej i Świętych... Niebawem bezbożnik ten dostał obłędu.

W 1860 r. około 30 osób potwierdziło to zdarzenie, niektóre z nich naocznymi były świadkami, inne o niem słyszały.

(Tydzień katolicki z Seez 1896 r. Artykuł p. Hektora Marais (świadectwo ks. Blin, kanonika tytularnego i ks. Ragot, proboszcza przy kościele Najświętszej Marji Panny na Rynku, którzy fakt ten potwierdzają).

Jeżeli jesteś świętym, dowiedź tego!

Mgr. Depéry, niegdyś biskup w Gap i autor *Historji Belley* opowiada w tomie I-szym fakt,

który miał miejsce w djecezji Belley i jest znanym w całym departamencie Ain.

Roku 1793 dnia 8 grudnia świętokradzkie ręce, zbeszcześciwszy kościół i kaplicę, w której oddawano cześć szczątkom św. Anzelma, — zerwały też z ołtarza relikwiarz zawierający ciało świętego, a to w zamiarze spalenia go na placu miejskim. Trwoga i zdumienie ogarnęły miasto Belley. Zebrał się wkrótce na placu tłum ludzi. Dużo było tam niedowiarków, innych zaś wiodła pobożna ciekawość, co się stanie z relikwią świętą? Otwarto relikwiarz i kilku odważniejszych katolików pośpieszyło ukryć i zachować starannie trochę kostek i szat, pokrywających ciało. Znalazł się jednak pewien człowiek, któremu na imię było Michał, ten zbliżył się gniewnie do relikwiarza drwiąc z niego i szydząc, a chwyciwszy głowę świętego, pokazywał ją wszystkim, poczem silnie rzucił o posadzkę i zdruzgotał, mówiąc: „Jeżeli świętym jesteś, dowiedź tego“ Dreszcz wstrząsnął obecnymi.

Minęło dni kilka, aż tu na szyi owego Michała okazują się straszliwe narości, zwisające z ramion na 20 cent. długości. Kalectwo to nie opuściło go do śmierci to jest przez czas 23 lat, a ludność miasta B. nie omieszkała w wypadku tym uznać karę nieba, jednoczącą sprawiedliwość z miłosierdziem.

Upłynęło wiele czasu: Michał na środku kościoła w obecności licznie zebranych ludzi prosił Boga o przebaczenie, a potem błąd swój na rynku

głośno wyznał, zalewając się łzami. Tknięty żalem serdecznym, powrócił do uczuć chrześcjańskich i wielkim zapałał nabożeństwem do św. Anzelma. Śmierć zastała go w podniosłem usposobieniu ducha, więc przypuszczać należy, że znalazł miłosierdzie wobec Boga, obrońcy swych świętych.

Potrójna amputacja.

W innem miasteczku tego samego departamentu, ułożono stos, aby na nim spalić wszystkie figury świętych. I tu znalazł się człowiek, chcący pochwalić się bezbożnością swoją; ujrzał więc jedną figurę, która przypadkowo zsunęła się ze stosu, pchnął ją trzykrotnie nogą, nie szczędząc grubiańskich szyderstw. Niezadługo człowiek ten kaleczy sobie tę właśnie nogę, którą potrącał figurę. Rana spowodowała odjęcie stopy, a ponieważ to nie wystarczało, trzeba było odciąć nogę wyżej, a wreszcie po raz trzeci amputować i biodro. Znieważca zmarł po długich i ciężkich cierpieniach.

Wyraźna kara dotykająca obrazobórcę.

Takim jest nagłówek artykułu w Tygodniku z Coutances: Bóg jest cierpliwy, mówi jeden z Ojców Kościoła, albowiem jest wieczny, dla tego też nie zawsze doraźna kara winnych spotyka, jakkolwiek zdarza się to dość często.

Wielokrotne tego przykłady spotykamy w dzie-

jach Rewolucji z 1789 r. Oto jeden z tysiąca, wiarogodnem stwierdzony świadectwem, ale przedewszystkiem powiedzmy słów kilka o miejscowości, w której rzecz się ta stała:

W liczbie dziesięciu wspaniałych opactw, od dawien dawna wzniesionych w naszej djecezji, obfitującej niegdyś w klasztory, wyróżniało się jedno, o kilka mil oddalone od Coutance, sięgające początku XII-go stulecia. Przez długie wieki opactwo cieszyło się rozkwitem: zabudowania były obszerne, kościół zaś bogaty w obrazy i rzeźby. U podnóża sanktuarjum widniały dwa piękne grobowce fundatora i fundatorki opactwa, wyobrażonych w leżącej postawie i strojach z końca XII stulecia, pośmiertne zaś o nich wspomnienie wyryte było na pamiątkowej tablicy charakterem pisma z tej epoki, co stanowiło całość godną uwagi dla uczonych i badaczy.

Były to arcydzieła prawdziwe, a pomimo tego kościół padł pod młotem burzycieli i wszystkie dla historji sztuki drogocenne pamiątki i szaty znikły w zaborczych rękach bezbożników.

Zdarzenie, o którem mówić będziemy, odnosi się właśnie do tego smutnego dzieła zniszczenia. Gdy wraz z kościołem sprzedano opactwo z publicznej licytacji, nowonabywca pośpiesznie robotników sprowadził i w domu Bożym obdzierać kazał wewnętrzne ozdoby. Z jego rozkazu ołtarze, krzyże, posągi, grobowce, kosztowne witraże pomalowano, zniszczono wszystko bezwzględnie, za wyjątkiem cudnie rzeźbionego w kamieniu *Ecce Homo*, które-

go dotknąć się nie ośmielili dla powodu Bogu jedynie wiadomego.

Aby się przekonać, czy spełniono jego wolę w najdrobniejszych szczegółach, nowonabywca wszedł do kościoła i uniesiony był radością na widok rumowiska złożonego ze szczątków figur i przedmiotów, przedstawiających w jego mniemaniu wcielenie zabobonu. Lecz zaraz radość w gniew się zamieniła, bo dostrzegł posąg *Ecce Homo* spokojnie patrzący na niego z głębi swojej wnęki.

— Dla czego — krzyknął — stoi tam jeszcze ten oto zgrzytający zębami? Zrzucić mi to natychmiast! — Robotnicy, choć obojętni dla wiary, uczynić tego nie chcieli. — A więc sam się z nim rozprawię! — zawołał bezbożnik.

Lecz tu go czekał anioł, który niegdyś tak ciężko ukarał Heljodora w Jerozolimskiej świątyni.

Wchodzi łotr ów na drabinę sznur dokoła szyi posągu okręca i zeszedłszy na dół ciągnie mocno, by go obalić. Po wielu usiłowaniach dopiął swego, gdyż figura na ziemię pada i druzgocze się w drobne kawałki.

Cieszył się jednak krótko: odrazu bowiem dotkliwa newralgja (łamanie kości) objęła mu szczęki, zgrzytał zębami, wył z bólu i żadne leki ulgi mu ani wyleczenia nie dały. Cierpienie trwające kilka godzin zakończyło się śmiercią.

Wymierzyła mu tę karę sprawiedliwość Boża!

(Ks. Hersent kanonik i archiwista. Tydzień katolicki z Seez 6 marca 1873 r., str. 365.

Chodź, dziecko moje, chodź i zobacz jak potępieniec umiera!

Dnia 30 grudnia 1793 r. Rada Miejska z Saint Hilaire-la-Gerard w djecezji Seez zebrała się, by zadośćuczynić prawu nowej Rzeczypospolitej, a ponieważ w duchu i pojęciach tejże dawnych nazw gmin nie uznawano, Rada zmuszona była obmyślać nowe, takie mianowicie, które nie każą rumienić się ludziom bezbożnym, skoro wymówić je przyjdzie: „Zatem nazwa Św. Hilary istnieć nie może, zmienić ją należy na Roulard, od strumyka przecinającego wzdłuż parafję.“

W kilka dni po tym czynie, mającym świadczyć o obywatelskich zasługach: „dnia 12-go lutego o godz. 4-ej po południu, działając w myśl zarządzeń Dyrektorjatu, pośpieszyliśmy do kościoła miasta Roulard w celu położenia sekwestru na srebrach kościelnych. Znajdującą się na miejscu monstrancję oraz cyborium i patynę złożyliśmy według naszego uznania w ręce p. Karola Delahaye, wójta gminy Karola Laignier, przedstawiciela ludu“.

(Archiwa Miejskie w Saint Hilaire - la- Gerard).

Nieszczęsny ów Delahaye który wsławił się wielu niecnymi postępkami, własnoręcznie wszystkie kościelne figury rozbił, ale go też Bóg ukarał. Chwycił go dziwny ból w ramieniu. Osoba, zmarła przed kilku laty, opowiadała w swoim czasie proboszczowi w Saint Hilaire de Gerard, że gdy dzieckiem była, matka rzekła do niej pewne-

go dnia: „Chodź, dziecko moje, chodź i zobacz jak potępieniec umiera“. A następnie dodała: „Uczucie litości i wstrętu ogarnia sąsiadów konającego.“ Z licznej zaś rodziny jego w 1793 r. pozostał tylko jeden syn idjota, który mając 21 lat, słowa wybełkotać nie potrafił, ślina ciekła mu nieprzerwanie z ust, a że nie był zdolny nauczyć się nawet Modlitwy Pańskiej, nigdy do Komunji św. nie przystąpił.

(Fakt przytoczony przez ks. Blais, byłego proboszcza z Saint Hilaire-la-Gerard.

Cóżem zawinił, że cierpię tak okrutnie!

Działo się to podczas najżarliwszego okresu wielkiej Rewolucji francuzkiej. Znieważony kościół w Ecouché stał się pastwą rozboju: krzyże, ozdoby, świeczniki, święte naczynia niknęły w dłoniach łupieżców.

Pozostała na miejscu jedna, jedyna figura Boga Ojca przedwiecznego. Jak się tu do niej wziąść? Zdaje się być tak mocno przytwierdzoną do szczytu wielkiego ołtarza, że rabusiom trudno ztamtąd ją dostać.

Pewien dzierżawca, rzecznik ludu, wpada na myśl zarzucenia łańcucha w połowie figury i zaprzęgając trzy konie do ogniw końcowych, zdołał tym sposobem dzieło sztuki z miejsca zruszyć i rozbić na drobne kawałki. Wkrótce potem spotkała go kara zasłużona. Na początku tegoż roku,

trzy konie mu padły, a następnie zmarł sam znieważa, doznawszy cierpień okrutnych. Krzyk jego a raczej wściekłe wycie rozchodziło się daleko, przerażając sąsiadów: „Ach!“ wołał, cóżem zawinił, że cierpię tak okrutnie!...

Ci co go słyszeli łatwą znajdowali odpowiedź: „Nieszczęsny, ty wiesz, że Bóg płaci ci za krzywdę, jakąś Jego wizerunkowi wyrządził!“ (Wyciąg z opisu podanego przez ks. Brindeau, proboszcza z Pointel).

Puste widniały oczodoły.

Gdy w 1793 r. ogłoszono dekret skazujący na zagładę wszystkie zewnętrze oznaki czci religijnej we Francji, niejaki czeladnik mularski uniesiony bezbożnością, śpieszy do kościoła w Bugey, by stanąć w pierwszych szeregach niszczycieli obrazów i posągów, zdobiących świątynię. „Szaleńcze, co robisz! zawołała do niego kobieta, klęcząca u stóp ołtarza, - przecież to dom Boży, strzeż się, bo świętokradztwo twoje ukarane będzie!“ Robotnik odrzekł: „Bóg nie istnieje, a choćby istniał to nie zajmuje się naszemi sprawami. Ot zdają się patrzeć na nas tylko te dwa żaki, dodał, wskazując anioły umieszczone po dwóch stronach ołtarza – ale ja im tego zabronię!

Zbliżył się do figur i przykładając dłuto do oczu aniołów uderzył i wyłupał źrenice.

Po upływie czterech lat ów czeladnik mularski ożenił się. Pierwsze jego dziecko urodziło się nie-

widome. Gdy maleństwo wznosiło powieki, dostrzegano puste doły zamiast oczu. Ten sam wypadek miał miejsce z drugiem dzieckiem, które na świat przyszło dwa lata później: było ono również upośledzonem tak moralnie jak fizycznie, oczów nie posiadało i wszyscy uprzytomniali sobie chwilę, gdy ojciec jego przed laty źrenice aniołom dłutem wybił.

(Tygodnik katolicki w Seez 1881 r.).

Głowa leżała w kałuży krwi.

Dwóch młodych ludzi wracało w podchmielonym stanie z uczty danej pod przewodnictwem ówczesnego prefekta Haute Vienne.

Przechodząc koło opuszczonego klasztoru spostrzegli pod bramą wejściową figurę św. Józefa, a że byli jeszcze pod wrażeniem wypitych trunków i czuli niepohamowaną ochotę to wesołe usposobienie okazać na zewnątrz, założyli się o gruby zakład, który zręczniej kamieniem rozbije posąg i na przemianę ciskali w niego dopóty, aż z figury św. Józefa pozostała tylko kupa gruzu. Odeszli wówczas dumni i zadowoleni celnością rzutu. Tegoż samego wieczoru Grandelande, ten, który pierwszy w figurę godził, poprosił żonę o szklankę mleka i pijąc takowe, niespodzianie bez słowa i jęku padł na kamienną posadzkę kuchni. Troskliwa opieka i ratunek jaki mu niesiono, okazał się daremny, bo śmierć była nagłą.

W ośm dni po tem zajściu, towarzysz jego Tourteau utonął w nurtach rzeki. Matka tego

ostatniego, dowiedziawszy się z opowiadania syna
losie jaki spotkał figurę, głośno się śmiała z kon-
ceptu.

Pojąć łatwo można wrażenie nieszczęsnej ko-
biety, gdy odniesiono do jej domu zwłoki jedynaka:
szalejąc z rozpaczy chwyciła młot znajdujący się
pod ręką i cios w głowę sobie zadała.. Sąsiedzi
przyjaciele zdołali wyrwać niebezpieczną broń, lecz
dopóki spokoju nie odzyskała, trzymali w pętach
ręce i nogi nieszczęsnej kobiety. Nareszcie minął
atak szału.

Smutny i ponury był pogrzeb topielca, wszy-
scy bowiem wiedzieli o jego świętokradzkim czynie,
następnie zaś owo szaleństwo matki nieboszczyka
głębokie na ludności okolicznej wywarło wrażenie.

Gdy rodzina wróciła z cmentarza, ujrzała, otwo-
rzywszy drzwi kuchenne, ciało matki Tourteau roz-
ciągnięte i martwe na podłodze. Zostawiona w sa-
motności, tym samym młotem co wczoraj roztrza-
skała sobie głowę: mózg prysnął, szczątki jego
obryzgały ścianę, a głowa leżała w kałuży krwi.

(„La Croix“ z Limoges w 1906 r.).

W Caunes wskazują podróżnym dom, gdzie mieszkał bluźnierca, wymieniają jego nazwisko i kawiarnię, w której go Bóg dotknął.

W Caunes odbywa się corocznie wspaniała
procesja, podczas której obnoszą tryumfalnie relik-
wie czterech świętych męczenników, dawnych oby-

wateli Caunes, którzy za panowania Domicjana wylali krew swoją w obronie wiary. Całe miasto bierze udział w tej uroczystości, ale, niestety, zazwyczaj zapatrywania bywają różne i to co jednych cieszy, drugich w oczy kole. Do tych ostatnich zaliczał się jeden człowiek, który podówczas znajdował się w kawiarni, a odczuwając brak towarzystwa najgorzej był usposobiony. W miarę zbliżania się procesji wzmagała się złość jego, a kiedy pochód zrównał się z kawiarnią, zawołał on z wściekłością: „Czegoż to stado głupców czas traci na obnoszeniu trupich kości!“ W tem zatrząsł się front kawiarni, szyby popękały, a bluźnierca z przerażenia dostał konwulsji. O! sprawiedliwości Boża! Do dziś dnia w Caunes wskazują dom, gdzie mieszkał bluźnierca i wymieniają nazwisko kawiarni, w której Bóg go dotknął. Oto fakta przez naocznych świadków opowiadane, a stwierdzić je może lud okolicy.

Zburzenie figury św. Remigjusza.

Rozwalona do połowy z resztkami baszt, służącemi niegdyś do obrony, sztucznie podparta odwieczna nawa kościoła św. Remigjusza uledz miała zagładzie dla powiększenia rynku. Ta pamiątka w oczach rady miejskiej nie znalazła łaski. Opowiadają, że gdy przyszło do usunięcia starożytnej figury św. Remigjusza, znajdującej się w krużganku, nikt z mieszkańców Tinchebray nie chciał tej czynności podjąć się, powierzyć ją musiano obcemu

przybyszowi. Szarpnięta figura spadła na niego, skutkiem czego uległ silnemu potłuczeniu.

(Tinchebray i jego okolica przez ks. Dumainé tom III str. 340).

Drogo opłacony żart.

W miejscowości Bocage w Normandji największą popularnością cieszy św. Roch, a poświęcona mu mała kapliczka w Menil-Glaise nad uroczemi brzegami rzeki Orny, bywa bardzo licznie uczęszczaną przez ludność miejscową. Niejednokrotnie łaski świętego doświadczano podczas epidemji, więc gdy zaraza jakakolwiek nawiedziła okolicę, do niego się tylko zwracano.

Święty, udzielający hojnie łaski pobożnym pielgrzymom, nie pozwolił sobie ubliżyć bezkarnie, czego dowodem fakt następujący, wiernie zachowany w tradycjach miejscowych. Przed stu laty kobieta z Rabodanges przybyła do Menil-Glaise dla spaceru raczej, niż w celu odbycia pielgrzymki. Zuchwałość jej była tak wielką, że wrzuciła do skarbonki fałszywy pieniądz, dodając słowa lekceważące, które ją drogo kosztować miały: „Ba! wprawdzie pieniądz nic nie wart, powiedziała, ale święty zadowolni się nim, bo przecież nie widzi co się rzuca do skarbony!

Kara przyszła niebawem: tego dnia w powrotnej drodze, kobieta owa wzrok straciła, a nie odzyskała go już nigdy.

(Fakt dotąd zachowany w pamięci mieszkańców p. Menil-Glaise).

Podniesiony, jęczał okropnie a ręce i nogi miał bezwładne.

W czasie Rewolucji francuzkiej djecezja Seez ciężkie dni przeżyła. Pustelnia św. Ortarjusza padła ofiarą strasznej zniewagi. Świętobliwe ustronie w takiem było poważaniu, że je za cel pielgrzymek obrano. Dowody szacunku słudze Bożemu składane i to podczas rewolucji nie podobały się pewnemu bezbożnikowi z Ferté - Macé, który postanowił kaplicę zniszczyć. Człowiek ten sławił się już popełnionem świętokradztwem w La Ferté, gdzie w kościele powalił wielką rzeźbę przedstawiającą Chrystusa, stratował ją nogą i unurzał w błocie; ten to nędznik udał się do kaplicy św. Ortarjusza 2 kwietnia, w trzecie święto Wielkanocy i zwracając się do modlącej się wdowy Barbedienne, wobec licznie zebranych pielgrzymów, rzekł: „Obywatelko, czem się to dzieje, że podtrzymujesz fanatyzm, czyż nie wielki czas zaprzestać już tych niedorzeczności? Idź się pokłonić swemu św. Ortarjuszowi a wówczas zobaczysz jak ja go uraczę!“ To mówiąc wchodzi do kaplicy w towarzystwie kilku ludzi uzbrojonych w piki, a potem, w oczach przerażonych pielgrzymów, hakiem ściąga z ołtarza figurę świętego. Nie dość na tem. W dzikiem uniesieniu, chwyta ją, rzuca o próg kaplicy i rozbija.

Po dokonaniu bezbożnego czynu, świętokradzca chce znieważone przez siebie miejsce opuścić, ale nim progu doszedł, zatoczył się i padł na wznak.

Jego ręce i nogi były bezwładne, cierpiał okrutnie bo ryk zwierzęcy niemal z piersi mu się wyrywał. Uciekali przerażeni pielgrzymi, widząc doraźną karę Bożą, a nieliczni towarzysze złożyli przywódcę swego na sanie i do domu odwieźli.

Żył lat kilka jeszcze w nieustannych męczarniach, jako żywa przestroga dla tych, co w świętokradzkich szaleństwach dorównać by mu zechcieli. Wypadek ten przejął wszystkich głęboką trwogą.

(Z życia świętych w djecezji Seez przez ks. Blin. Tom I str. 334).

Niewzruszony posąg.

Turyńska gazeta *Unita* donosi, że w jednej z gmin w okolicy Romagnes istnieje starożytna kaplica, do której liczni schodzą się pielgrzymi, a w niej znajduje się posąg św. Sebastjana. Otóż rada miasta zburzenie kaplicy uchwaliła i odpowiedziała ludziom grożącym radzie karą Bożą, że przyjmuje na siebie odpowiedzialność wraz z wyklęciem z Kościoła, na które dobrowolnie się naraża. Paru radnych przystąpiło osobiście do burzenia Przybytku Pańskiego. *Unita* opowiada dalej, że zerwano już z ołtarza figurę świętego, gdy naraz jeden z tych co do rady należeli, gwałtowny uczuł ból w ręku; zemdlony upadł i skonał nie odzyskawszy przytomności. W tym samym czasie atak apoplektyczny zabija drugiego. Trzeci wprawdzie kolegów przeżył, lecz nagły paraliż nie dozwolił mu bluźnić więcej.

Wszystko to sprawiło tak silne wrażenie, że nie tknięto już kaplicy a figurę św. Sebastjana na dawne miejsce wrócono. Działo się to w 1888 r.

Jak piorun szybki i niespodziany wpadł na nich pociąg kurjerski.

W czasach ostatnich, kilku najemników z Salces udało się na robotę w winnicy M. L. w S.—M. Bluźniercza i bezbożna gromada zapragnęła dnia tego zabawić się w odrębny a szczególny sposób. Ponieważ pod kołami pociągu zginął pies jednego z robotników, P. S. podał projekt wyprawienia zwierzęciu religijnego pogrzebu. Gdy nikt nie chciał przewodniczyć ceremonji; P. S. objął rolę księdza. Przedrzeźniając obrządki, wypowiedział mowę pogrzebową, wymieniając zalety psa, aż wreszcie zakończył temi słowy: „A teraz niech cię św. Roch do życia pobudzi“. (Trzeba tu nadmienić, że tak św. Roch jak i św. Jan Chrzciciel wielkiem poważaniem otoczeni są w mieście).

Sypały się bluźnierstwa i grubiańskie dowcipy aż do godziny podwieczorku. Wtedy J. J., właściciel zabitego psa i P. S. udający z rana kapłana, umyślili zakończyć uroczystość pielgrzymką, naśladując przytem spowiedź. Po spowiedzi nastąpiła procesja wzdłuż szyn kolejowych, podczas której słychać było bluźnierstwa przeciw Najśw. Pannie z Lourdes, i przeciw św. Janowi Chrzcicielowi. P. S. i J. J. jedną z robotnic ujęli w pół i kładąc ją na szynach,

rzekli: „Oto leżysz tu z odciętą głową jak św. Jan Chrzciciel, zobaczymy czy sprawi on, aby ci głowa przyrosła!

W godzin kilka drużyna cała, zadowolona z wesoło spędzonego dnia, do domu wracała, a dla skrócenia sobie drogi kroczyła przez plant kolejowy. W tem jak piorun szybki, niespodziany wpadł na nich pociąg. W tejże chwili słyszeć się dały przeraźliwe krzyki. Ciało J. J. poszarpane leżało na szynach, z drugiej zaś strony głowa P. S. odłączona od tułowia, jak niegdyś głowa św. Jana Chrzciciela. Błędne oczy nieszczęsnego zwrócone były w stronę miasta, które wielki święty opieką swą obdarzać nie przestawał.

(Wyciąg z Tyg. z Perpignan z d. 8 listopada 1890 r. Wyżej opisany wypadek jest najzupełniej prawdziwy i znany mieszkańczom w okolicy Boussillon: stwierdza go też szanowny ks. Casamayor, były proboszcz parafji w Salces w 1890 r., pełniący obecnie obowiązki proboszcza w Corbère na granicy Hiszpanji).

XIV.

Ręka Boża, karcąca znieważców rzeczy świętych.

Jeżeli dla wzbudzenia szacunku względem Arki Przymierza, Bóg śmiercią ukarał śmiałka za to jedynie, że chcąc ją w równowadze utrzymać odważył się rękę na niej położyć, jakaż straszna kara spotkać musi znieważców Jego ziemskiego Przybytku i rzeczy świętych, do obrządków Kościoła służących?

Celuje, strzela... znieważca pada zabity.

W czasie Rewolucji, kiedy w kraju całym przytrafiały się pojedyńcze wypadki sprzedaży dóbr i aparatów kościelnych przez licytację publiczną, pewien parafjanin z Belfonds (Orne) należący do skrajno republikańskiego obozu, zakupił tabernakulum, pochodzące z obrabowanego kościoła i uczynił z niego budę dla swego psa. Oburzenie miejscowej ludności było wielkie, bo do podobnie bezbożnych wybryków przyzwyczajoną nie była. Lekarz z Seez, choć znany radykał i postępowiec, osądził znieważe-

nie tabernakulum jako postępek w wysokim stopniu nieuczciwy, cechujący człowieka grubiańskich popędów, odczuł w tem również obelgę wyrządzoną religji, wyznawanej w całej okolicy. To też uniesiony niepohamowanym zapałem chwyta broń, nabija ją i postanawia zaczaić się na drodze którą znieważca zwykł był przechodzić. Tenże ukazał się wkrótce, noc była ciemna, drogi puste, siedziby ludzkie oddalone; lekarz z Seez widząc, że sposobność dobra, strzela i znieważca pada zabity.

Po pewnym czasie dowiedziano się, kto był zabójcą, ale ponieważ lekarz ów cieszył się poważaniem w mieście, republikaninem był dobrym i ostatecznie usunął z okolicy szkodliwą i wstrętną jednostkę, lekarza nigdy nie wydano.

Ohydna była zniewaga, przerażająca za nią kara.

W roku 1793, prefekt departamentu Grenoble, przysłać sobie rozkazał naczynia święte i ozdoby ze wszystkich kościołów do jego okręgu należących. Znalazł się tylko jeden człowiek i to ze stron dalekich, który zdobył się na odwagę rozporządzenie to ściśle wykonać. Przybrawszy do pomocy pięciu swoich synów i trzy córki, zdjął ozdobne figury z ołtarzy i takowe zniszczył, aparaty zaś kościelne wysłał prefektowi, zostawiając dla siebie najkosztowniejsze.

Z ornatów i kap córki suknie i peleryny poszyły, synowie zużytkowali je na kamizelki i stroje rozmaite.

Ohydne było znieważenie, przerażająca za nie kara! Najstarszy z synów gwałtownemi bólami przejęty, znajdując się na dachu swego domu, zejść z niego już nie mógł i tamże umarł; dwaj młodsi smutnie zakończyli życie, odbywając powinność wojskową, piąty wyzionął ducha w domu rodzicielskim, pogardzony przez wszystkich, jako prawdziwy wyrzutek społeczeństwa. Ojca podobnyż los spotkał. Jego dwie córki, siejące zgorszenie na całą okolicę, nagłą śmierć poniosły. Z reszty potomstwa, ostatnia z córek najdotkliwiej odpokutowała. Za mąż wyszedłszy, czuła jak powoli ciężka choroba przykuwała ją do nędznego barłogu, na którym długie przeżyła lata, zaznawszy niedostatku, głodu i opuszczenia. Gorzkie łzy obficie wylewane spowodowały ból oczu. Oślepła ona zupełnie w okropnej męce.

(Z Historji Rewolucji przez ks. Sagnier proboszcza z Blandin w djecezji Grenoble.)

Stoczony przez robactwo.

W Durcet (Orne) pewien człowiek zakupił aparaty kościelne w rewolucyjnym okresie; dotknęła go choroba skórna i jak Antjochius wyzionął ducha przez robactwo stoczony.

(Świadectwo ks. Blin, kanonika katedralnego w Seez).

Ukarany na miejscu zbrodni.

Nad kamienistemi brzegami rzeki Orne w Menil - Glaise, niby gniazdo jaskółcze, tuli się do skał

mała kaplica poświęcona św. Rochowi. Dnia 6-go lutego 1867 r. we środę, nieznajomy jakiś po ukradzeniu kilku przedmiotów świętych z kościoła w Menil - Glaise, próbował ale nadaremnie ową kapliczkę zrabować.

Nocy następnej przestępca zmarł w bliskości miejsca, które chciał świętokradztwem znieważyć. Znaleziono go rano, w postawie klęczącej. Prawdopodobnie skutkiem konwulsyjnych ruchów kolana jego wcisnęły się w grunt wilgotny na głębokość 15-u cent., a końcami stóp, jak i podkurczonemi w śmiertelnej walce rękami, ziemię naokoło siebie poruszył, znacząc ją wyraźnemi bruzdami. Wiele dającym do myślenia szczegółem zdała się być twarz nędznika zwrócona ku dzwonnicy świeżo obrabowanego kościoła.

(Tydzień kat. w Seez 21-go lutego 1867 r.).

Masoni struchleli.... i dziwić się temu nie można.

W departamencie Niższej Sekwany p. Desgeétais obrany został posłem przeciw kandydaturze barona Piérard. Chcąc uczcić zwycięztwo pana D. loże masońskie nie dały wprawdzie hasła ale zezwoliły na nikczemną komedję.

Jeden z towarzyszów masońskich sporządził trumnę, w której jakby leżeć miał odrzucony kandydat; drugi zrobił krzyż, trzeci naśladował święcenie wodą. Ceremonję rozpoczęto z zastosowanem do okoliczności namaszczeniem, a ostatecznie zakoń-

czono je spuszczeniem trumny do dołu kloacznego. Nazajutrz, czy we dwa dni później, ten który krzyż wyciosał, jak również i święcący wodę, zmarli nagle. Dodać należy, że jeden z nich pociech religijnych zażądał, ale spowiednik nie zdążył przybyć na czas. Nieszczęsny grabarz żyje dotąd, lecz w jakim stanie! Nie mogąc stać, siedzieć ani leżeć, klęczyć wciąż musi, tak właśnie, jak przy ostatnim akcie świętokradzkiej komedji.

Jednocześnie, nowo obrany poseł dostaje zapalenia mózgu i widzi w gorączce miasto Bolbek w ogniu, na czele zaś rządu przyjaciół swoich rewolucjonistów, których nadużycia przewidział, lecz ukrócić nie umiał. Publiczność zadawała sobie pytanie czy przyjmujący udział we wstrętnej maskaradzie nie będą zmuszeni pogrzebać naprawdę pana D. jak to uczynili w przenośni z baronem Piérard. Opatrzność swój wyrok wydała: nowy poseł, posiadacz miljonów, zmarł w sile wieku. Massoni z Bolbek i Lillebonne struchleli.... i dziwić się temu nie można.

(Tydzień religijny w Seez 1898 r., str. 687).

XV.

Ręka Boża, karząca zbrodnie spełnione na męczennikach Wandejskich.

Dwa poniższe fakta, zapożyczone są z „Listów Wandejskich“, napisanych przez vice-hrabiego de Walsh. Utrzymane w barwnym stylu łączą w sobie zajmującą treść legendy z prawdą historyczną.

Jest to niezmienne prawo odwetu w historji: Bóg zezwala na istnienie katów, bo męczenników mieć pragnie, ale zostawiając okrucieństwu wolny bieg, nie przestaje być bezwzględnie Sprawiedliwym. Grozę swego Sądu nietylko na przyszłe życie zachowuje, ale już na tej ziemi dla prześladowców straszliwe ma kary.

Autor „Męczenników w Wandei“ wspomina, że tradycje miejscowe, to jakby głosy podnoszące się ze wszystkich stron kraju, by uświadomić obecne pokolenie, w jaki sposób zostali rażeni sprawiedliwością Bożą, jedni po drugich wszyscy znieważcy świątyń, niszczyciele krzyżów i wizerunków Świętych, cały ten zastęp morderców spławionych w krwi.

(Historja Męczenników przez kanonika Prunier str. 386.

1. Znieważca figury św. Jerzego.

W połowie marca 1796 r. po ostatnich bitwach jenerała Charette w Bas-Poitou, w czasie, gdy republikańskie patrole z zajadłością ścigały szlachetnego wodza wandejskiego, doniesiono wojskom Rzeczypospolitej, że zbieg ukrywa się z kilku wiernymi żołnierzami w ruinach opactwa Saint - Cyr w Retz, położonego nad morzem, wśród lasów, pomiędzy Bourgneuf a Machecoul.

Szczątki starożytnego opactwa Benedyktynów, tonące obecnie w powodzi dzikiej roślinności, cieszą się po dziś dzień czcią ogólną, wzbudzając bogobojny postrach. Zapóźniony wędrowiec nie przejdzie nigdy koło wrót kaplicznych bez lęku i trwogi.

Gdy Charette stanął na czele powstańców, wszyscy włościanie okoliczni zaciągnęli się w szeregi; zakonnicy z opactwa przyłączyli się również do katolickiego wojska, klasztoru zaś pilnowała tylko garstka starych mnichów, karmiąc się wyłącznie prawie owocami i jarzynami z ogrodów, oraz jałmużną litościwych ludzi.

* * *

Pewnego poranku 1793 r. wojska rzeczypospolitej zaskoczyły opactwo: wymordowano część zakonników, reszta poszła w rozsypkę a budynki płomienie zniszczyły.

Wśród gruzów pozostał kościół samotny, wznosząc ku niebu z wieżycy swej krzyż, symbol nieśmiertelności po nad tą dziedziną ruiny i śmierci.

Czerń lasów, otaczająca przybytek Boży, mil-
enie zalegające dniem i nocą jego sklepienie,
szędzie widoczne ślady świętokradzkiego najścia
ygmatem tajemnicy i groźby naznaczyły gmach
uszczony.

Z łukowych ram wypadło potłuczone szkliwo,
rzaskane wrota ziemię zasypały wiórem, a odrzwia,
arnem wnętrzem świecące, przedstawiały czeluść,
órej ciemności nikt zgłębić nie miał odwagi.

Wnętrze kościoła rozpaczliwiej wyglądało je-
cze. Znikły obrazy i rzeźb filigrany, ołtarze były
iste, tylko w chórze na głównym ołtarzu widniała
brzymia postać św. Jerzego, strzegąca dwa ciche
ędy rylcem ozdobionych stal, które z biegiem
asu kurzem się pokryły.

Posąg ten na sześć stóp wysoki, niewprawną
ką kuty był w kamieniu i zdawał się przygniatać
vym ciężarem szeroki ołtarz, służący mu za piede-
ał. Wyobrażał on sędziwego rycerza w zbroi,
odkrytą głową i długą brodą, co mu na piersi
pływała. Głosiła tradycja starodawna, że pod po-
ągiem leżał skarb ukryty, lecz w okolicy nikt
miałości nie miał zbadać, ile prawdy podanie mie-
ciło.

* * *

We dwa lata po splądrowaniu opactwa Saint-
Yr, wtenczas kiedy jenerał Cherette znowu za broń
hwycił w 1795 r. okolice klasztoru stały się wido-
vnią nowej walki. Wandejski wódz, zdradzony

i opuszczony przez swoich żołnierzy, w ucieczce musiał szukać ratunku. Dowódzcy republikańscy ścigali go z miejsca na miejsce, śląc oddziały wojska, które w pogoni za nim do najskrytszych docierały zakątków, aż mając jakoby pewne wskazówki, pułk należący niegdyś do „Ligi Wandejskiej" skierował się z Machecoul do Saint-Cyr.

W początkach rewolucji pułk ten z synów rodzin nantejskich się składał, lecz od lat trzech odnawiano go szumowiną wojsk marsylskich, wleczonych przez Santerrea, przez pola wandejskie. Wysłano do opactwa, na czele oddziału, dwóch dowódzców, których czytelnikom przedstawić musimy, a nimi są kapitan Gobert i porucznik jego Geoffroy.

Obaj pochodzili z wybitnych rodzin nantejskich. W zasadniczem przekonaniu swojem obydwaj należeli do umiarkowanej partji republikańskiej i ostatecznie nie żywili względem wandejczyków jakobińskiej wściekłości, nie cofającej się przed żadnym okrucieństwem. Atoli dla ukrycia swej pobłażliwości, którąby za zbrodnię poczytano, pozornie gorliwy okazywali zapał.

Z wybuchem rozruchów przyłączyli się do obałamuconego mieszczaństwa, rozprawiającego głośno na bankietach i powiewającego szerokiemi trójkolorowemi kokardami na znak patrjotyzmu; zespolili się z tymi, którzy myśleli, że rzezią Terroru zadowolić potrafią krwiożerczość tłumu, który, z początku otumaniony, padł następnie ofiarą szaleńców.

Niejednokrotnie doświadczenie nauczyło kapi-
a Gobert'a, że głos bębna włościan do czujności
udza, to też rozkazał swemu wojsku zbliżać się
klasztoru w głuchem milczeniu. Zresztą chłopi,
żeni nieustanną wojną, udzielali chętnie żąda-
h wyjaśnień. Taką więc drogą pułk wtajemni-
ny został w dokładny plan opactwa, a także
legendę o skarbie ukrytym pod stopami św.
zego i nie obcym mu był dziwny lęk ogarniający
rzących na starożytny a opuszczony kościół.

Kapitan nie zastanawiał się głębiej nad uprze-
niem ludności, przeciwnie, wzięła go chętka wy-
ania jak daleko sięga niezawisłość jego pojęć; co
do żołnierzy, tych nęcił przedewszystkiem ów
emany skarb ukryty pod figurą.

Zniewolony groźbą, miejscowy rolnik, podpro-
lził oddział nad brzeg lasu. Rolnik wskazał z da-
szczyt wieży kościelnej i uciekł czemprędzej.

* * *

Była godzina czwarta po południu. Żołnierze
adali się cicho, postępując jeden za drugim,
k dotarli do walącego się murowanego ogrodze-
obchodząc go naokoło.

Majestatyczny wygląd świątyni, stojącej na
tkowiu wśród głuchego milczenia wielkiego bo-
którym opasaną była w około, uczynił bądź co
ż wrażenie na kapitanie i jego poruczniku.

Z rozkazu pierwszego z nich, oddział zatrzymał
przy nizkim obmurowaniu z zastrzeżeniem—aby

nie składano broni, sam zaś Gobert, przodując o
działowi, zbliżać się począł do kościoła, zostawiaj
wartę po drodze, która miała zwinąć szereg i d
ognia na przypadek najlżejszego oporu.

Chcąc zbadać wnętrze gmachu, stanęli chwi
na progu krużganka, po czem kapitan z kilku ż
nierzami ostrożnie, milczkiem wszedł do środka k
ścioła, badawczy śląc wzrok na wszystkie stron
Przetrząsano kąty, macano kolbą podłogę i mur
ale nigdzie nie było drzwi tajemnych, zdradliwy
zasadzek ani też śladów zaczajonych ludzi. Stal
w chórze, kolejno podnoszone z łoskotem spadał
a łoskot brzmiał długo pod wysokiem sklepienie
Okrążono następnie kościół na zewnątrz, n
osiągając lepszego skutku.

Wówczas kapitan, zwolniwszy wartowniko
do oddziału powrócił, mówiąc: „Przeszukaliśmy d
kładnie, niema tam nic“ — a że ludzie jego b
zmęczeni i mieli prowiant ze sobą, postanowił ob
zować na miejscu do dnia następnego. Broń złoż
no w kozły, a żołnierze zakrzątnęli się skwapliw
około kotłów z wieczerzą.

* * *

Dla wojska w pochodzie rozkoszna to chwila
gdy nadejdzie ów moment rozdawania zupy p
gwiaździstym stropem nieba, wśród zapadające
mroku. Przy wspólnej misie zbratani, niby pr
ognisku rodzinnem, lubią oni wtedy wesołe prow
dzić gawędy, jak niegdyś czynili w oddalony

wioskach swoich, gdzie opowiadali sobie tyle ucieszných lub przerażających baśni.

— Kapitan Gobert nie zabiera się do jedzenia — odezwał się dobosz.

— Nie, bo jest bardzo zajęty, — filuternie odparł żołnierz stojący przy kotle—czy nie mam racji mój ty Marsylczyku?

Ów zagadnięty Marsylczyk będzie właśnie niefortunnym bohaterem niniejszego opowiadania.

— Tak — odrzekł Marsylczyk — Gobert nie je, ale za to przetrawia; bądź jednak spokojny znana mi jego tajemnica i mam filuta na oku. Choć w tej chwili bez swej porcji się obywa, ma on czem wypełnić swą misę i to przez długie lata.

— Doprawdy? — rzekł drugi — czyby on na sławetnej skarbonie klasztornej łapę swą położył?

— Kiedyśmy, po naszemu, uskramiali zbójów wandejskich — mówił dalej Marsylczyk — Rzeczpospolita była niepodzielną.

Byli naówczas wieśniacy grabiciele dóbr publicznych, mieszczuchy i inni spiskowcy, którzy grosiwo chowali. Kładło się często gęsto rękę na cudzej własności, bez względu na stopień zajmowany w armji. Kapitan Gobert radby wskrzesić owe nadużycia i grabieże. Lubi sam wziąść kiedy się gratka nadarza! O innych zaś nie dba wcale!

— Toś ty się bił w Wandei? — zapytał jeden z żołnierzy.

— Czym się bił?! Nie tylko biłem się siarczyście, ale zdarzała się nieraz sposobność przewie-

trzenia arystokratycznych szkatuł. Ho! ho! — dodał z przechwałką, — mógłbym obecnie żyć jak bogacz, gdybym był stateczny za młodu. Spójrz na mój worek z tytoniem, pełno w nim było monety; ba, co mówię? worek, tornister, cholewy, wszystko było pełne. Tak, tak, działo się człeku niezgorzej!

— Pełno groszaków, co? — wtrącił dobosz.

— Groszaków?... Każ się wypchać! Najprawdziwsze były to luidory, z portretem ciemiężyciela narodu. Ty, bo jesteś baranem, który pojęcia o tem nie ma... Parliśmy naprzód, jak djabły rogate, pod dowództwem jenerała Turreau. Do miljona kartaczy! a tośmy wtedy zadawali bobu! Wchodziło się do pałaców bez ceremonji i raz, dwa, trzy... Przeszywało się szpadą hrabiny, margrabiny, nabożnisie, dzieci! paliło się wszystko, bo taki był nakaz wydany przez dowódzców, głównie zaś przez jenerała Grignon, który był okrutnie zawzięty i nie zasypiał sprawy; żołnierz mógł grabić bezkarnie, zabierać co mu się żywnie podobało. Takie natenczas było prawo wolności i nikt się temu nie sprzeciwiał. A potem podkładało się ogień. Co to była za iluminacja! Żar ognia pochłaniał domy, sprzęt zboża, inwentarz cały. Tak brzmiał nakaz!

— Co do mnie, — rzekł kapral, nigdy bym się nad dziećmi znęcać nie potrafił.

— To też — dorzucił Marsylczyk — czemże ty jesteś, arystokratyczny zdechlaku? Ja bo uwijałem się ze Szwajcarami, ku zadowoleniu prawdziwych patrjotów. Miałem też niełada robotę w więzieniu

armelickiem drugiego i trzeciego września! Oj, rzewinęło mi się dużo przez ręce tych podłych rystokratów; waliłem siekierą w prawo i w lewo, miałem ci ja dobrze nią władać! Żołnierze, aczkol-iek nie zbyt tkliwi i z wielu brutalnościami otrza-kani, uczuli jednak wstręt w obec bezczelnych rzechwałek Marsylczyka.

* * *

Przedstawimy tu pokrótce zewnętrzny wygląd wego żołnierza, którego Marsylczykiem zwano.

Był on silnej budowy, miał wielką głowę wci-niętą nieco w ramiona. Krosty, jakby trądem po-rywały twarz, wyrazem hańby napiętnowaną. Usta go zaciśnięte zwykle około cuchnącej fajki, roz-ierały się niekiedy szyderczym uśmiechem, a ma-ezowate oczy, o mrugających powiekach miały sobie coś z krwiożerczości dzikiej bestji.

Oddawna żywił on urazę do kapitana Goberta, óry przyjął go niechętnie do swego oddziału. omawiał też głośno zwierzchnika przy każdej oka-i. Co zaś do równych sobie, nad nimi górował zczelnością, siłą muskułów, przesadną rewolucyjną vadą ulicznych krzykaczów. Uważano go też za jwiększego polityka oddziału i za wybitnego kra-mówcę.

* * *

Powróćmy znowu do grona żołnierzy i do gawę-przy obozowem ognisku, w której Marsylczyk wodził.

Wmawiał on właśnie w towarzyszy, że kapitan przywłaszczył sobie tajemniczy skarb, strzeżony w pustym kościele przez olbrzymią figurę św. Jerzego.

— Nie, to być nie może! — zawołał jeden z grenadjerów, rad zbadać po czyjej stronie prawda. Stoi tu przecież Gravelot, który właśnie z wyprawy powrócił i zapewnia, że nic w kościele nie znaleziono.

— Bajki! — odparł Marsylczyk. — Czy myślicie, żeśmy tu ot, tak sobie, na spacer się wybrali? Wszak nie bez powodu ludziska gadają, że w kościele skarb jest ukryty.

— A ja ci mówię, że tam nic nie ma; idź i przekonaj się!

— Dobrze, — dorzucił tamten — pójdę; ale zażądam przed tem, aby mi pozwolono wpakować granacik w figurę, a wówczas zobaczymy co przechowuje w swem wnętrzu.

— Czyż byłbyś zdolny to uczynić? — wtrącił młody bretończyk silnie wzburzony.

— Dowiedz że się nareszcie, ty, księże kropidło — krzyknął Marsylczyk, — że w 1793 r. byłem już w owej zakrystji z 1-szym i 2-im bataljonem marsylskim i że osobiście zdzierałem ze ścian wszystkie zabobonne oznaki. Nie mnie zawracać sobie głowę jakimiś strachami. Drwię sobie z kaplicy i świętych, którzy w niej siedzą!...

— Przechwalasz się, Marsylczyku — odezwał się nagle kapitan Gobert, który stanąwszy nieopodal z fajką w ustach końca rozmowy wysłuchał, — przechwalasz się, bo nie miałbyś śmiałości lekcewa-

żyć sobie tak dalece dawne wierzenia, gnieżdżące się w splądrowanym kościele.

— Masz słuszność kapitanie — rzekł porucznik Geoffroy, towarzyszący dowódzcy — kościół posiada jakąś grozę w cieniach nocy, a zwłaszcza kościół znieważony.

— Widzę poruczniku — rzucił kapitan — że nie miałbyś odwagi pójść tam i najgrawać się z wysokiej, białej figury, którą stąd dojrzeć można?

— O nie, kapitanie!

— I ja bym też nie poszedł, a takich jak my znajdzie się wielu, choć się szczycą tem, że ani w Boga ani w czarta nie wierzą.

Marsylczyk słuchał tej rozmowy z widocznem zniecierpliwieniem. Gryzł fajkę z wyrazem grubiańskiej wzgardy, a ohydna twarz miała w sobie coś piekielnego, dyszącego bluźnierstwem.

Skoro porucznik mówić przestał, Marsylczyk odjął fajkę od ust i zabierając głos z hardą poufałością, wprowadzoną do obozów przez bandy zbójeckie, rzekł zuchwale:

— Kapitanie, obywatelu, sądzisz, że się przechwalam? Nie zasługuję na podobną zniewagę. Tak — dodał — rad bym bardzo pokazać tym oto stokwiszom, jak w kramiku zabobonów żołnierz, szczery patrjota, zachować się powinien. Oto stoi tam we framudze jakiś posąg kamienny, postawiony przez któregoś ze służalców tyranów. Odkąd tu jestem, świerzbi mi ręka, tak mam ochotę połechtać jego podeszwy, tym bardziej kapitanie, że podobno pod nogi

postawiono mu skarbonę, jak na grabicieli ludu przystało. Przeto za twojem pozwoleniem, kapitanie, przyłożę mu petardę, niby plaster na odciski; a zobaczycie jakiego wnet da susa!

Słowa te wzruszyły żołnierzy.

— Nie dokonasz tego! — odezwał się młody Bretończyk.

— Co? — ryknął ze złością zuchwalec, — któż ośmieli się zabronić mi, skoro obywatel kapitan da swe pozwolenie? Cóż to, nie dowierzasz mi tekturowy wojaku?

— Tak — odparł Bretończyk, — nie wierzę, abyś to uczynił.

— Wszak zezwalasz kapitanie?

— Twoja to już rzecz, mój chłopcze — odrzekł kapitan, który wiedział, iż podejrzywano go o zagrabienie skarbu — twoja rzecz, ja ci nie zabraniam.

— Dobrze, więc — zawołał rewolucjonista zapamiętały. Sierżancie, wydaj mi pocisk, jeden wystarczy na obalenie tej figury.

* * *

To rzekłszy, wstał.

Żołnierzy ogarnął rodzaj oszołomienia. Zaległa cisza. Sierżant wydobywszy granat wręczył go Marsylczykowi. Był to rodzaj bomby małych rozmiarów, służącej do niszczenia domostw wraz z dobytkiem.

— Doskonale! — krzyknął żołdak, starając się podsycać niedorzeczną odwagę. — Do mnie, prawdziwi Jakobini! Kto mnie kocha, ten za mną!

Ale nikt się nie ruszył, nikt słowa nie rzekł. To lodowate milczenie towarzyszy ochłodziło nieco śmiałka, mimo to jednak w stronę krużganku kościelnego podążał. Żołnierze postępowali zdala, pobożną zdjęci trwogą, a za nimi postępowali zwolna kapitan i jego porucznik.

Doszedłszy do ciemnej kruchty świątyni, Marsylczyk odwracając się zawołał:

— Czy jesteście tam wszyscy, tchórze niedołężni? Sierżancie, pożycz no mi twojego krzesiwa, bym miał czem zapalić lont w tej budzie.

W chwili gdy przekroczył próg kościoła ponad jego głową wystraszony ptak nocny zerwał się z głębi rzeźbionego krużganku z ponurym i żałośnym krzykiem.

— Wróć się Marsylczyku — prosił stłumionym głosem Bretończyk.

— Nie becz, świętoszku, przyniosę ci święconego chleba — odrzucił znieważca.

I w ciemności zapuścił się śmiało. Stracono go z oczu, lecz baczny wzrok dojrzeć mógł w mroku kościoła drżące świetlne plamy.

Promień księżyca, dostawszy się przez okno do wnętrza świątyni, oblewał swym blaskiem figurę św. Jerzego, która jaśniała wyraźnie w srebrnej bieli, cały kościół zaś pogrążony był w mroku.

Marsylczyk zmuszony był zwolnić kroku.

Słyszano ciężkie stąpanie podkutych butów, uderzających o płyty grobowe, i odbijających się

echem w kościele, niby głos potężny, wyrywający się z pod ziemi i wołający o pomstę do nieba.

Może poraz pierwszy w życiu pod naciskiem wyrzutu sumienia Marsylczyk chwiać się zdawał, a doszedłszy do chóru zatrzymał się chwilę, nie pewny jak dalej postąpić. Lecz jak się tu cofać obecnie po głośnem zobowiązaniu, że wykona zamach przez siebie obmyślony.

Wstępował na marmurowe schody powoli, zatrzymał się u stóp ołtarza, oświeconego w części skośnym promieniem księżyca padającego na grobowiec. Mignęła iskierka, za nią słup ognia i wybuch nastąpił. Zdawało się, że grom uderza w sam środek gmachu. Całą świątynię płomień ogarnął a w tej okropnej jasności ujrzano figurę grobowca która zakołysana w posadzie, z siłą wstrząsającą całym gmachem, runęła, godząc w bezbożnika, sprawcę jej upadku.

Stało się to wszystko z szybkością błyskawicy; z ponurego huku wyłaniał się jakiś śmiech szyderczy, jakoby z piekieł idący.

Większa część żołnierzy rzuciła się do ucieczki; sierżant zaś z kilku oficerami weszli do zniszczonej świątyni, a potrąciwszy o szczątki rozbitych figur, cofnęli się grozą zdjęci... Nazajutrz wszyscy powrócili dla przyjrzenia się i zbadania skutków wybuchu i cóż ujrzeli? Oto Marsylczyk leżał zgnieciony olbrzymią bryłą granitu. Z czaszki mózg wytrysnął, na ohydnej twarzy zastygł wyraz przerażenia.

Nie znalazł się nikt w pułku, któryby znieważcę chciał pochować, więc trup jego pozostał wśród rumowiska.

Tegoż rana kapitan zwinąć kazał namioty i wszyscy opuścili Saint - Cyr głęboko przejęci myślą, że w Niebie istnieje Bóg karzący i że bezkarnie urągać nie można Jego świętej Sprawiedliwości [1]).

Bogacz z Leroux i jego córka.

W kilka lat po Rewolucji francuskiej żył w mieście Leroux (Wandea) człowiek niezwykły, którego ludzie wytykali palcami, jak jakie widowisko przerażające: usuwano mu się z drogi jak przed widmem piekielnem.

Człowiek ten urodził się w nędzy, skoro zaś Teror ustał, ów Teror, co pochłonął tyle uczciwych i wielkich fortun, on, przez rozmaite złodziejstwa czynione pod osłoną rewolucji, stał się właścicielem największej majętności w całej okolicy.

Miał dom wspaniały, licznych domowników i stada ogromne, miał wszystkie dobra wzbudzające pożądliwość ludzką, krom szczęścia pod strzechą rodzinną i spokoju duszy.

To był niegodny bogacz z Leroux.

Nad nim i jego potomstwem ciężka zawisła klątwa. Nigdy żebrak nie stanął u jego progu,

---

[1]) V. Ourlino 1843 r. str. 279. Autor *Opowiadań z Bocage* dodał widocznie kilka szczegółów, poczerpniętych z ustnej tradycji, do ściśle historycznej osnowy swojej opowieści.

podróżny zaś przyśpieszał kroku, przechodząc około siedziby bogacza, bo ztamtąd dniem słychać było bluźnierstwo, a nocą straszne rozchodziły się krzyki.

* * *

Któż to był ten bogacz niegodny? Hrabia de Walsch da nam odpowiedź w przejmującej grozą historji, która jest znana w całej Wandei.

„Droga moja przechodziła przez wioskę Bois Guillé, w gminie Leroux, mówi on, i wówczas przyszła mi na myśl tradycja o czarownikach zaludniających rzekomo w pół dzikie te strony.

„Po dniu pogodnym ciemna noc zapadła. Księżyc ukazujący się na widnokręgu zaledwie rozpraszał jej cienie; w niepewnem świetle dążyłem sam jeden, więc nic dziwnego, że wszystkie smutne obrazy słyszane i widziane kiedykolwiek miały przystęp do mej wyobraźni i ciężyły na duszy.

Doszedłszy tak do polanki, nie pewny drogi, waham się, jaki obrać kierunek.

„W tem donośny, niemiły głos rozdziera okalającą mnie ciszę: słyszę nutę rewolucyjnej pieśni. Po chwili rozróżniam ohydne słowa zwrotki:

„Krwi, krwi, potrzeba krwi,
„By ożywić rzeczpospolitę!...

„Dreszcz obrzydzenia wstrząsnął mojem ciałem; słuchałem dalej, lecz głos zamilkł, natomiast księżyc wyjrzał z za chmury i w jego blasku dojrzałem kobietę, która siedziała na skręcie drogi, gdzie na

miejscu Bożej Męki, zburzonej świętokradczą ręką, nie postawiono dotąd zwalonego krzyża. Zbliżyłem się, kobieta nie wstała, a tylko usta szeptały niezrozumiałe słowa, oczy zaś bezmyślnie w jeden punkt były utkwione. Naraz z jej piersi wydobyła się skarga i krzyk opisać się niedający, coś jakby jęk przedśmiertny.

„Drżałem i drżę teraz jeszcze, gdy chcę powtórzyć to co słyszałem. Nigdy dźwięk żalu równie smutny i ponury do uszu moich nie doszedł. Myślałem z początku, że widok mój przeraża nieszczęsną istotę, więc rzekłem: „Chcę tylko o drogę spytać, proszę nie mieć obawy.“

- Obawy? — powtórzyła — nie, niczego się nie boję! Ja raczej jestem postrachem dla innych. Gdy mnie małe dzieci dojrzą na polu, wnet uciekają, krzycząc: „oto pokarana nadchodzi“. Więc też w nocy wymykam się z domu, siadam tutaj a dla rozrywki śpiewam“. Głosem silnym, powtórzonym przez echo, zawyła znowu:

„Krwi, krwi, potrzeba krwi....

Aż nagle okropną pieśń przerywa tenże sam krzyk, który już raz wzruszył mię do głębi.

„Przyjrzałem się wówczas siedzącej kobiecie. Była silnie zbudowana, jej ogromna głowa zdawała się ciężyć na barkach. Słomkowy kapelusz w tył odrzucony, zdobiły czerwone wstążki, związane około szyi, znacząc ją jakby krwi pręgą. Rozwichrzone, twarde włosy jeżyły się na głowie... Chude ramię, nagie po łokieć, kończyła dłoń niebywałej wielkości.

Najwstrętniejsza brzydota, jakiś smutek obłędny wyzierał z jej oblicza, wzbudzając zamiast litości — odrazę.

„Nie zwracała jej uwagi uporczywość mojego wzroku, sama zaś zapatrzona była w jeden punkt. W ręku błyszczał nóż. Szara suknia krwią była zbroczona, a na ziemi u jej nóg leżał świeżo zabity baranek, ociekający krwią. Wskazując mi go, rzekła:

— Ojciec zarżnąć kazał, zabijam je wszystkie, gdy potrzebna w domu strawa. Sprawia mi radość zagłębianie noża w kark baranka, przywołuję wtenczas matkę... ona ma łzy w oczach a ja się śmieję.— Mówiąc to zachychotała szatańskim smiechem.

„Na trawie leżały rozrzucone omszałe szczątki krzyża; ujrzałem też niezgrabnie ciosaną w drzewie figurę Chrystusa. Nieszczęsna obłąkana miała nogi oparte na świętem obliczu. Widok ten podwoił wstręt, jaki budziła we mnie.

„Nagle zerwała się z miejsca, wydając przejmujący, dziki okrzyk; odeszła z jagnięciem przewieszonem przez ramię.

„Zdala dobiegły mnie głosy zmięszane z jej głosem, klątwy i bluźnierstwa.

* * *

„Powiedziałem sobie, jest to niezawodnie rodzina niegodziwego bogacza z Leroux, znajdować się muszę w pobliżu wzgardzonej zagrody, omijanej nawet przez żebractwo, a warjatka widziana przed chwilą do tego rodu prawdopodobnie należy.

Znów księżyc wyjrzał z za chmury, przyśpieszyłem kroku, wkrótce zamigotała między topolami na wzgórku jasność bijąca z okien salonu, gdzie na mnie czekano, po przywitaniu uczyniono mi na wstępie wymówkę, za spóźniony powrót, więc dla usprawiedliwienia się opowiedziałem widziane i słyszane rzeczy, to jest o przerażającej postaci napotkanej na rumowisku.

— Jakto? — zawołał jeden ze starych wiarusów, który należał niegdyś do armji wandejskiej — widziałeś pan tego potwora?

— Tak — odrzekłem — i nie mogę uspokoić się dotąd. Kto jest ta kobieta? Napomknęła mi ona, że w okolicy zwą ją „pokaraniem".

— W istocie, — odparł Wandejczyk, — tak ją nazywają: stanowi postrach okolicy. I ja spotkałem się z nią kilkakrotnie, a ponieważ wspomnienie o niej jest dla mnie równie nieprzyjemne jak i dla pana, dowiedziałem się kim jest.

— Proszę opowiedzieć jej historję — zawołano jednogłośnie. Zbliżyli się wszyscy do stołu, kobiety odłożyły robótki, cisza zaległa dokoła a Wandejczyk jął mówić to, co wam słowo w słowo powtórzę:

* * *

„Mieszka niedaleko ztąd rodzina łotrów. Zastrzegam sobie, że wymieniać nie będę odległości, jaka nas dzieli: dwie mile czy dziesięć, bo wskazywać należy istoty dobrze czyniące, które za wzór służyć mogą, strzeżmy się jednak osób złych, bo

wywołać możemy ich zemstę. Zdajmy na Boga i sprawiedliwość ludzką obowiązek wykrycia nędzników. Nam pozostaje tylko brzydzić się wszelką zbrodnią.

Rodzina ta składała się z męża, żony i syna. Nie czuli się bezpiecznymi w nowo zakupionej siedzibie, niepokoiło ich bowiem sąsiedztwo naszych żołnierzy, więc do Nantes się udali, czem zwiększyli liczbę chroniących się tam rodzin.

Żona opuszczała od czasu do czasu miasto i przychodziła tajemnie oglądać nowe swoje dobra. Korzystając z tych wycieczek szpiegowała tych, którzy byli wierni królowi a których los tu rzucił. Z okrutną zręcznością odnaleść umiała owych nieszczęsnych i donosiła o nich natychmiast komitetowi rewolucjonistów. Mówią, że niejednokrotnie brała czynny udział przy aresztowaniu kobiet wandejskich.

Największą przyjemność sprawiało jej codziennie spędzać poranki naprzeciw ustawionej w Bouffey gilotyny. Wysyłała z pierwszym brzaskiem dnia płatnych ludzi, którzy zajmowali dla niej miejsce na placu kaźni, opuszczała go zaś dopiero w chwili, gdy znużony kat pozostawiał w spokoju mordercze narzędzie.

Kobieta ta (rumienię się, że kobietą zwać ją muszę), folgując zwierzęcym skłonnościom, nie przestawała paść oczu krwawem widowiskiem, a kaci, ciągle czynni naówczas, często dostarczali jej tej

okrutnej rozrywki. Ponieważ przy każdej egzekucji starała się być obecną, zajmowała z robotą w ręku niezmiennie to samo miejsce na placu. Radowały ją przygotowania do kaźni; lubiła wymyślać ofiarom prowadzonym na rusztowanie, a zwłaszcza odczuwała szał iście piekielnego zadowolenia, gdy ją dochodził ostatni okrzyk bólu skazańców. Wtedy podnosiła się z miejsca, oczy jej iskrzyły się ogniem, jak źrenice tygrysa, którego krwawa czeka uczta; tupiąc nogami w bezprzytomnem uniesieniu wołała: „Śmierć, śmierć arystokratom!“

Atoli Bóg okazał sprawiedliwość swoją. Narodziło się dziecko, ów potwór, któregoś pan spotkał. Dziewczyna ta jest ohydna, jak dusza jej matki, wstrętna jak wspomnienie zbrodni. Idjotka od dzieciństwa, niczego nauczyć się nie mogła, zna tylko krzyk przedśmiertny i ten bezmyślnie o każdej porze dnia i nocy powtarza.

Gdy rodzice, usiłując zapomnieć o przeszłości, gromadzą w domu ludzi sobie podobnych i pragną oderwać myśl na chwilę, córka ich jest tam, jakby uosobieniem wyrzutu sumienia: ponury krzyk rozdzwmiewa i lodem krew w żyłach ścina. Skazani są na słuchanie tego krzyku przeraźliwego dniem i nocą, przy każdej łyżce strawy. Napróżno, chcąc zmusić dziewczynę do milczenia, na rozmaite skazują ją katusze. Nieszczęsna idjotka, nawet dla uniknięcia razów, nie ośmiela się domu opuścić, odczuwa bowiem, jakim strachem ludzi przejmuje. Dniem

przeto wciska się w ciemny jaki zakątek, a tylko nocą wymyka się z klątwą dotkniętego domu [1]).“

Dwa przytoczone przykłady starczą, by wyciągnąć sens moralny znajdujący się w zbiorze opowieści nie mniej okropnych i nie mniej też popularnych w Wandei, a które wszystkie wykazują karę Opatrzności, jakiej kaci i ciemiężcy ulegli.

Mieszcząca się w nich wielka nauka równa się nauce, którą słynny poeta rzymski usłyszał wydobywającą się z głębi starożytnej Tarttarji. Jest ona głosem sumienia:

„Istnieje sprawiedliwość wieczna i nieubłagana, która ściga i dosięga zawsze gwałcicieli Praw Boskich i spada na kata nieopodal jego ofiary“.

Discite justitiam moniti et non temnere Divos.

---

[1]) *Listy Wandejskie* str. 345 — 354.

XVI.

Ręka Boża karcąca tych, którzy lżą krzyż św. Chrystofobia (krzyżowstręt).

„Widok krzyża św. wzbudza w niedowiarku rodzaj niebezpiecznej epilepsji. Choroba ta bardzo rozpowszechniona między Obrazoburcami V-go i VI-go stulecia naszej ery, rozwija się i teraz wśród ludów Zachodu z niepokojącą srogością. W medycznym języku owa choroba nazywa się *Chrystofobią*, a przywiązane są do niej wszystkie cechy wielce niebezpiecznej choroby nerwowej, która jak każde cierpienie tego gatunku doprowadzić może do typowych czynów, związanych z obłąkaniem lub do wybitnego zniedołężnienia“.

Słowa te określają naturę złą, lecz w czemże leży przyczyna? Wrodzoną oczywiście nie jest, więc aby ją odnaleść musimy sięgać do sił nadprzyrodzonych, a te nie inaczej jak w szatańskiem działaniu odkryć możemy. Znakiem naszego zbawienia jest krzyż. Na krzyżu poniosły klęski moce piekielne, dla tego też czart na nim zemstę swą wywiera i odrazę w jego zwolennikach budzi.

Lecz Bóg sam nad światem krzyż zatknął i najsilniejsza potęga ludzka nie zdoła wyrwać go z posady. Jeżeli upada, to aby zgnieść ludzi, którzy próbują krzyż zachwiać, lecz zaraz podnosi z prochu zwycięzkie czoło, trzymając w ramionach Boga miłosiernego, który przebacza skruszonemu grzesznikowi; Boga sprawiedliwego, karzącego pyszałka w zatwardziałym buncie! Boga niezwyciężonego, który drwi sobie z nieprzyjacielskich usiłowań. Przykłady, jakie tu zamieścimy, uzasadnią tem wyraźniej niewątpliwą tę prawdę.

W nocy z 31 grudnia na I-szy stycznia 1882 r. zmarł nagle jeden z najczynniejszych, najbardziej zawziętych przywódców przeciw-duchownej polityki, wprowadzonej przez oportunistyczny program miast Romana i Grenobli, obywatel Herold, prefekt departamentu Sekwany. Ten fanatyczny założyciel szkolnictwa świeckiego, ten pierwszy znieważca krzyżów we Francji, wyzionął ducha w dniu, w którym w swej bezbożności zamienił ostatnią szkołę, kierowaną przez zakonników, na szkołę czysto świecką.

Kiedy umierały jego dzieci, grzebano je cywilnie, stosownie do woli ojca. Podobnemu losowi i jego trup uległ. Ale gdzie jest dusza? Dusza Herolda stanęła przed Sędzią Przedwiecznym. Herold przekonał się teraz, że Chrystus jest Bogiem.

Tak się zachowałem względem krzyża św.

Następujący fakt sięga rewolucyjnej epoki. Podczas oględzin szpitala zwrócono uwagę ojca

Varin na żołnierza którego życie, wobec ciężkiego okaleczenia zdumiewającem było zjawiskiem. Ciekawością zdjęty Ojciec Varin zapragnął chorego zobaczyć; zbliżył się zatem i ujrzał człowieka z pogodną twarzą, na której malował się dziwny spokój.

- Przyjacielu — zagadnął go — mówiono mi, że ciężkie masz rany?

Chory uśmiechnął się.

Ojcze - odparł — zechciej unieść kołdrę.

Ksiądz się cofnął, bo ujrzał brak obydwóch rąk.

Jakto — szepnął kaleka — tak błahy powód przeraża ojca? Proszę podnieść kołdrę w miejscu gdzie są nogi.

Podnosi i widzi, że biedakowi nogi do bioder odjęto.

— O dziecko moje! Jakże mi cię żal!

— Nie ojcze, nie lituj się nademną, bo dotknął mnie los zasłużony. Zachowałem się podobnie względem krzyża. Spieszyłem do pułku w towarzystwie kolegów. Po drodze napotkaliśmy krzyż, który uszedł uwagi zażartych rewolucjonistów. Wówczas poczytaliśmy sobie za obowiązek zwalić go. Ze wszystkich największą okazałem gorliwość; wdrapałem się wysoko i szablą strąciłem ręce i nogi Ukrzyżowanego. Padł na ziemię. Zaledwie doszliśmy do obozu, zawrzała bitwa, a pierwsza potyczka doprowadziła mnie do tego stanu, w jakim się znajduję. Ale niechaj będzie pochwalony Bóg! Karze moje świętokradztwo na tym świecie, aby mi oszczę-

dzić pokuty na tamtym, bo wielkiem jest Miłosierdzie Jego!

(Rekolekcje O. Giniscalchi).

Wet za wet.

W okolicy Forez powszechnie znano człowieka, który za rewolucyjnych czasów przekroczył próg kościoła a tam, dostawszy się na szczyt wielkiego krzyża, młotkiem przełamał rozpięte ramiona Chrystusa. Niezadługo człowiekowi temu rodzi się dziecko rąk pozbawione. Kaleka się wychował, ale nie mogąc zarobić na życie, żebrakiem był przez lat pięćdziesiąt.

(*Okropne kary doświadczone przez rewolucjonistów*, str. 177).

Nieustanne pragnienie.

Tygodnik religijny w Bayeux pisze: Fakt niniejszy jest nam opowiedziany przez ks. Petron, proboszcza z Firfol, niedaleko Lisieux. W gminie Firfol roku 1793-go obrano na wójta niejakiego D... dzierżawcę i właściciela posiadłości ziemskiej. Nowomianowany urzędnik okazał się zajadłym prześladowcą wszelkich objawów wiary św. utrwalonej od wieków na ziemi francuzkiej. Bluźnierca ów obchodził dom za domem, by łamać i niszczyć pobożne figury i obrazy i wierzącym urągać. Dobrał sobie czterech rewolucjonistów bezbożnych jak i on, którzy niebawem zginęli marnie. Wójt uroczyście kazał obchodzić dzień, gdy palono na rynku krzyże

krzesła i inne sprzęty kościelne. Raz urzędnik D... postanowił zedrzeć ze ściany wiszącego na krzyżu Syna Bożego; ponieważ jednak drabiny nie znalazł, na szyję Zbawiciela pętlicę zarzucił, Zniewadze przyglądało się kilku świadków.

Gdy dopiął celu i krucyfiks legł u jego stóp, znieważca dumny z niegodnego czynu ośmielił się jeszcze bezecnym żartem podkreślić wstrętny postępek. „Biedaku! — rzekł — jakiś ty zawiędły i suchy! Kropnąłbyś chętnie kieliszek! Nieprawdaż?“

Lecz natychmiast ów bluźnierca odczuwa pragnienie, nie dające zaspokoić się niczem. Trwało ono do jego śmierci. Jadąc na targi lub jarmarki okoliczne, zabierał wprawdzie ogromną butlę jabłecznika, pił ustawicznie, lecz pragnienia nie mógł ugasić. Do spieczonych warg Tantala, w greckich baśniach, płyny rzekomo nie dochodziły, męka D... była niemal taka sama.

Proboszcz, mieszkający w Firfol trzydzieści ośm at, dodaje, że rówieśnicy D..., obecnie zmarli, ręczyi za prawdziwość dziwnej tej kary; zgrzybiali staryżyjący jeszcze, rzeczywistość jej potwierdzają.

Smutny bohater niniejszej opowieści przetrwał 25 lat w tej katuszy; gdzie się ruszył, tam nieugaszonem pragnieniem niósł wymowne świadectwo swej zbrodni i bluźnierstwa. Z licznych jarmarków, na jakich bywał, wymienimy jarmark w Orbek: Otóż proboszcz tamtejszy ks. Dozulé przyznaje, iż wielu ust słyszał o tym fakcie, oraz o wielu innych nie mniej prawdziwych.

Tańcujący Jan.

Przez bardzo czcigodnego osiemdziesięcioletniego katolika doszła nas wiadomość o zdarzeniu podobnem, w niektórych szczegółach, do zdarzenia w Firfol.

W jednej z wiosek djecezji Evreux zwalono krzyż w kościele. Znieważca miotając obelgi jął wyprawiać różne skoki. Taniec ten dziwny trwał odtąd nieustannie, nerwowe drżenia i te chorobliwe ruchy nie opuszczały go aż do śmierci. Pracować nie mógł, — zatem żebrał, co czcigodny świadek stwierdził niejednokrotnie. Żebraka zwano *tańcującym Janem.*

Tak to istotnie Sprawiedliwość Boża nie zawsze skonania czeka, by niedowiarka zgnębić, ale często za życia jeszcze, zsyłając nadzwyczajne kalectwa, robi zeń pośmiewisko ludzkie.

„Nie chcę lekarza! Sprowadźcie księdza!"

Ksiądz Blais, dawny proboszcz w Saint Hilaire-la-Gerard (Orne) przesłał nam pod datą 24 października 1900 r. opowiadanie następujące, przyczem zapewnia, że jest ono bezwzględnie prawdziwe.

Zniszczenie białego krzyża. „W 1794 r. M. L... z Saint Hilaire-la-Gérard zaprzągł dwa konie do łańcucha, owiniętego naokoło krzyża i rzekł, zwracając się do parobka, który nie mógł czy nie chciał krzyża obalić: „Zobaczysz jak go przewrócę! Naturalnie nie tylko krzyż ściągnąć zdołano, ale w kawałki się rozpadł. Ja sam zebrałem w 1900 r. szczątki ukry-

te na wzgórzu, na którym stał niegdyś i takowe zakopać kazałem pod nowym krzyżem, postawionym przezemnie na tem samem miejscu. Znieważca wiódł gorszące życie w czasie rewolucji, to też dnia pewnego raptowna apopleksja zwaliła go na własnem podwórku. Zdążył tylko krzyknąć: „Lekarza nie chcę, sprowadźcie księdza, jest mi potrzebny! Aczkolwiek księdza tylko 400-sto metrowa przestrzeń dzieliła od chorego, jednak przybycie jego było już spóźnione. Znieważca stanął przed Najwyższym Sędzią.“

Dziateczki, strzeżcie się znieważyć kiedykolwiek krzyż Boży, oraz przedmioty święte, bo czeka was kara.

Otrzymaliśmy list od ks. Gardette, proboszcza w St. Priest la Prugne (Loire) dnia 31 lipca 1909 r.

„Proboszcz z la Prugne (Allier), która to parafja sąsiaduje z moją, prosił mnie dnia 16 kwietnia 1905 r. o przybycie do siebie i wygłoszenie kazania w czasie uroczystego nabożeństwa, odbyć się mającego w celu przebłagania Boga za dawną zniewagę krzyża. Kolega nadmienił przytem, bym wspomniał w swej mowie o fakcie, jaki miał miejsce w Petite Marche. Oświadczyłem z mej strony proboszczowi, że powtarzanie legendy nie zgadza się z mojem przekonaniem, uznaję bowiem tylko fakta niezbicie prawdziwe. Natenczas kolega z Prugne zniósł się piśmiennie z proboszczem z Petite-Marche; odpo-

wiedź tego przytoczyłem podczas kazania a obecnie przesyłam wam ją w całości. Pismo wasze może list ten zużytkować.

„Oto co się stało w 1795 r. w Petite-Marche (Allier). Sprawca zbrodni zmarł tamże w 1855 r. Był to człowiek łagodny i cichy: dzieci przebywać z nim lubiły i występowały często z prośbą: „Ojcze Servant opowiedz nam swoje dzieje.“ On zaś przemawiał w te słowa: „Dziateczki, strzeżcie się znieważyć kiedykolwiek krzyż Boży, oraz przedmioty święte, bo czeka was kara“... poczem snuł wątek swojego opowiadania.

„Działo się to w 1795 r. Piłem dnia tego za dużo z dwoma towarzyszami, starszymi odemnie. Oni byli przyczyną zła, które się stało. Lecz Bóg ich ukarał; ukarze mnie także; doczekacie się tego dziateczki, człowiek w życiu jest nieraz taki głupi!..

Po dobrej wypitce, najstarszy z naszej trójki, malarz z zawodu, rzekł: „Trzeba nam tej nocy zwalić krzyż w kościele i ponieść go na plac“. „Ja się z nim rozprawię“ — wtrącił drugi: „jutro nikt posądzać nas nie będzie, sami zaś będziemy mieć uciechę.

„Naznaczyliśmy na wyprawę godzinę 11-tą w nocy, poczem opuściwszy karczmę, każdy poszedł w swoją stronę.

„O wskazanym czasie malarz przybył z drabiną, drugi z młotkiem i siekierą, ja nie miałem nic, lecz przyłączyłem się do nich. Wybiliśmy z łatwością końcem drabiny stare drzwi kościelne i weszliśmy do wnętrza. Tam zapaliliśmy wnet zgaszoną

lampkę, do Męki Pańskiej przyłożyliśmy drabinę, na którą wskoczył malarz. Po kilku minutach wołamy do niego: „Dalej, spiesz się!“ „Wejdźcie sami, pójdzcie, wam łacniej... gorąco tu... nie mogę!..“ Poczem zszedł. Z jego twarzy lał się pot, trząsł się jak listek.

„Mój towarzysz postanowił wejść. Zaledwie doszedł do połowy drabiny, jego również drżenie ciała zmusiło do powrotu na ziemię. Uciekliśmy wszyscy trzej, unosząc z sobą drabinę i narzędzia. Niemieliśmy już ochoty rozpoczynać na nowo.

„Nie koniec jeszcze. W miesiąc później, na tę samą drabinę wchodzi mularz, któremu wypadło poprawić uszkodzenie na dachu jakiegoś domu. Drżenie pochwyciło go na szczycie drabiny, przechylony w tył spadł i zabił się na miejscu. Znowu przerwa miesięczna. Wspomniany towarzysz wiózł siano na wozie: wtem bez widocznego powodu wystraszone konie uniosły w bok, wóz się przewraca, woźnica dostaje się pod koła, które przejeżdżają mu przez szyję. Nastąpiła śmierć natychmiastowa.

Te nagłe dwie śmierci, kładziono początkowo na karb nieszczęśliwego wypadku, lecz ja wiedziałem, że to kara Boża, to też lada chwila spodziewałem się mojej kolei. Nie mogłem jeść, pić, sen powiek nie kleił. Nie wiedziałem co robić z sobą! Natenczas dobrem natchnieniem wiedziony, udałem się do St. Marcien (dwie godziny drogi od Petite-Marche). Tam zazwyczaj ukrywał się proboszcz, gdy go rewolucyjni prześladowcy ścigali. Bogoboj-

ne dusze dostarczały wszystko, co potrzebnem mu było do życia. Nocą wymykał się do chorych, chrzcił dzieci, Mszę św. odprawiał, by nad rankiem do lasu powrócić. Zastałem księdza w domu; nasza rozmowa trwała godzinę, przez którą opowiedziałem wszystkie szczegóły, jak się co stało. Nie wyjdą mi nigdy z pamięci słowa proboszcza: „Kara Boża! Kara Boża!!! Servant, miej się na baczności!!

Powróciłem zadowolony. Żal mój był szczery i dla tego szczerego żalu może Bóg pozwala żyć mi tak długo.“

Jednakże doszedłszy do 70 lat, Servant ciężko zachorował. Ksiądz Maynet, proboszcz parafji, zaniósł mu Wiatyk i udzielił Sakramentów św. Zaraz po ukończeniu ceremonji Servant podniósł się na łóżku i zupełnie przytomny zawołał: „Chrystus! Chrystus!“ rozpostarł ramiona wytężając je z całych sił i w tej postawie ducha wyzionął. Tak też pozostał. Zesztywniałe ramiona zdawały się być z żelaza. Przez cały dzień dorośli i mali oglądać chodzili nieboszczyka, dzieci powtarzały: „Wszak mówił nam, że go Bóg ukarze.“ Nazajutrz, aby go w trumnie ułożyć, musiano mu złamać ręce!...

Ze stoczonego przez robaki ciała rozchodziła się woń cuchnąca.

„Jeździłem wczoraj do Châteaurenault, długa podróż do tej miejscowości była powodem licznych wrażeń. To, o którem mówić zamyślam, prześcignęło inne, nadomiar jest w nim przestroga, tak bar-

dzo na dobie będąca i tak groźna, że mam sobie za obowiązek wrażeniem mojem z gazetą waszą *Lud Francji* się podzielić; odnosi się wprawdzie do dawniejszych czasów, lecz dopiero okoliczności świeżo zaszłe wypadek w należytem przedstawiły świetle.

„W 1830 r. kilku młodych ludzi z Châteaurenault i z okolicy przechodząc około krzyża w Vauchevrier popełniło świętokradzki czyn zdjęcia Męki Pańskiej, by z niej zabawkę uczynić.

„Zerwali więc postać Chrystusa z krzyża, poczem wśród nocy po ulicach miasta włóczyli; w końcu jęli naradzać się co mają dalej uczynić.

„Jeden zawnioskował, by na drodze porzucić, gdzie koła wozów łatwo krzyż rozbiją; drugiemu przyszła ochota wydłubać oczy figurze, trzeci podał projekt powieszenia Męki Pańskiej na wahadle pompy, przez co stanie się przedmiotem drwin i śmiechu.

„Ten ostatni zabrał się wnet do dzieła. Wieszając wyobrażenie Chrystusa do licznych obelg przerażające dołożył bluźnierstwo: „Pozostań tu dopokąd robaki cię nie stoczą!“

We dwa lata po tej zniewadze rozeszła się wieść (w listopadzie 1832-go roku), że ładowny wóz przejechał młynarczyka na drodze z Amboise do Châteaurenault. Zmarł on, mocno poturbowany, dnia 24 listopada 1832 r.

Dnia 13-go tegoż miesiąca w 1833 r. Franciszek Deslis, pracownik rolny w Barrurie, gminie Sauney, około Châteaurenault, w rodzicielskim do-

mu, po okrutnem cierpieniu oczu ślepym zupełnie umiera.

Wreszcie w samem Châteaurenault dziewiętnastoletni czeladnik szewcki, Hipolit Lefèvre, zapada nagle na dziwną chorobę, której przebieg lekarzy zdumiewa. Jego ciało dosłownie robaki jadły i rozchodziła się woń cuchnąca. Widocznych dla oka ran nie było, robaki roiły się pod skórą, zkąd wydobywały się na wierzch w tak wielkiej obfitości, że pomimo największych starań wytępić się nie dały.

„Jakiż zachodził stosunek między chorobą i śmiercią tych trzech ludzi a świętokradzkim zamachem w Vauchevrier? Nikt się nie domyślał. Nie ulega wątpliwości, że zbrodnia głębokie wywarła wrażenie na ludności, ponieważ jednak winowajcy tajemnicę swą ukrywali, na ich trop ludzie nie wpadli.

A jednak mimo odwłoki prawda na jaw wyszła i spowodowała wstrząsające wrażenie.

Ostatni z pozostałych przy życiu znieważców, zrozpaczony nieuleczalnym stanem zdrowia, głosu sumienia posłuchał, a ono mu szeptało, by naprawił w możliwych granicach bezecny postępek. Kazał zatem prosić do siebie proboszcza parafji, a po odbyciu spowiedzi ubłagał księdza, by jego wina oraz skrucha ogłoszone były z ambony. Następnie, wobec licznie zebranych osób, w chwili przyjmowania Komunji św. ze łzami w oczach, głosem przerywanym łkaniem, opowiedział szczegóły przez nas już streszczone, mianowicie: porwanie figury Chrystusa

z kościoła, obelżywe wyrazy, bluźnierstwa, a wreszcie zasłużoną karę, kładąc nacisk na dziwną okoliczność, że tak towarzysze jak i on sam, tej właśnie kaźni ulegli, jaką każdy z nich groził Chrystusowi. Przypominają sobie obecni, że, aby mieć więcej słuchaczy, zanieść siebie polecił pod otwarte na ulicę okno i tam, przedstawiając oczom tłumu swe okropną chorobą wynędzniałe ciało, oskarżał się ponownie, prosząc widzów o przebaczenie.

Zmarł 2 listopada 1833 roku, mając dziewiętnaście lat i 3 miesiące. Czerpiemy wszystkie opisane szczegóły z bardzo pewnego źródła; przeprowadziliśmy surowe badania w tym względzie, przeto niema wątpliwości co do prawdy niniejszej opowieści.

Odszukano ową Mękę Pańską i naprawioną przybito napowrót do krzyża w Vauchevrier, a 1 listopada 1881 r. proboszcz z Châteaurenault poświęcił takową w oczach rozrzewnionego ludu.

Lecz ostatniemi czasy w obawie, by zmiana temperatury nie uszkodziła figury Chrystusa, z polecenia dziekana wniesiono ją do parafjalnego kościoła, gdzie uważana za cenną relikwię, przedmiot czci dla pobożnych stanowi.

Z tejże okazji, nowa ceremonja zadośćuczynienia Bogu miała miejsce 27 marca 1904 r. pod przewodnictwem Jego Ekscelencji ks. Renou arcybiskupa miasta Tours, który solennie krzyż poświęcił, udzielając przytem 40-dniowego odpustu wszystkim katolikom, którzy składać będą hołd świętej figurze Chrystusa, wymawiając te słowa: *„O Crux ave,*

spe unica“ (O Krzyżu, bądź pozdrowiony, nadziejo jedyna). Ksiądz Garnier.

Cudowny Chrystus.

Fakt niżej opisany miał miejsce w Lugny (Aisne) w 1847 r... Podążając na pole, trzech kosiarzy zatrzymało się przed Bożą Męką. Jeden z nich, przyglądając się Ukrzyżowanemu, bluźnił w te słowa. „Czemu tak głowę przechylasz? Drugi rzucił osełkę w prawy bok figury, trzeci, przyklaskując towarzyszom, również dołączył jakieś ohydne szyderstwo.

Nad znieważcami Ręka Boża zawisła!

Ten, który pierwszy szydził z pochylenia Boskiego czoła, uległ częściowemu porażeniu muskułów twarzy i szyi, przez co do końca życia głowy wyprostować nie mógł; jego utrzymanie zależnem się stało od miłosierdzia ludzkiego. Przykry był widok tego żebraka. Chodził od drzwi do drzwi prosząc o jałmużnę w imię Boga, którego niegdyś znieważał. Głowa przechylona na bok, zaćmione źrenice, nieruchomo zachodzące pod górne powieki dawały mu zaiste pozór konającego.

Drugi z kosiarzy, rzucający osełkę w bok Zbawiciela, doznał na sobie czem jest prawo odwetu. Na jego prawym boku otworzyła się owrzodzona rana, wydzielająca materję przez siedm lat, to jest dopóki śmierć, spowodowana suchotami, pasma żywota nie przecięła. Podobno bytność księdza osłodziła ostatnie chwile nędzarza. Opatrzność przy-

wiodła trafem sługę ołtarza pod dom umierającego człowieka.

Trzeciemu bluźniercy sparaliżowane nogi odjęły możność poruszania się, dokuczało mu zatem przez całe życie ciężkie kalectwo.

Prawdziwość wyżej przywiedzionych faktów, które opowiadane są przez mieszkańców tamtych stron, w nas podejrzenia wzbudzać nie może, albowiem stwierdzone są one przez naocznych świadków, a potomkowie znieważców w prostej linji żyli jeszcze w 1893 r. Widzieli oni znak Ręki Bożej, piętnujący ich dziadów.

Ponieważ postać cudownego Chrystusa zrobiona była z gipsu, a ten z biegiem czasu uległ zniszczeniu, szczątki zachowano pobożnie a na tem miejscu nową postawiono Kalwarję.

Krzyż przez okno wyrzucony.

W epoce rozruchów politycznych, jakie wybuchnęły 30 listopada 1868 r. w kolonji francuskiej Saint Denys, do gimnazjum OO. Jezuitów wtargnęła partja rewolucyjnych zbrodniarzy. Wśród ogólnego zamięszania jeden z przywódców, jak pisze gazeta „le Colon“ zdjąwszy ze ściany krzyż wyrzucił go na ulicę przez otwarte okno. Krzyż został strzaskany, lecz kara spotkała znieważcę. Po upływie dwóch dni o tej samej porze, kula i bagnet przeszyły ciało bluźniercy, zadając mu śmierć natychmiastową,

(Tygodnik kat. z Secz 1869 r. str. 753).

Nagła śmierć bezbożnika.

Pani de Dukat, osoba, pełna chrześcijańskich zalet, siostra Józefa Dukat'a, który był w owym czasie aspirantem do Misji Zagranicznych, napisała do ks. Huguet list następujący:

Besançon dnia 20 października 1868 r.

Dzieło Pańskie pod tytułem: *Okropne kary spadające na Rewolucjonistów,* niezmiernie zajmujące swą treścią, przywiodło mi na pamięć list otrzymany 10 marca 1853 r. od mojego brata, misjonarza w Siam. Pisał z seminarjum Misji Zagranicznych w Paryżu donosząc, że niezwykłe spotkało go zdarzenie w powrotnej drodze z Meudon, gdzie młodzi seminarzyści udawali się zwykle, by w posiadanem tam letnisku długie odbywać przechadzki. Otóż między Meudon a Paryżem spotkał on kilku ludzi stojących pod niedawno ustawionym krzyżem. Ludzie ci widocznie trzeźwi silili się na koncepta i zwracali się nie tylko do nadchodzących alumnów, ale także do Chrystusa, wiszącego na kamiennym krzyżu. Jeden z nich wzrok utkwił w Zbawicielu, mówiąc: „Więc nie chcesz się odzywać? Poczekaj, skoro każę, ty skakać musisz!“ Poczem wszedł na piedestał, ramionami krzyż objął, probując bujaniem nadwyrężyć obsadę, lecz przy mocowaniu się straciwszy równowagę, spadł na ziemię. Widząc go leżącym bez ruchu, towarzysze krzyknęli: „Cóż to tchórzu, strach cię owiał? Wstawaj!“ Nie poruszył się jednak. Wówczas zbliżyli się, za rękę ujęli, chcąc go

odnieść, wszelako bezwładne ciało osunęło się na-owrót. „Nie żył! W upadku kość pacierzowa pęk-. Seminarzystów ogarnęła trwoga, patrząc na włoki człowieka, któremu Bóg piorunującą karą uszną sprawiedliwość wymierzył."

N. Dukat.

Po strzale, myśliwy padł nieżywy.

Gazeta „Aurora" opisała w 1772 r. fakt następujący:

Pewien myśliwy, zatrzymując się przed figurą nta Maria di Gesu w Palermo, (Włochy) wziął na el krzyż umocowany na kolumnie, ustawionej u wrót ościelnych. Powstrzymać go chciał stróż miejsco-y, lecz myśliwy w oka mgnieniu za cyngiel po-ągnął i wystrzelił. W tejże chwili padł martwy.

Niektórzy nazwą to prostym zbiegiem okoli-zności, my jednak widzimy w tym fakcie jeden owód więcej, że przewinienia ludzkie są zawsze arane Ręką Bożą.

Źle trafił.

W gminie Cahan (Orne) miał świeżo miejsce eslychanie bezbożny postępek. Odbywała się w nie-zielę jubileuszowa procesja, której zdala przyglądali się dwóch ludzi B.... i D.... Pierwszy z nich trzymał w dłoni broń nabitą, wyszedł bowiem zapolować na ptaki. Naraz, złem natchnieniem wiedziony, dzywa się do przyjaciela:

— Załóż się ze mną, że cały nabój wpakuję w niesiony krzyż!

— Nie zakładaj się — odparł drugi, — ztąd za daleko, więc chybisz, celuj raczej w chorągiew.

B.... fuzję podnosi i przykłada ją do ramienia D.... zaś, chcąc dokładnie zręczność przyjaciela ocenić, na drugą przeszedł stronę.

Pada strzał, wszelako trafia nie w cel upatrzony lecz w kolegę D.... Ten, krzyknąwszy przeraźliwie, kulejąc do domu powrócił.

Zjawiła się wnet straż ziemska, aresztowała niefortunnego strzelca B.... i odstawiła go do Domfront. Co do D.... przebywa on w łóżku, bo trzeba było robić głębokie nacięcia, aby ziarnka śrutu wydobyć.

(Tygodnik kat. z Seez 6 maja 1875 r.).

Nagi, jak Chrystus na Krzyżu.

W Mięsopustną niedzielę poświęcano z wielką uroczystością w Grimaud (djecezja Frejus) niezwykle pięknie odrobionego Chrystusa na krzyżu. Było to w 1879 r. Podczas ceremonji znajdował się w kościele młody człowiek, wiedziony ciekawością czy też bezbożnem uczuciem, dosyć, że na widok Chrystusa, wystawionego ku czci ludu, wybuchnął potokiem najstraszniejszych zniewag i drwinek. „Co znaczy to nagie cielsko?“ wykrzykiwał zuchwale, podniesionym głosem. Słysząc te słowa bogobojni ludzie oburzyli się wielce. Przed końcem

ceremonji bluźnierca wyszedł z kościoła, lecz następnej niedzieli w przerażający sposób opuścił nań Bóg karzącą swą rękę. W sobotę wieczorem bezlitosny wróg Chrystusa poślizgnąwszy się wpadł do kadzi z wrzącą wodą. Sądzono, że zmarł odrazu, okazało się jednak, że sprawiedliwość Boska inaczej zrządziła.

Znieważca okazać miał na własnem ciele dowód pomsty za wykonaną zbrodnię, na świadectwo wszechmocy tego Chrystusa, którego obraz pohańbił. Zdarto zeń szaty a ciało jego leżało w pościeli nagie, jak ciało Chrystusa na krzyżu.

Bez Sakramentów św. umarł i w życiu nie ujrzał już wizerunku ukrzyżowanego Boga! Nie dziw więc, że koniec ten przejął trwogą serca mieszkańców Grimaud.

(Tygodnik kat. z Seez 1880 r. str. 106).

Krucyfiks z Triguères.

Triguères jest wioską w djecezji Orleańskiej na drodze z Joigny do Montargis i zarazem stacją kolei żelaznej łączącej Sens z Orleanem.

Za czasów Teroru kościół w Triguères zamknięty był tylko przez kilka miesięcy, bo w tym cichym, pobożnym zakątku paru zaledwie zjawiło się rewolucjonistów.

Między nimi był pewien człowiek, który w porozumieniu z żoną ukradł z kościoła srebrny krucyfiks, ofiarowany niegdyś przez Siostry Benedyktyn-

ki z Montargis, a znajdujący się obecnie w kościele Triguères.

Ludzie ze wzruszeniem opowiadają jako sprawcy tej kradzieży dali życie dziecku, które do najdrobniejszych szczegółów odtworzyło wizerunek i postawę zbolałego Chrystusa. Twarz nosiła na sobie piętno konania, ciało umęczone bólem, palce kurczowo zgięte, stopy założone jedna na drugą. Zatrwożeni rodzice odnieśli do kościoła srebrny krucyfiks, wszelako Bóg zatrzymał na ziemi przez ciąg lat 43 krucyfiks żywy, pozbawiony myśli, ruchu i słowa; z gardła wyrywały mu się tylko straszliwe jęki, co cała okolica potwierdza.

(Urywek z dwutomowego dzieła pod tytułem: *Historyczne opowieści z okolic Orleanu,* przez ks. Pétron, kanonika orleańskiego).

Z ośmiu jeden tylko pozostał przy życiu.

Wierny przyjaciel *Tygodnika katolickiego* z Seez opowiada zdarzenie, za prawdę którego powagą swą ręczy. Podaje też nazwę miejscowości i imiona trzech nieszczęsnych winowajców.

Rzecz działa się w dużej wsi Pia, oddalonej od Perpignan o jakieś 9 — 10 kilometrów. Ośmiu młodych ludzi w wieku lat 20—24 podążyło razem do kawiarni. Byli to robotnicy, którzy w winnicach zwykle pracowali. Kawiarnię wypełniał tłum gości, co widząc właścicielka zaprosiła ich do siebie, mówiąc: „Niema wolnego miejsca, ale, że do przyjaciół was zaliczam,

wejdźcie proszę do mojego pokoju, tam wam stół nakryję.“

Wnet podała im wino grzane i przyjaciele za siedli omawiając kwestje bieżące; w tem jeden z nich nazwiskiem Estyrach, dojrzał wiszącego nad łóżkiem ukrzyżowanego Chrystusa. „Trzeba mu dać wina, aby się orzeźwił nieco,“ zawołał, zdejmując wizerunek Zbawiciela ze ściany i głowę Jego zanurzając w szklance wśród ogólnej wesołości.

Zobaczymy co on też ma w piersiach? — rzekł drugi, Markiem zwany i jął świdrować krucyfiks.

- Nie dość tego - dorzucił Aynard - trzeba obciąć mu nogę, aby zobaczyć czy ma krew w żyłach. I prawa noga odciętą została... W kilka dni później, Estyrach, pojący winem głowę Zbawiciela, krząpiąc się, tonie.

Marek, który pierś Chrystusa rozwarł, w galopujące popadł suchoty i zmarł wkrótce, Pięciu jego towarzyszy na tę samą zapadło chorobę i nie otrzymawszy Sakramentów św. wszyscy pomarli.

Jeden tylko z ośmiu bluźnierców pozostał przy życiu, jakby dla przedłużenia wspomnienia świętokradztwa i własnej kary. Aynard ów, który nogę odciął, dostał gwałtownych cierpień w prawem biodrze, amputacja nogi okazała się konieczną i dr. Lamer, który operacji dokonał ze zdumieniem ujrzał, że kropli krwi w niej nie było.

Po tym wypadku Aynard, lękiem i żalem przejęty, usilnie się starał przebłagać Chrystusa.

Wszyscy mieszkańcy z Pia potwierdzą te szczegóły, a z ust Aynarda, jedynego, który przeżył bluźnierców, usłyszeć możecie tę smutną a niestety prawdziwą opowieść.

(Tygodnik kat. z Seez 1885 r. str. 304). (Dowiadujemy się, że Aynards zakończył życie 14 Marca 1895 r. przyjąwszy Sakramenta św.).

Jeszcze jeden bluźnierca natychmiast ukarany.

W 1881 r. wydarzył się w Monachjum wypadek nadzwyczajny, przez wszystkie dzienniki powtórzony:

Woźnica pracujący w jednej z fabryk monachijskich, jadąc wozem w okolicach przedmieścia, klął w sposób ohydny, ujrzawszy zaś na drodze krzyż z wizerunkiem Chrystusa podwoił swe złorzeczenia. Znalazłszy się na wprost krzyża bluźniercа ciął batem wizerunek Boskiego Męczennika, krzycząc: „Masz psie jakiś!“ Obecni temu ludzie ujęli go i oddali w ręce żandarmów. Gdy wszczęto badanie, świętokradca słowa wymówić nie mógł i naczelnik policji nie był w możności wydobyć z niego ani jednej odpowiedzi. Przypuszczano, że dla uniknięcia zeznań udaje niemotę, więc próbowano go skłonić na różne sposoby, ale wszystko to było na daremne. Łotr ów w więzieniu odsiadując karę za czyn bezbożny, wydawał z piersi jakiś głos podobny do szczekania psa. Wszelako lekarze powołan

do zbadania jego krtani żadnych zmian w niej nie zauważyli. Tak Bóg karze swoich znieważców.

(Tygodnik katolicki z Seez 1881 r. str. 460).

Zgnieciony krzyżem.

Bertrand, białoskórnik zamieszkujący w mieście Beziers, należał do liczby tych, którzy się wypowiedzieli za zniszczeniem świętych obrazów, Ów Bertrand miał zięcia również bezbożnego, który będąc w Saint-Geniers-le-Bas przechadzał się razu pewnego w towarzystwie żony i kilku innych osób, a wyszedłszy za miasto zobaczył krzyż kamienny, nad drogą, zbliżył się więc i silnem wstrząśnieniem chciał go obalić. Wtem odrywa się górna część krzyża i padając mu na piersi, miażdży go tak, że o 9-ej wieczorem już nie żył.

(Pismo *Univers* przedrukowało to opowiadanie z pisma *Eclair* z Montpellier dnia 5 września 1882 r.)

Bóg karze!.. Nie dozwala bezbożnym wstępować w progi kościelne.

Tygodnik religijny z Bayeux z 6-go maja 1892 r. powtarza za *Pikardyjską Kroniką* następujący fakt:

W Hain (Somme) szło drogą, zataczając się co chwila, czterech robotników mocno podchmielonych. Gdy dotarli do miejsca gdzie krzyż rozpościerał ramiona, pijana drużyna lżyć jęła Chrystusa orzucając Go kamieniami. Najzawziętsi okazali się dwaj bracia bluźniercy.

W trzy dni potem, ból nieznany dotknął tych braci, z których jeden umarł cierpiąc tak okrutnie, że nieludzki jego krzyk sąsiadów przygnębiał. W dzień pogrzebu, gdy ludzie niosący mary wraz z orszakiem stanęli na progu kościoła, trumna zsunęła się na ziemię, pękła a z niej wypadł trup ohydny i stoczył się w błoto. Obecni zrozumieli, że Bóg wzbrania bezbożnikowi wstępu do kościoła.

Brat drugi nie umarł, ale długo jeszcze wlec będzie za sobą brzemię kary, która go też dosięgła.

Niechaj Bóg łaskę pokuty nań ześle!

Odpowiedź przez krzyż dana.

Straciwszy niedawno matkę, bezbożny mieszkaniec Wogezów (Francja), widział, że i dni jego siostry są policzone; wtem do wiadomości nędznika dochodzi pogłoska, iż siostra napisała testament, który nieodpowiadał jego życzeniom.

Chwyta więc stojący krucyfiks, stawia go na stole przed sobą i wobec świadków klnąc i złorzecząc żąda od Chrystusa, aby mu zawartość testamentu odkrył, w przeciwnym bowiem razie, jeśli w ciągu tygodnia odpowiedzi nie otrzyma, grozi krzyżowi, że spali go własnoręcznie, to mówiąc, przykłada zapalone zapałki do stóp Chrystusa.

Otóż w następnym tygodniu wypadło bluźniercy jechać do pobliskiego miasta Remiremont, zkąd wrócił późno w nocy.

Wybiła godzina sądu dla niego.

Chrystus milczał, jak niegdyś w obliczu Heroda, ale około 3-iej rano, bez żadnej przyczyny pożar wybuchł, ogarniając dom cały, a z nastaniem dnia, na miejscu pogorzeliska znaleziono zwęglone kości bluźniercy. Taka była odpowiedź przez krzyż dana!

(Tygodnik kat. z Saint-Dié 1893 r.)

Rany jego były podobne do uszkodzeń krzyża.

Czytelnicy nasi, mówi *Tygodnik religijny z Cambrai,* przypominają sobie niezawodnie świętokradztwo dokonane w pierwszy dzień Wielkiejnocy na cmentarzu w Waskehall 1894 r.

Zdarto natenczas postać Chrystusa z cmentarnego krzyża, oraz uszkodzono figurę Najśw. Panny. Aresztowanego z tego powodu Em. Dedanslaeyer'a wypuszczono z więzienia dla braku dowodów.

W niedzielę, między Lille a Roubaix, po przejściu pociągu z Rouge z szyn kolejnych uprzątnięto zwłoki młodzieńca mogącego liczyć nie więcej nad lat 20. Miał on obydwie nogi złamane, na głowie i rękach nosił ślady głębokich ran, reszta ciała okazała się nienaruszona. Był to ów Em. Dedanslaeyer, którego poszukiwała policja w sprawie jakiejś kradzieży. Dla uniknięcia pogoni rzucił się pod pociąg. Rany otrzymane przez Dedanslaeyer'a, pisze dziennik miejscowy, przypominały łudząco uszkodzenia poczynione w nocy 24 marca na figurze Chrystusa i Najśw. Marji Panny.

Nie zawsze pomsta Boża równie jest widoczna jak w tym oto wypadku; Bóg czeka. Niejednokrotnie największym zbrodniarzom pozostawia czas na skruchę. Jednakże widzimy, że nieraz też doraźną zsyła karę, aby tym sposobem ostrzedz umysły do złych zamysłów skłonne, oraz w ludności wiarę zamierającą wskrzesić.

Połamane nogi.

Donosząc o śmierci p. Bouquet, nauczyciela w Bannegon, (Cher) oto co pisze *Dziennik z Cher:*

„Poprzednio był on nauczycielem w Neuilly-en-Dun. Pierwszą czynnością pana Bouquet w tej miejscowości było usunięcie krzyża ze szkolnej sali.

Jeden z godnych uczniów bezbożnego nauczyciela umyślił wziąść ów krucyfiks za cel, w który starał się trafić kamieniem; wkrótce udało mu się złamać nogę wizerunku ukrzyżowanego Boga. W kilka miesięcy później, ten sam chłopiec wszedł na drzewo, spadł, nogę złamał i niebawem umarł.

Podczas wyborów do rady miejskiej nauczyciel z Neuilly-en-Dun, przyjechawszy do Bannegon i ujrzawszy znowu krucyfiks w szkole, zdjął go natychmiast, a przytem złamał nogę postaci Bożej. Niedawno ów Bouquet zeskoczył niezręcznie z roweru i nogę złamał. Śmierć nastąpiła we dwa dni później.“

(Wyciąg z gazety *La Croix*, luty 1901 r.)

Między fotelem a łóżkiem.

Dziennik *Nadzieja*, wydawany w Nancy, opisuje akt następujący: Pewien ateusz zakupił w okolicy Vitry-le-François w Herron posiadłość ziemską na której zbudował gospodarską osadę.

Na gruncie owym krzyż się wznosił, wszelako, nienawidząc Chrystusa, nowy właściciel obalił symbol wiary św., głazy zaś służące jako piedestał krzyża na fundament chlewów obrócił. Z chwilą, gdy zabudowania gospodarcze były już na ukończeniu, dłużniercę dotknęło cierpienie dziwne, nieznane, które skazało go do końca życia na ustawiczne przebywanie w łóżku lub fotelu, przyczem jęk bólu i krzyk wściekłości nieprzerwanie wyrywał mu się z piersi.

Prysła jego zamożność jak bańka mydlana i kiedy to piszemy, z pięknego folwarku des Granges, nie pozostał kamień na kamieniu, gdyż zlicytowano wszystko, zburzono i rozniesiono szczątki na cztery strony świata. (1900 r.) Ileż to wypadków podobnych mieszczą w sobie dzieje znieważców, a wszystkie one pozostawiają niezatarty ślad w pamięci ludzkiej.

Zażyj kąpieli!

Pismo *la Croix* z Limoges donosi:

W marcu 1906 r. ośmnastoletni robotnik z Limoges wywrócił krzyż, znajdujący się na brzegu stawu i, rzucając go do wody, rzekł:

— Zażyj kąpieli!

Tegoż dnia wieczorem po całodziennej pracy w znoju i upale robotnikowi i jego towarzyszom przyszła ochota odświeżyć się kąpielą w tymże samym stawie.

Pływał dobrze, urządził zatem popis umiejętności swojej i rzadko widziano go tak ożywionym, gdy niespodzianie równowagę tracić poczyna; doszło jeszcze obecnych wołanie o pomoc, lecz pomimo udzielonej mu pomocy znikł w głębinie.

W godzinę potem wydobyto go martwym z wody.

Znowu wet za wet.

Z tygodnika religijnego wydawanego w Besançon (10 listopada 1906 r.) przytaczamy co następuje:

Aby większy położyć nacisk na usunięcie wizerunku Chrystusa z sali obrad radca jednej z gmin Dordonji rzekł do obecnych: „Ten wisielec, znajdujący się naprzeciw mego okna, apetyt mi odbiera!“ Odtąd przykra dolegliwość wywiązała się u niego, gdyż żołądek żadnego pożywienia znieść nie mógł, to też w trzy miesiące po usunięciu krzyża, tego samego dnia właśnie i o tejże godzinie bezbożnik po strasznych cierpieniach życia dokonał.

Szczekanie.

„Polowałem w Bruyères, pisze p. Arsène Houssaye, z jednym z moich przyjaciół, zaliczającym się

lo bezwyznaniowców. Choć nie jestem pobożnym nie przeszkadza mi to jednak składać dowodu czci przed Chrystusem ukrzyżowanym, zatem przechodząc około krzyża z Mont-Sain-Pierre, czapkę zdjąłem, na co przyjaciel mój parsknął śmiechem: „Zobaczysz zaraz, rzekł do mnie, w jaki ja sposób znak krzyża czynię.“ Gwizdnął naówczas na swego wyżła, nałożył mu czapkę na głowę, zmuszając zwierzę do ukłonu. Nie dosyć tego, ujął wyżła za łapę, którą wykręcał, by go przeżegnać. Pies zaszczekał boleśnie i gniewnie. „I cóż zadowolony jesteś?“ rzekłem do towarzysza. „Ależ bardzo....“ odparł, lecz wargi jego pokryła śmiertelna bladość. Polowaliśmy dalej, jak zwykle, lecz w powrotnej drodze, przechodząc około tego samego krzyża, kolega myśliwy zaszczekał na podobieństwo swego psa tylko, że głosem daleko przeraźliwszym. Myślałem z początku, że tym sposobem chce Boga raz jeszcze znieważyć, jednak poznałem wnet z jego twarzy, że szczeka mimowolnie. Uspokoił się po chwili, chciał zajście w żart obrócić i próbował śmiać się, jak gdyby poprzednio komedję odgrywał. Lecz zawitawszy do domu swej matki, świętobliwej kobiety, zaszczekał znowu, szczekał nazajutrz, na trzeci dzień jeszcze... szczekał tak do końca dni swoich....“

Wszystkich trzech nędzna śmierć spotkała.

Jeden z pierwszych krzyżów cmentarza w Vizieu (Jsère) został zniszczony podczas rewolucji przez

trzech łotrów. W czasie świętokradzkiego zamachu przechodzi tamtędy uczciwy staruszek z parafji Blandin wraz z dwoma synami: „Dzieci moje“ rzecze, zwracając się do swoich synów, „znacie tych oto trzech ludzi: poginą wszyscy nędzną śmiercią, ja się nie doczekam, ale wy to zobaczycie!“ I stało się według słów staruszka. Pierwszy znieważca zaraża się wścieklizną, drugi obłędu dostaje, trzeciemu choroba zwana wilkiem, stoczyła twarz w sposób tak ohydny, że do ostatnich chwil życia zmuszony był twarz ukrywać pod gęstą zasłoną. Kilku pobożnych katolików zdołało wówczas zebrać i ukryć ciosane kamienie, z których krzyż się składał i z ustaniem prześladowania, wznieśli napowrót ten symbol wiary naszej na cmentarzu, gdzie spoczywają w pokoju wierni całej parafji.

Historja Rewolucji przez ks. Lagier proboszcza z Blandin djec. Grenoble).

To dzieło przypadku? Wszak tak mniemacie szermierze niedowiarstwa?

Pod datą 5 listopada 1907 r. otrzymaliśmy list następujący:

Wolnomyśliciele z Mayenne, którzy są bardzo głośni, nie tracą nigdy sposobności podniesienia wielkiego krzyku, skoro ujrzą w katolickiej gazecie nagłówek: *Ręka Boża.*

Niechże krzyczą ci bezbożnicy: pozostawiamy im zupełną swobodę!

Jednakże korzystnem dla nich będzie, jeżeli zastanowią się nad niektórymi faktami.

Rok mniej więcej upływa od czasu wstrętnego świętokradztwa popełnionego przez bandę wolnomularzy w kaplicy Karmelitanek w Lille. Po szkaradnej pijatyce, nędznik zerwał z tabernakulum głównego ołtarza postać ukrzyżowanego Chrystusa, rzucił ją gwałtownie o ziemię i kopnięciem obydwie nogi zgruchotał.

I cóż powiecie?

Na stacji w Hazebrouk (dep. Nord) znajdują owego opętańca z połamanemi nogami.

Jeszcze nie koniec na tem.

Kiedy pierwszy niszczy wizerunek Chrystusa, drugi wchodzi na ambonę i wypowiada najstraszniejsze bluźnierstwa.

Bluźnierca ów dostaje obłędu i jako furjat kończy życie.

Więc to wszystko jest tylko dziełem przypadku, wszak tak mniemacie szermierze niedowiarstwa? Szczególny zaiste zbieg okoliczności — osobliwy przypadek!...

(Ks. Blay proboszcz z Geneslay, djec. Seez).

Come.

Pouyastruc jest to mała mieścina w okolicy Tarbes. Tam młody człowiek, Dominik Come, prowadzący życie bardzo rozwiązłe, stał się źródłem rozpaczy dla całej swojej rodziny. Musiano wielo-

krotnie udawać się pod opiekę policji, aby zabezpieczyć krewnych od jego gwałtownych wybryków, kiedy był w stanie nietrzeźwym, omal bowiem nie zadał śmiertelnego ciosu wujowi swemu.

Wieczorem 30-go grudnia odurzony trunkiem, zachodzi on do domu jednego z krewnych z zamiarem przenocowania u niego. Ten ostatni, pod wpływem słusznej trwogi przed najściem pijaka, wszelkich dokłada starań, aby się go pozbyć. Come odszedł wściekły z gniewu, a uzbroiwszy się w drąg mocny, udał się na cmentarz pobliski.

Usłyszano niebawem dochodzące ztamtąd krzyki i bluźnierstwa, a także razy zadawane figurze Chrystusa na krzyżu w celu jej rozbicia. Nie mogąc jednak dosięgnąć jej z ziemi, umyślił wejść na szczyt krzyża. Nagle figura pada a z nią i Come, którego przygniata swoim ciężarem i zabija na miejscu.

Los tego wyrzutka społeczeństwa jest losem wszystkich prześladowców Kościoła.

(*Z Ery Cesarstwa* w Tarbes).

Kto usuwa, jest usunięty.

Niedawno jeszcze w szkole świeckiej dla dziewcząt, w gminie sąsiadującej z Rennes, krucyfiks wisiał, na ścianie, aż pewnego poranku przełożona szkoły uważała sobie za obowiązek usunąć krzyż z zajmowanego miejsca. Ale krucyfiks okazał się za ciężki na jej siły. Co robić? Wejść na krzesło

ıb szukać drabiny? Przełożona nie chciała zadawać obie zbyt wiele trudu, więc nieprzebierając w środkach, ıwyta gruby drąg, trąca nim tak długo krucyfiks, ten z łoskotem spada na środek klasowej sali.

Jest to fakt pierwszy.

Dnia 6-go lipca 1908 r. (kładziemy nacisk na tę) piorun uderza w dom szkolny. Ta sama na- zycielka, w przerażeniu poczyna odmawiać różaec, nie mogąc snać lepszego znaleść środka obro-, wobec grożącego nieszczęścia.

Nie była to już pora na walkę z krucyfiksem.

Jest to fakt drugi, równie autentyczny jak erwszy.

W jakiś czas później, nauczycielka owa miała kcję ze swemi uczennicami.

Wchodząc na katedrę nagle martwa pada na mię.

Teraz ona z kolei usunięta została.

Jest to fakt trzeci.

(Dziennik *la 'Croix de l'Orne* z niedzieli 29 lipada 1908 r.)

Straszna nauka.

Z głównego miasta kantonu Hautes Alpes, pi- do dziennika *Croix de l'Jsère:*

Zaledwie dwa lata minęło od czasu sławetnej zty z mięsiwem, jaką urządzono w Wielki Piątek. rawą, stanowiącą główny posiłek, była główka

cielęca; na jednym zaś końcu stołu postawiono krzyż mający służyć za tarczę celową.

Biesiadnicy rzucali w krucyfiks ogryzione kości, urągając piekielnie: „Masz psie zajadaj!“ mówili

Po miesiącu ten, który ucztę zgotował, umiera tknięty cierpieniem nieznanem, będącem zagadką dla lekarzy.

Świętokradztwo i częściową karę puszczono w niepamięć, gdy inne tragiczne wydarzenie zwróciło na nie ponownie uwagę.

Do uczestników owej biesiady należał młody człowiek aż nadto z bezbożności swojej znany. Wkrótce po uczcie odbyły się gody weselne młodziana; ten ustroiwszy psa w rozmaite fatałaszki kazał mu brać udział w orszaku, ku oburzeniu mieszkańców wioski, w której miało miejsce wesele.

Otóż pierwsze dziecko jakie na świat przyszło chłopiec tęgi i muskularny, rokujący nadzieję szczęśliwego wychowania, narodził się z odrażającą dolną częścią twarzy; niewiadomo: morda psa czy pyska cielęcy, raczej jedno połączone z drugiem! I fakt szczególny: dziecko owe jest pozbawione podniebienia oraz szczęki, przeto nigdy jeść nie będzie mogło tak jak ten Chrystus z krucyfiksu, któremu kość ciskano.

Nie potrzebujemy dodawać, że wypadek ów stał się szybko głośnym w okolicy i mówią o nim szeroko. Ludzie widzą w tem słusznie odpowiedź na ohydne Wielkopiątkowe bluźnierstwo.

Univers 20 luty 1909 r.)

Zniewaga krzyża.

W majątku Wasilczyce, powiat Słucki, gub. Mińska w roku 1908-ym miał miejsce fakt następujący:

Niedaleko dworu, na granicy gruntów włościańskich, stała kaplica grobowa, zaniedbana od dłuższego czasu; wskutek nieobecności właściciela majątku. W kaplicy, już pozbawionej ołtarza, wisiał tylko na ścianie ogromny krucyfiks, odcinając się ponurym cieniem boleśnie wyciągniętych ramion. Pastuszek ze wsi sąsiedniej Ewanielewicze, pod wpływem złorzeczeń na wszystko co jest katolickie, które słyszał codziennie z ust nauczyciela w szkole, powziął zuchwałą myśl zniszczenia tego ostatniego objawu kultu religijnego w opuszczonych murach. Ciska tedy tak długo kamienie przez otwór okienny, aż nareszcie udało mu się odbić ramiona postaci Zbawiciela. Rad ze swej psoty wołał: „To przecież nie nasz Bóg.“ Po tym czynie wdrapuje się na stojącą opodal brzozę by nowonabytym kozikiem naciąć jej wiotkich gałązek na miotły. Trzymał już pod pachą spory pęk brzeziny, drugą zaś ręką, w której miał kozik, wyciągał sięgając po nową gałęź; nagle łamie się gałąź, służąca mu za podporę, pada na ziemię, prosto na ostrze trzymanego w ręku noża i wbija go sobie w bok.

Upływ krwi był tak wielki, że nieprzytomnego chłopaka odwieziono do domu, gdzie wkrótce ducha wyzionął.

(Autentyczne).

XVII.

Ręka Boża, karząca wrogów Papieża.

„Piotrze! ty jesteś opoką, a na tej opoce zbuduję Kościół mój i nie przemogą Go bramy piekielne."

„Nieszczęścia spadające na Papieża, mówi Henryk Perreyve, przyczyniły się do wyniesienia jego chwały, wrogowie zaś utwierdzili Papieża na wysokim piedestale. Wszystko co gubi człowieka wraz z jego dziełami dopomagać się zdaje do potęgi i nieśmiertelności Ojca św. Czas i śmierć poddały się jego prawu i śmiesznem jest przepowiadać między ludźmi koniec papieztwa. Co świat wydał wielkiego słało mu się pod nogi. Bóg udzielał swego błogosławieństwa wszystkim, którzy go szanowali, ale kto prześladował, ten zginął."

„Widziano zwycięzców, przed którymi milkła ziemia, gniewnie spoglądających na stojącą postać człowieka, nie dającego się objąć ludzkiem pojęciem; zdobyli się oni na poniewierkę jego *słabości,* zmusili go ulegać sile ich woli, lecz z dniem położenia ręki na ramieniu tej *słabej* istoty, piętno zguby naznaczyło ich czoła. U szczytu powodzenia chwy-

ich zawrót głowy a świat rozbrzmiewa niespodzie-
anym i strasznym zwycięzców upadkiem...

Nie jest że to spełnienie się owej przepowied-
i Józefa de Maistre, popartej doświadczeniem dzie-
w historycznych, która wypowiada wielką prawdę
rubasznych a krótkich słowach:

„Kto sprobuje ugryźć Papieża, ten zginie!“

„Wszelaki książe, mówi on, który zrodzony
światłości pogardza nią i probuje przyćmić
szczególniej, który śmie podnieść rękę na Papieża
ib go zasmucić, liczyć może na karę doczesną i wi-
omą: panowanie krótkie, upokarzające klęski, śmierć
wałtowna albo też haniebna; złe imię za życia,
romotna pamięć po śmierci: oto los jaki sobie go-
ije. Przykładów takich dzieje zapisały wiele....“

Przytoczymy najważniejsze:

Berthier.

Z początkiem dyrektorjatu, Berthier otrzymuje
atychmiastowy rozkaz, by szedł na czele znacznej
rmji i Rzymem zawładnął. Francuzi stanęli u celu
2 lutego 1798 roku. Rankiem, 15-go tegoż miesią-
a, jenerał sadzi drzewo wolności w centrum stolicy
apieztwa, ogłasza powstanie rzymskiej Rzeczypo-
politej, wieczorem zaś oznajmia Najwyższemu Pa-
terzowi, że doczesne jego panowanie już się skoń-
zyło. Pius VI 20 lutego jedzie do Toskanji, gdzie
surowej i ciężkiej niewoli przebywa, poczem
miera w Paryżu 29 lipca 1799 r. Za śmiałe pod-
iesienie dłoni na Papieża sprawdzić się miały na

jenerale Berthier straszliwe te słowa: „Nie tykajcie Pomazańców moich, biada wam!“ W przystępie gorączki Berthier zeskakuje z balkonu i śmierć na miejscu ponosi dnia 15 czerwca 1815 r.

Napoleon Bonaparte.

Napoleon Bonaparte jest wybitnym przykładem nicości potęgi ludzkiej w walce z Kościołem Bożym. Jak przed Aleksandrem Macedońskim tak przed tym człowiekiem drżała ziemia, dopóki nie podniósł ręki na Zastępcę Jezusa Chrystusa: wtenczas zwyciężony orężem, karmiony żółcią, usunięty na skaliste urwisko, umiera on w niewoli, o mil tysiąc osiemset od Francji.

Faktem jest, że 20 czerwca 1812 r. Papież Pius VII przybył jako więzień niemal konający do Fontainebleau. Dwa dni później Napoleon poleca swoim wojskom przebyć Niemen: wtargnąć w krainę pod rosyjskiem zaborem będącą i tym sposobem daje początek nieszczęsnej wojnie, która po kilku miesiącach zwaliła go z tronu, pozbywając owocu tylu zwycięztw.

Istotnie, trudno zapoznać wolę Opatrzności i nie dostrzedz Ramienia Bożego w słynnej a bolesnej rosyjskiej kampanji!“ „Co zdziałać może Pius VII denuncjując mnie przed chrześcjańskim światem?“ pisze pyszny cesarz do księcia Eugeniusza, „czy chce tron mój naruszyć? Rzucić klątwę kościelną? Myśli może, że broń *wypadnie z rąk moich żołnie-*

:y. Wówczas pozostało by mu jedynie *zamknąc nie w klasztorze.*"

Wszak historja mówi jak w nieszczęsnej wy-awie wszystko zawiodło żołnierzy, nawet ich broń łasna, stanowiąc ciężar nieznośny dla skostniałych mion. Słaniający się wielokrotnie żołnierz *wypu-czał ją z dłoni*, łamała się, w śniegu ginęła. Jeżeli ojący w upadku dźwignąć się zdołali, ona to za dporę służyła, bo nie odrzucali jej precz, ale zmo- głodu i chłodu oręż z rąk wiarusów wydarła. zemu przypisywać te klęski? Pismo święte pou-y nas: *Nix, glacies, spiritus procellarum quae ciunt verbum ejus:* śnieżyco, lodzie, wietrze gwał-wny, które czynią słowo Jego. (Ps. 148).

Kiedy zuchwały despota ośmielił się wznieść kę na więzionego w Fontainebleau Papieża, Zastęp- Jezusa Chrystusa zadowolił się wypowiedzeniem ch oto słów: „Szczęście twoje minęło" [1]).

Odtąd na zwycięzcę Europy sypnęły się poraż- jedna za drugą. Pobity w Hiszpanji, w Rosji, bity w niemieckich krajach, pobity we Francji, bity zawsze i wszędzie ucieka przed siebie i do-ra wreszcie do Fontainebleau. Tu, *w tej samej li i na temże samem miejscu*, na którem znieważył stępcę św. Piotra kładzie swój podpis na akcie eczenia się tronu.

[1]) Segur. Tom IX rozdz. XI. oraz Przyczynek do historji ncji za panowania Napoleona. Tom XX, rozdz. V.

Co się dalej stało znane jest ogólnie, jak rów
nież losy owych napoleońskich królewskich Mości
którymi trony europejskie obsadził. A jednak te
człowiek miał siłę i moc w sobie.... zwyciężał po
Jeną i w wielu innych bitwach! [1]).

Drwiąco wspomina *o zaryglowaniu w klaszto
rze*; czyż nie doznał zamknięciâ przez lat sześć, bę
dąc odcięty od świata na pustej wyspie św. Heleny
W odosobnionem zaciszu, zgotowanem mu prze
Boską Opatrzność, aż nadto szczęśliwym czuć si
był winien, jeżeli zdobył się na odpokutowanie błę
dów i umiał znaleść nieznany światu pokój ten, ja
kiego chwała ludzka dać nie może.

Po śmierci Napoleona znaleziono w papierac
zabranych z jego biurka własnoręcznie spisane na
stępujące rozmyślania. Dają one jasny obraz myśl
jakie wżerały się w jego duszę i ryły codzienni
mogiłę, do której zeszedł.

„Niby Prometeusz przykuty jestem do skał
a sęp ciało moje rozdziera. Tak, zrabowałem ogie
niebieski, by nim Francję obdarzyć; ogień wzniós
się w niebiosa napowrót, a ja tu jestem! Zamił
wanie sławy podobnem jest do owego mostu, któr
szatan przez chaos przerzucił, chcąc przejść z pi
kieł do nieba; słowem łączy przeszłość z przyszł
ścią, od której ją dzieli niezmierzona przepaść. S
nowi nie pozostawiam nic oprócz imienia“.

---

[1]) H. de Bonald.

Napoleon III. — Jaskrawy zbieg okoliczności. (1870 — 1871 r.)

Między Francją a Rzymem istniał po wsze czasy tajemny łącznik, zespalający dole obu Państw.

„Zauważyć się zawsze daje, pisze „Univers," tak za Cesarstwa jak i pod rządem Rzeczypospolitej, że nasze klęski lub zwycięztwa polityczne idą w parze z działalnością włochów w kwestji Rzymskiej. Każdy krok naprzód czyniony przez włoską intrygę przeciw Rzymowi lub w Rzymie samym, u nas odbija się porażką. Czem silniejsze są podstawy państwa włoskiego w Rzymie, tem mocniej zacieśnia się pierścień pruskiego wojska około Paryża. Ciężkie niepowodzenia rozstrzygają o zwycięztwie i czynią daremnemi słabe wysiłki przedsięwzięte dla obrony miasta. Wreszcie, kiedy ekskomunikowany król do Rzymu wkracza, protestanckiemu cesarzowi wręczone są klucze Paryża.

Trudno wyliczać tu wszystkie opłakane zbiegi okoliczności, przytoczymy niektóre daty najbardziej w oczy bijące.

Dnia 9 lipca 1870 r. 10,000 francuzów opuszcza granice Państwa Rzymskiego; tegoż samego dnia Francja traci 10,000 żołnierzy w bitwie pod Wissenburgiem.

Przeznaczono dzień 7-go lipca na odjazd resztek francuzkiej armji w liczbie 4,000 ludzi, która broniła Stolicę Apostolską: pod tą datą 4,000 francuzów dostaje się do pruskiej niewoli.

Dn. 10-go września Civita-Vecchia wpada w ręce włochów; jednocześnie Versaillem zawładnęli prusacy.

Dn. 1 września kompletne obsaczenie Rzymu i Paryża.

Dn. 23 stycznia następca tronu Humbert wchodzi do Rzymu i zamieszkuje w Kwirynale; nazajutrz p. Juliusz Favre udaje się do Versaillus i tam przyjmuje warunki poddania się Paryża.

Nie jest że to sprawdzanie się słów często wspomnianych: Kto ugryzie papieża ten zginie? Niestety! Napoleon III-ci, sprawca tylu klęsk, miał doznać całego nadmiaru tej gorżkiej ironji, gdy na równi ze stryjem zmusiły go losy kończyć smutnie życie na obczyźnie.

Ksiądz Guibé, kapelan przy kościele pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny w Seez, pisze do nas: „Około 1875 r. odwiedzałem w Londynie kapelana przy francuzkiej kaplicy i zastałem u niego ks. Moigno, założyciela pisma „Cosmos“ (Wszechświat). Po wizycie ks. Moigno u byłego cesarza Napoleona III-go, więzionego w tym czasie w Chisletturst, opowiadał on co następuje: „Przyjęto mnie bardzo przychylnie. Ujrzawszy mnie cesarz zawołał: „Wielkie być muszą moje przewinienia, skoro się tu znajduję!“ „Najjaśniejszy panie — odrzekłem — zawiniłeś wielce opuszczając Papieża“. Istotnie, istotnie“ — były jego słowa.

Oby to pokorne przyznanie się do winy zdo-
ło mu przebaczenie u Boga!
Choć mija trzydzieści dwa lata, rozmowę za-
miętałem doskonale."

Farini.

Należałoby oczy zamknąć i światła nie widzieć.
by nie zobaczyć namacalnego dowodu, iż Ręka Boża
ciążyła na rewolucjonistach włoskich, którzy w po-
wie zeszłego stulecia mieli często na ustach wy-
ły: „Rzym lub śmierć!"

Wyróżnia się między nimi Farini, jedna z naj-
worniejszych osobistości, jaką napotkać można.
leżał on od najmłodszych lat życia do skrytej sek-
mającej źródło w wolnomularstwie, przewrotnym
charakterem zmusił policję papieską do wydale-
go z granic państwa rzymskiego.

Na skutek amnestji, ogłoszonej przez Piusa IX-go,
wolono Fariniemu powrócić w 1847 r., a wten-
s, pozyskawszy łaski ówczesnego rządu, został
nowany zastępcą ministra spraw wewnętrznych.
stując to wysokie stanowisko, używał swej wła-
do zastąpienia uczciwych członków zarządów
jskich osobami wrogiemi Papieżowi.

W 1849 r. podniesiony do godności Dyktato-
w księstwach Modeny i Parmy obiera sobie na
dencję pałac Franciszka V, gdzie pychą wiedzio-
puszcza wodze zamiłowaniu zbytku i rozrzut-
i, na jakie zdobywa się dorobkowicz, który do-
się chwilowo oznak władzy królewskiej.

Pyszny, na podobieństwo swoich wspólników Farini prześcignął ich obżarstwem. Jakże wstrę nem miało być niebawem jego pożywienie! Syt zł ta, jadła i wina, dumny swą władzą, zbrodniarz c uwieńczył niecne swe postępki haniebnym czyne Z jego to rozkazu aresztowano wiernego księżnicz parmeńskiej pułkownika, hrabiego Antivi, który, c dany na pastwę motłochowi, padł ofiarą jego okr cieństwa.

Lecz świtał już dzień Sprawiedliwości Bo Przy boku Fariniego był człowiek drogi jego ser i bardzo mu użyteczny, który pełnił obowiązki s kretarza a zarazem zarządzał domem, człowiekie tym był jego szwagier Picciardi. Tenże umiera n gle; następnie przyszła kolej na córkę, a wtedy F rini pozostał już sam.

Za powrotem do Turynu w 1864 r. zaskocz go niespodzianie straszne cierpienie. Dostał obłę i stał się furjatem. Niegdyś w obłudnym żar utrzymywał, że umierać chce w biedzie. Wydaw ło się to wówczas nieprawdopodobnem, a jedn ostatnie lata życia spędził w upodleniu i nago jak nędzarz ostatni. Gorzej jeszcze; Farini, otacza cy się niegdyś zbytkiem godnym Sardanapa w okresie umysłowego cierpienia, pokarmów prz mować nie chciał, zaspakając głód własnym kał Farini, który wydał niewinnego człowieka w r rozbestwionego pospólstwa, pod wpływem obł widział nieustannie snujący się za nim mściwy c

ofiary: „Antivi, krwią zbryzgany, trzyma głowę swoją w ręku i stoi przedemną!“ Oto słowa, które powtarzał bez końca Farini, w dodatku nagi, pokryty robactwem i nieczystościami, tarzając się po podłodze celi, dręczony do chwili swego zgonu bojaźnią i atakami przerażającej furji.

(Wyciąg z korespondencji z Rzymu, umieszczonej w Dzienniku Brukselskim. Listopad 1866 r.).

Hrabia Cavour.

Autor „Ludzi Współczesnych“, którego o klerykalizm posądzać trudno, opisuje nieoczekiwaną śmierć Cavour'a.

„Stanął więc minister u szczytu swej chwały.

„Pozbył się niepokoju, pozbył się walki, kresu życia dobiega patrząc, jak bezwzględne powodzenie nagradza jego trudy.

„Uczynił z Piemontu wielkie mocarstwo gwałcąc prawo, łamiąc przeciwności, oszukując książęta na ziemi, drwiąc z Najwyższego Władcy w niebie, zasmucając serce Ojca św. będącego dotychczas Piemontu zarządcą, siejąc nadomiar oburzenie w gronie wiernych, którzy dzielą zawsze bóle i zgryzoty Głowy Kościoła katolickiego.

„Nie znajduje już na swej drodze żadnej przeszkody.

„Ogół przyjmuje rezultat jego polityki, Europa, olśniona zuchwalstwem, okazuje mu szczególną powolność a nawet darzy szacunkiem.

„Całe Włochy przyklaskują mu i chylą czoło, przed jego sławą.

„Nakoniec rozchodzi się wieść o wielkiem święcie patrjotycznem: święto narodowe Królestwa Zjednoczonych Włoch obchodzone w kraju po raz pierwszy. W dniu tym Cavour rolę głównego bohatera odegra; on jeden przyjmować będzie cześć uniesionego zapałem ludu jako przedstawiciel monarchy, którego koronę rozpiął tak szeroko i tak dalece wydłużył berło...

„A jednak stało się inaczej!

„D. 2 czerwca 1861 r., czyli w dniu naznaczonym na uroczystość, minister Wiktora Emanuela dostaje tyfusu i umiera 6-go t. m.

„Panowie z obozu niedowiarków nie chcecie uznawać kary Niebios? Dobrze; ale w takim razie przyznać należy, że traf szpetny figiel wam płata, dając przeciwnikom waszym niezawodne zwycięztwo.

Zgoda ostatecznie: nie Bóg — ale traf rzekł do człowieka, który jest przedmiotem waszych pochwał i zachwytów:

„Dojdziesz Cavourze do niemoralnego swego celu. Jednak w godzinie tryumfu otworzę twój grób i zanim rozłoży się ciało, w twojem dziele zapanuje rozprzężenie a grzech hańby i kłamstwa, przez twe ręce wzniesiony, runie, dając pierwszeństwo zasadom, których nie uznawałeś oraz zasadzie poniewieranej przez ciebie“.

Wiktor Emanuel.

Kiedy doszła wiadomość, iż Napoleon I godzi na cudze prawa, autor słynnych prac literackich de Maistre napisał w 1810 r. „Nie było wypadku aby monarcha. podnoszący rękę na któregokolwiek z Papieży szczycić się mógł długiem i szczęśliwem panowaniem, Henryk V, król angielski, zniósł wszystko, czego doświadczyć człowiek może. Jego zwyrodniały syn po burzliwych rządach umiera na dżumę w czterdziestym czwartym roku życia. Fryderyk I tonie w Cydnusie mając trzydzieści osiem lat. Po zrzuceniu go z tronu Fryderyk II otruty został przez własnego syna. Czterdziestosiedmioletni Filip Piękny, spadając z konia, śmierć poniósł. Pióro odmawia posłuszeństwa kiedy zabieram się do mówienia o przykładach z czasów nam bliższych. „To żaden dla nas dowód", powiedzą niektórzy. Niech i tak będzie! Pragnę jedynie aby wypadek podobny przytrafił się jeszcze i komu innemu, niezależnie od kwestji czy moje przykłady stanowią dowód lub nie. Przyszłość nam to okaże.

Okazała trzykrotnie do tej pory, czego świadkiem jest wyspa Św. Heleny, mury Sedanu i pałac w Kwirynale. Zaiste, kara Boża urzeczywistniła na Wiktorze Emanuelu słowa Józefa de Maistre.

Będąc w sile wieku i pełen zdrowia z klątwy Kościoła robił sobie igraszkę, choć przyznać należy, że trapiony był niepokojem i wyrzutami sumienia: „Cierpię jak potępieniec!" odezwał się raz do byłego swego nauczyciela, arcybiskupa genueńskiego.

Daremnie walczył z ponuremi myślami, jakie go nurtowały, napróżno tysiącem sposobów próbował siebie odurzyć, zawsze i wszędzie sumienie było dla niego okrutnym katem.

Nieznośnem mu się wydało zamieszkiwanie w Kwirynale, to też rzadko spędzał tam noce, bo sen oczu nie kleił, a gdy przycisnęła go choroba pragnieniem jego było uciekać ztamtąd, lecz Ręka Boża przygwoździła króla do tego pręgierza.

Wówczas z polecenia Piusa IX wysłany został do pałacu kardynał Marinelli dla udzielenia królowi rozgrzeszenia, lecz nie dopuszczono go przed oblicze monarchy, a tylko za pośrednictwem kardynała podziękować Ojcu św. kazano za troskliwość o zdrowie królewskie. Tegoż dnia Wiktor Emanuel umarł, pięć lat po śmierci swego krewnego Napoleona III. dnia 19 stycznia 1878 r.

Humbert I.

Najstarszy syn Wiktora Emanuela II-go odziedziczył po ojcu zabór świętokradzki. Już na tym świecie odcierpiał karę, gdyż wiadomo jest jaka go śmierć niezwykła spotkała. Trafiony strzałami z rewolweru, wymierzonemi w serce przez bezbożnego anarchistę, nieszczęsny król żył trzy minuty tylko. Zbyt krótka to chwila na przygotowanie się do zdania sprawy przed Sądem Najwyższym z żywota króla grabieżcy. (29 lipca 1900 r.).

Lekcja Historji.

1. Pod koniec X-go wieku (998 r.). Krescencjusz, któremu Gibbon nadaje zaszczytne miano Brutusa, chciał Rzym zagarnąć. Doszedł dwukrotnie do władzy królewskiej, gnębił Papieży, na wygnanie zsyłał, knuł wreszcie zamiar poddania Stolicy świętej pod panowanie cesarzy greckich. Atoli ostatecznie zawisł na szubienicy, nie z rozkazu Papieża, lecz z woli cesarza niemieckiego, a jego głowę wystawiono na widok publiczny na murach zamku św. Anioła.

2. Armand de Brescia Rzym pochłonąć pragnął i „Papieża ugryść“, wszelako utknął mu kęs w gardle. Po władaniu Wiecznem Miastem przez lat 10, do więzienia się dostał: spalono go żywcem i do Tybru popioły wrzucono.

3. Cesarz Otton I, zwany Wielkim, w Rzymie panować pragnie, strąca więc z tronu Papieża Jana XII, choć niedawno otrzymał z jego rąk cesarską koronę; wkrótce potem atak apoplektyczny sprząta go ze świata.

4. W 1209 r. Otton, król saski, wzgardziwszy prawem sprawiedliwości i swoją, uroczystą obietnicą napada dziedzictwo Apostolskie w zamiarza zawładnięcia Rzymem. Papież rzuca nań klątwę. Niebawem, pobity pod Bouvines przez Francuzów, Otton koronę traci.

5. Fryderyk I. Rudobrody zazdrości posiadania Rzymu i zagarnąć go pragnie, lecz Papież

Aleksander III dzielnie najezdnika odpiera i do upokorzenia się zmusza. Władca ten tonie w nurtach Cydnusu, a ród jego doznaje wielorakich niepowodzeń.

6. Cesarz Henryk VI Rzym trzykrotnie obległ, antypapieża naznaczył i sam rządził czas jakiś z wyżyn Kapitolu, ale książe Normandji, Robert Gwiskard, przywracając stolicy prawowitego Papieża w osobie św. Grzegorza VII. Henryka do ucieczki zniewolił, a ten, zamieszkawszy po pewnym czasie w Liéges, tamże w nędzy życie zakończył.

7. Cesarz Henryk V prześladował Papieża Paschalisa II-go i chciał tym sposobem Rzym wziąść w posiadanie. Walka, z zaburzeniami jakie w jego państwie wybuchły, doprowadziła cesarza do utraty korony.

8. Fryderyk II spiskował przeciw Papieżowi, wiedziony myślą zagarnięcia Rzymu; zmarł otruty przez własnego syna.

9. Filip Piękny prześladował Papieża Bonifacego VIII, chcąc władać Rzymem; spadł z konia i życie postradał mając lat 46.

10. Wielka Rewolucja francuzka w 1792 r. nakazuje jenerałowi Kellermanowi zawładnąć Rzymem pod pozorem wyzwolenia miasta z pod jarzma duchowieństwa: tymczasem Rzeczpospolita pochłonięta zostaje przez jenerała Bonaparte.

11. Tenże jenerał Bonaparte, późniejszy cesarz Napoleon I, chce też Rzym zagarnąć i ustanawia departament Tybru. Po trzech miesiącach utra-

ca on berło w tym samym pałacu Fontainebleau, w którym więził poprzednio Zastępcę Jezusa Chrystusa.

12. Joachim Murat robi najście na Państwo papieskie i usiłuje Rzymem zawładnąć; we trzy miesiące później, skazany na śmierć, ginie rozstrzelany.

13. Napoleon II otrzymawszy z woli ojca tytuł króla rzymskiego, choć nie przyczynił się osobiście do opanowania Rzymu, wszelako umiera w młodocianym wieku, w tym samym pałacu, w którym jego ojciec podpisywał wyrok detronizacji Piusa VII.

14. Ludwik Napoleon, brat Napoleona I, wszedł do Stowarzyszenia *Karbonari,* zbuntował się przeciw Grzegorzowi XVI i zamierzał Rzym zagarnąć, ale niebawem zmarł w Forti.

15. Karol Ludwik Napoleon III spiskuje z księciem Napoleonem w celu pochłonięcia Rzymu. Tak jeden jak drugi utracili władzę. Pierwszy z tronu do pruskiego przeszedł więzienia, drugi przebywał to tu to tam w Europie jako osobistość przeciętna, niemająca ojczyzny, ni znaczenia.

16. Cavour, Farini, Fanti i podobne im osobistości z Rzymem walczyć chciały. Po tych ludziach nie pozostało dziś śladu. Joachim Napoleon Popoli głosował za zagarnięciem Wiecznego Miasta: zmarł przedwcześnie. Nie mówi się więcej o Azeglio, Bellazo, Borello i t. d.... a to dla tego, że Rzym pochłonąć chcieli.

Ztąd wniosek ostateczny: *„Kto chce ugryść Papieża ten ginie!“.*

(Tygodnik wydawany w Cambrai).

Pokuta za winy narodu.

Legion niedowiarków drwił z ludzi wierzących, którzy upatrywali w klęskach poniesionych przez Francję w 1870 r. zrządzenie Opatrzności. Tymczasem z pod pióra kilku pisarzy, aczkolwiek nieśmiało, wyłania się to samo zdanie, chociaż klerykałami a nawet katolikami nie są.

Karol Freycinet, delegat Gambetty, znakomite wydał dzieło, zatytułowane: *Wojna na prowincji.* Jeden z najlepszych rozdziałów zakończony jest wnioskiem następującym:

„Nieszczęśliwy zbieg okoliczności w połączeniu z organicznem zwątleniem Francji przyczynił się do zniweczenia usiłowań obrony. Ów zbieg okoliczności był tak niezwykły, że faktycznie, rozpatrując go bliżej, nasuwa się pytanie, czy nad powodami materjalnymi nie górują *przyczyny wyższe, czy nie* jest to rodzaj *pokuty za narodu winy*, lub może ostry bodziec niezbędny dla podźwignięcia się z upadku.

Wobec tak niezwykłych niepowodzeń przestaje nas dziwić twierdzenie osób religijnych *Digitus Dei est hic!* W tem jest Palec Boży.

Kto ugryzie Papieża ten ginie.

Donoszą z Rzymu pod datą 29 listopada 1870 r.:

Pewien bezbożnik, miotający ustawicznie obelgi na Piusa IX zmarł nagle. W jednej gospodzie inny bluźnierca padł nieżywy przy wychylaniu kieliszka wina z życzeniem zgonu Papieża. Jakiś nędznik po-

dać sobie kazał w kawiarni filiżankę kawy: *Alla scommunica* czyli z ekskomuniką. Zaledwie dotknął ustami napoju legł martwy. Nakoniec przedwczoraj słynny adwokat rzymski Bruni wyzionął ducha nie mając czasu wymówić i słowa. Ten ostatni należał do komisji rzymskiej, złożonej z sześciu prawników miejscowych, którzy spisali przez upadlającą uprzejmość wynik wspólnej narady twierdząc, że Papież do pałacu zwanego Kwirynałem praw rościć nie może. Podobno śmierć adwokata Bruni poprzedzona była zgonem pięciu jego towarzyszy.

(Tygodnik kat. z Seez 1870 r. str. 191).

XVIII.

Ręka Boża karząca dwóch najsłynniejszych filozofów XVIII wieku.

Niekiedy rozmyślam nad tem wszystkiem, czegom spróbował w życiu i dochodzę do wniosku, że gdybym miał syna, któregoby czekały te same koleje, przez miłość ojcowską kark bym mu skręcił.

Wolter.

Wiek XVIII wydał dwóch ludzi pałających niepohamowaną nienawiścią do Kościoła Chrystusowego; dwóch ludzi, którzy chyba z piekła otrzymać musieli polecenie deptania najświętszych wierzeń, szkalowania najszczytniejszych postaci owi ludzie to: Wolter i Jan Jakób Rousseau. Atoli na obydwóch sprawdzić się miały słowa Pisma św. obaj śmiercią złą pomarli: „*Mors peccatorum pessima*“.

Wolter.

Ze wszystkich ludzi na ziemi Wolter najwięcej godzien jest pogardy, bo też najwięcej zła uczynił. Oto jego obraz skreślony przez Crétineau-Joty: „Wolter, powiada on, przerobił wiek XVIII na swoją mo-

dłę: zaraził go zabójczem szyderstwem, narzucił swe przekonania i obyczaje. Tej wyobraźni pracującej nad utworzeniem nowego świata uśmiechało się dzieło zniszczenia na podobieństwo Juliusza Apostaty.

Chrystus przez Kościół zbyt długo zwyciężał; Wolter wydaje wojnę Ewangelji, chce ją wymazać z pamięci ludzkiej, a natomiast wpoić w ludzi hołdowanie pysze, chce wreszcie powszechnym rozkładem zastąpić panowanie krzyża.

Za jego czasów i z jego powodu zepsucie rozprzestrzeniło się szeroko, cynizm przybrał pozory dowcipu. Korzystać jak można najdłużej z głupoty ludzkiej oto na czem polegał geniusz Woltera, a że posiadał złośliwość padalca i jadowitość żmii jego pisma szerzyły nienawiść, która jak strzała dzikiego człowieka, truciznę w sobie zawiera. Występując przeciw Bogu pragnął natomiast stać się bożyszczem tłumu.

Wolter powołał do swej pomocy wszystkie warstwy społeczne, posiłkował się tak dobrze monarchami jak najmarniejszymi pismakami, stanowiącymi męty literackie. Królowie oraz ministrowie nosili na czole piętno jego pochwał podstępnych, pochlebstwa te uważając za cenny klejnot, przyczyniający im popularności, choć w gruncie rzeczy pochwały te wypływały jedynie z osobistej rachuby Woltera. Wolterowi otoczonemu swymi przyjaciółmi, szerzycielami, nieładu, samolubami, pyszałkami, bezbożnikami, jednem słowem zwyrodniałymi ludźmi, wrogami pokoju, potwarcami, rozmiłowanymi w roz-

koszach ciała, zdawało się, że dotarł do szczytu powodzenia.

Ale omylił się. Stanąwszy do zuchwałej walki z Bogiem doznał sromotnej porażki, jak tylu innych. Mimo wszystkich przechwałek gryzło go sumienie; czuł w gruncie rzeczy prawdę słów Ducha św.: *Non est pax impiis:* Nie zaznają spokoju bezbożnicy. Jego śmiech, jak mówi Ludwik Veuillot, był po większej części „skurczem złości i bólu".

Z dzieł Woltera podamy tutaj kilka znamiennych jego wynurzeń wybrane przez nas w tysiącu innych:

„Niekiedy rozmyślam nad tem wszystkiem czegom spróbował w życiu i dochodzę do wniosku, że gdybym miał syna, któregoby czekały te same koleje, przez miłość ojcowską karkbym mu skręcił".

„Sen mego życia jest nieustanną zmorą".

„Nieszczęścia przedstawione w teatrze nie dadzą się porównać z nieszczęściami odczuwanemi przezemnie".

„Mojem przeznaczeniem było stać się jakimś mężem stanu, któryby dźwigał na głowie trzy lub cztery wience laurowe i ze trzydzieści koron cierniowych".

Według najwiarogodniejszych opowiadań, a w szczególności według słów naocznego świadka, słynnego lekarza Tronchin, śmierć Woltera była okropna. Blizki skonania, wił się na swem łożu, darł ciało paznokciami, powtarzając bez końca: „Opuścił mnie Bóg i ludzie! Biada mi, biada! Jestem zgubiony, zgubiony na zawsze!" Słyszano jak w przy-

stępie strachu i niepokoju wzywał Boga na pomoc lub też bluźnił. Wołał niekiedy żałośnie, to znów głosem pełnym gniewu: „Jezus Chrystus! Jezus Chrystus!“ „Chcąc mieć pojęcie o Furjach Oresta — opowiadał doktor Tronchin biskupowi z Viviers, dość było patrzeć na śmierć Woltera. Byłaby to najzbawienniejsza nauka dla ludzi zdemoralizowanych czytać dzieła tego ateusza“.

Nikt z autorów nie określił tak dobitnie ohydnej tej postaci, jak to uczynił Józef de Maistre: „Czy nie widzicie powiada on, że przekleństwo jest na tem obliczu wyryte? Idźcie i przyjrzyjcie się jego wizerunkowi w pałacu Ermitaża. Rzućcie okiem na to wstrętne czoło, którego uczucie wstydu nigdy nie zarumieniło, na te zgasłe źrenice lubieżnością i zawiścią wrzące; na ten grymas straszny przecinający twarz od ucha do ucha, na te zaciśnięte usta przypominające sprężynę gotową rzucić w świat bluźnierstwo lub obelżywe drwiny.

„Jak robak, plaga ogrodów, podcina korzenie najszlachetniejszych roślin, tak Wolter zapuszczał swe żądło w dwie główne arterje społeczeństwa: kobiety i młodzież i tym sposobem przesycał je trucizną, przechodzącą z pokolenia w pokolenie.

Wolter nurza się i tarza w błocie! Kiedy zastanawiam się nad tem coby ten człowiek mógł zdziałać, a co w istocie uczynił, pałam świętem oburzeniem, Paryż go wieńczył, Sodoma nawet precz by go wygnała!“

Jan Jakób Rousseau.

Mało ludzi wiodło tak rozwiązłe życie jak autor „Emila“, Jan Jakób Rousseau, któremu protestanci genewscy wystawili pomnik w swem mieście.

Rousseau łączy w sobie dziwne przeciwieństwa, jego zarzuty odeprzeć zawsze można własnemi słowami filozofa; pomiędzy innemi napada on na cuda, podane przez Ewangelję, a nikt może piękniej od niego o zaletach Księgi Bożej nie pisał.

Śmierć zaskoczyła go w Ermenonville nieopodal Paryża 3-go lipca 1778 r. Pozostało mocne podejrzenie, iż trucizną życie sobie skrócił. Jeden z jego przyjaciół, Corancez, daje nam w tym względzie szczegóły bardzo dokładne. Jego wielce ciekawa broszura wykazuje stan obłędu, w jaki Rousseau popadał niekiedy pod wpływem wyrzutów sumienia.

To też na ogół utwierdziło się przekonanie, że autor potępiający tak wymownie samobójstwo w swych dziełach, sam pasmo dni swoich przeciął. Tego również zdania jest słynna literatka, pani de Staël, która w 1789 r. wydała *Listy o utworach i charakterze Jana Jakóba Rousseau.*

Oto co pisze ona o śmierci tego niezwykłego człowieka:

„Może zadziwię kogo twierdzeniem, jakie za pewnik uważam, iż Rousseau sam sobie odebrał życie. Lecz pewien mieszkaniec Genewy, którego węzły zażyłości łączyły z Rousseau, otrzymał krótko przed jego śmiercią list donoszący o tym zamiarze.

Następnie, po starannem zbadaniu wszelkich szczegółów dotyczących ostatnich chwil życia przyjaciela, dowiedział się, że Rousseau rano w dzień śmierci, zupełnie zdrów, po wypiciu kawy, którą sam sobie przyrządził, rzekł wychodząc z domu, iż idzie oglądać słońce po raz ostatni. Przed tem właśnie uwagę Jana Jakóba zwróciły umizgi własnej żony do człowieka najniższego stanu. Tem odkryciem zdawał się być mocno przygnębiony i w głębokiej zadumie osiem godzin spędził nad brzegiem jeziora. Powróciwszy do swego mieszkania, choć dokuczać mu zaczęły straszne bóle, wzywać pomocy nie dozwolił, jak również prosił, aby nie zawiadamiano nikogo o jego ciężkim stanie. Mniemam, że powyższe szczegóły w połączeniu z jego wrodzoną skłonnością do smutku, a także z lękiem i niewiarą do ludzi, wzmagającemi się z dniem każdym, nie pozwalają wątpić, iż z własnej woli nieborak targnął się na życie.“

„Z tej okoliczności wnioskować można, powiada Feller, czem jest mniemana siła ludzi, dla których opinja świata jest bożyszczem, a tymczasem ludzie ci nie posiadają wewnętrznie broni do odparcia najlżejszej niełaski losu, będącej nieraz jedynie ich własnem urojeniem.

XIX.

Ręka Boża karząca królobójców.

Mężowie krwawi i zdradliwi nie dojdą do połowy dni swoich.

(Ps. 54).

Bezbożność filozoficzna zgotowała niewątpliwie bezbożność rewolucyjną. Przyczyniła się ona i rozkiełznała straszną burzę w 1789 r., której gromy zwaliły tron i ołtarze we Francji tysiącom ludzi rozpacz i zniszczenie przyniosły.

Tu znowu jasno i dobitnie widnieje Ręka Sprawiedliwości Bożej: prawo odwetu spada na królobójców i mordujących sługi ołtarza. Woła o pomstę rozlana krew więc też większość zbrodniarzy na szafocie ginie. Jakże zajmujące i nauki pełne jest badanie przeróżnych kar Bożych, ścigających winowajców! Ileż ztąd uderzających dla nas przykładów!

Książe Orleański Filip, noszący przydomek *Egalité*, (zwolennik równości) głowę ma ściętą na tem samem rusztowaniu, z którego spadły głowy Ludwika XVI i Marji Antoniny w tymże samym roku.

Robespierre, ten dostawca ofiar dla giloty-

ny, co to katów zamęczał głów ścinaniem, własną, przez kulę rozbitą głowę, poddać musi narzędziu morderczemu.

Królobójcy z Konwencji giną wszyscy gwałtowną śmiercią; przeważna zaś ich liczba odpokutowała swoje zbrodnie na owym Placu Rewolucji, gdzie słała na stracenie koronowanych skazańców.

Dodajmy jeszcze, iż przedwczesny zgon czekał większość tych ludzi, przez co spełnione zostały słowa Psalmisty: Mężowie krwawi nie dojdą do połowy dni swoich".

Wymieniając tylko osobistości najbardziej znane, które giną na rusztowaniu gilotyny między 30 a 40-ym rokiem życia, wspomnimy dwóch Robespierrów, Danton'a, Carriere'a, Kamila Desmoulins. Brissot'a, Vergniaud'ea; Saint Just głowę ma ściętą w wieku 26 lat; Manuel ma 42 lata; w tej samej porze życia zasztyletowany jest Marat, a Mirabeau, wijąc się w niespodzianych gwałtownych bólach, po kilku godzinach umiera.

Pewien dziennik ogłosił statystyczną pracę o rodzajach śmierci 479 członków Konwencji Narodowej. Oto krótki z pracy tej wyciąg:

8 członków zamordowano.

2 zastrzelono.

14 zginęło samobójczą śmiercią.

5 zmarło ze zgryzoty.

6 z nędzy.

Trzech zakończyło doczesną wędrówkę śmiercią okropną, mianowicie: Collot d'Herbois umiera na

gościńcu niby pies włóczęga. Zwłoki Brissot'a i Pethion'a znaleziono około Saint-Emilion na wpół pożarte przez zwierzęta; robotnik przy grępłowaniu materacy w Reims, niejaki Ormoville, gnębiący to miasto swoim terorem, umiera ze skutków pijaństwa. On ostatni czapkę czerwoną przywdziewał.

4-ch zmarło w obłędzie umysłowym.

2-ch w szeregach armji.

3-ch gwałtowną śmiercią.

Skazano 138 członków bądź to na wywiezienie do oddalonych miejscowości karnych, bądź też na opuszczenie granic ojczyzny. Większa liczba wygnańców zginęła tam gdzie ich wysłano, ci zaś, którym dano było do Francji powrócić w nędzy sterane zakończyli życie.

23-ch znikło nazajutrz po 18-tym brumaire (listopad).

25-ciu zmarło w zapomnieniu i w stanie graniczącym z nędzą.

65-ciu z chwilą koronacji Napoleona I przepadło bez wieści.

3-ch oddało się rozbojowi i byli zwani palaczami (Chauffeurs); przezwisko to zawdzięczali strasznym katuszom zadawanym swoim ofiarom, którym dla wyłudzenia pieniędzy stopy przygrzewali. Ci trzej mieszkali: Ayrol w Haute Garonne, Bayle w Bouches du Rhône, Besson grasował w departamencie Doubs.

Gazeta *Patrie* (Ojczyzna) dodaje, iż dwóch członków utrzymywało domy publiczne: Brandrais w Isére, Baugard w Ille-et-Vilaine.

A teraz kolej na statystykę Prezydentów Konwencji Narodowej. Liczyła ich ona 63-ch. Z tej liczby:

18 padło pod ostrzem gilotyny.
3 odebrało sobie życie.
8 wywieziono do osad karnych.
6 skazano na dożywotnie więzienie.
4 zwarjowało i zmarło w Bicêtre (Zakład dla umysłowo chorych).
22 wszelkich praw pozbawiono.

Collot d'Herbois.

Zgon dawnego mordercy z Lugdunu Collot d'Herbois, przedstawia nam szczególnie pouczającą naukę i oprzeć się nie możemy pokusie przytoczenia na tem miejscu ponurego opowiadania: z „Podróży do Cayenn'y przez Ludwika Pitou:

Collot zaczął spisywać historję Rewolucji, lecz praca owa przerywana bywała często rozmyślaniem nad własną swą dolą: „Jestem ukarany", mówił, „opuszczenie w jakiem się znajduję porównać można do piekła". Oczekiwał przyjazdu małżonki lub powrotu do ojczyzny; owładnięty niecierpliwością zapadł w stan gorączki zapalnej. Wezwano p. Fouron, chirurga w osadzie karnej Kourou. Tenże uspakajające przepisawszy lekarstwa polecił dawać co godzinę napój składający się z wina i wody. Przeznaczony do pilnowania chorego murzyn oddalił się czy też zasnął. Collot w malignie bólem i pragnie-

niem trawiony, wstaje nagle i wychyla duszkiem całą butelkę wina: wtedy rozpalone jego ciało żarem wionęło. Chirurg rozkazuje wówczas przenieść Collot'a do Kayenny, miasta oddalonego ztamtąd o sześć mil. Murzyni, którym poruczono tę czynność, zostawili go na środku gościńca, z twarzą wystawioną na promienie słoneczne. Dopiero oddział żołnierzy zmusił murzynów do posłuszeństwa. Łamanym swym językiem murzyni mówili: „Nie chcemy nieść dalej tego zbrodniarza! Boże, co za człowiek!“ „Co ci jest?„ spytał chorego nadchodzący felczer Guisouf. „Pali mnie, gorący pot oblewa ciało“. „Nie ma się co dziwić, zbrodnie twoje krwawym cię oblewają potem! Odwrócił się Collot, łzy zrosiły jego twarz. Wzywał na pomoc Boga i Najświętszą Pannę.

Żołnierz, w obecności którego Collot po przybyciu na miejsce kary bluźniercze wypowiadał zdania, zbliżywszy się teraz do skazańca zapytał czemu Boga i Najświętszą Pannę wzywa, skoro drwił sobie z Nich przed paru miesiącami: Collot odpowiedział: „Wtenczas usta kłamały sercu. Boże! Boże! Czy dostąpię przebaczenia? Ześlij mi Boże pociechę, ześlij mi pocieszyciela, bym mógł zapomnieć choć przez chwilę o tym ogniu, który mię trawi! Boże przywróć mi spokój!“

Przedśmiertne chwile Collot'a były tak straszne, że musiano trzymać konającego zdala od ludzi do nadejścia księdza. Zmarł 7 czerwca 1796 r. mając oczy rozwarte, członki skręcone, wyrzucając ustami krew i pianę. Uwiadomiono ajenta Dyrektorja-

tu o zgonie Collot'a podczas gdy grał w bilard „Pochować go, dostąpi większego zaszczytu aniżeli pies!"—rzekł urzędnik obojętnie, nie przerywając gry. Chowano Collot'a w dniu świątecznym. Grabarze murzyni, którym śpieszno było pójść na tańce, zagrzebali zwłoki niedbale, przez co stały się łupem świń i kruków.

(Pamiętniki o dniach rewolucyjnych i Zamachy stanu od 1789 r. do 1799 r. wydawnictwo Lescure, księgarnia Didot'a).

Robespierre.

Ze wszystkich tyranów, jacy w końcu przedostatniego stulecia krwią ziemię francuzką zaleli, najokrutniejszym bezwątpienia był Robespierre. (Maksymiljan). Bóg jednakże, który pragnął nie zniszczyć ale ukarać francuzów, długo mu rządzić nie dozwolił.

Wszystko co się odnosi do ostatnich chwil dyrektora i jego wspólników tchnie ohydą. Oto nieco szczegółów ze strasznej sceny opisanej przez pana de Conny: „Robespierre znajduje się w ciemnem ustroniu wyznaczonem mu przez Komunę. Drży z przerażenia, chciałby żyć jeszcze, chowa się za wystający mur. Przystępuje żandarm, i z pistoletu doń strzela. Robespierre pada, krwią zbroczony, szczękę ma zdruzgotaną, lecz żyć nie przestaje a tylko najwstrętniejszy przedstawia widok: krew zmięszana z błotem oblepia ubranie, wysadzone jedno

oko na policzku zwisa. Rozbrzmiewają naokoło tysiące obelg, które on słyszeć może. Jakiś człowiek zbliża się w milczeniu, obejmuje go wzrokiem, nie złorzeczy lecz mówi jedynie:—„Tak, Bóg jest!“—Nareszcie prowadzą dyktatora i dwudziestu jeden współwinnych przed trybunał; tam gdzie dnia poprzedniego jeszcze oni sami skazywali sądem swoim foiary na stracenie.

„O godzinie 4-ej są wleczeni na miejsce ostatniej katuszy; towarzyszy im krzyk upojonego radością ludu. Olbrzymi tłum ulice zapełnia, tysiące rodzin opłakujące drogie dla nich istoty, opuszczają swoje schronienia, chciałem nieomal rzec, swoje grobowce. Agonja Robespierra była straszną, złorzeczenia, wyrywały się ze wszystkich ust. Przytem miał miejsce fakt następujący: Młoda kobieta, przecisnąwszy się przez tłum, dotarła do wózka ze skazańcami i z wyrazem gniewu, będącym w sprzeczności z łagodnością rysów, rzekła do Robespiera: „Potworze, jakże rada jestem z twojego męczeństwa! Czemu nie możesz umierać po tysiąc razy! Zejdź do grobu niosąc brzemię klątwy wszystkich żon i matek!“ Scena ta wstrząsające na obecnych wywarła wrażenie.

„Na wózku, oprócz Robespierra, wieziony był jego brat, Couthon, Saint-Just i Henriot.

„Zalany krwią Henriot, nieomal nagi, z okiem wysadzonem z oczodołu, trzymającem się zaledwie, zmuszał widzów do odwracania wzroku. Tłum mu urągał, śląc grad słów obelżywych: „Oto potwór, wo-

łano zewsząd, który opuszczając Saint-Firmin wymordował księży! „Przewieszony przez wózek leżał trup niejakiego Lebas, który odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. Robespierre zmięszany, przybity chyli odrażającą głowę na piersi, odziany jest w to samo ubranie jakie miał na sobie, gdy jego świętokradzkie usta ważyły się zaprzeczać istnieniu Boga.

„Ostatnie chwile Robespierra były okropne; zdjęto mu ubranie zarzucone na ramiona, poczem kat rozciągnąwszy go na złowrogiej desce, zerwał nagle opatrunek zasłaniający zgruchotaną szczękę. Wówczas krew prysnęła, dolna szczęka odstała od szczęki górnej a cała twarz ohydny przedstawiała widok.

„W tym dniu karze śmierci ulegli: jenerał Lavalette, prezydent Jakobinów; Vitrier, mer Paryża, Fleuriot, okrutny Simon i kilku innych. Tak zatem dnia 28 lipca 1794 r. zakończył nędzny żywot, według prawa odwetu, śmiercią noszącą piętno Sprawiedliwości Bożej, Robespierre, najniebezpieczniejszy członek zbrodniczego stronnictwa, który od narodzin Rewolucji krwią Francji się żywił. Na jego mogile widniał napis grobowy:

„Przechodniu, nie płacz nad jego losem,
Bo gdyby on żył, ty byłbyś umarłym“.

Ludwik Filip, książe orleański.

Aczkolwiek nie był głównym twórcą Rewolucji, jednakże nie ulega wątpliwości, iż jeden z pier-

wszych do niej należał. Nienawistnie usposobiony dla Ludwika XVI oszukiwał lud intrygami, buntując tłumy przeciw królowi.

Nieudolny jako książe, niemądry, przytem zabójca, Filip orleański wyobrażał sobie, że nadmiarem okrucieństwa dobije się tronu. Zaślepiła go dzika buta; Bóg nie pozwolił zdrajcy ująć berło, wytrącone z rąk Ludwika XVI. który był jego krewnym i dobrodziejem.

Filip stał się przedmiotem obrzydzenia i wzgardy dla tychże samych stronników Marat'a, których bezwstydną zyskał sobie przyjaźń, więc niespełna w dziesięć miesięcy po Ludwiku XVI, do którego śmierci przyczynił się tak gorliwie, książe orleański wstępuje na stopnie szafotu, gdzie, w obliczu przyklaskującego ludu, ostateczny cios mu zadano.

W podziemiach kościoła w Dreux ciało jego złożono, ale nie oznaczono miejsca nazwiskiem lub nagrobkiem. Widząc jego zwłoki w takim zaniedbaniu, czuje się sprawiedliwość Bożą spełnioną na nim tak po śmierci, jak i za życia.

XX.

Ręka Boża karząca zabójców księży w dyecezji Seez.

„Nie tykajcie pomazańców moich‘,.
(Ps. 104).

Długa byłaby to praca szperać w archiwach wszystkich djecezji Francji dla wyszukania śladów Bożej Sprawiedliwości wywartej na zabójcach księży podczas Wielkiej Rewolucji. Badania takie przewyższają nasze siły, odstępujemy przeto od tego zamiaru. Przedstawimy tylko czytelnikom naszym niektóre zbrodnie popełnione na kapłanach w djecezji Seez. Czerpiemy je po większej części z doskonałej pracy księdza Blin: *Męczennicy Rewolucji.*

Męczennicy z Gacé (1792 r.).

Sprawiedliwość Boża, czekająca niekiedy chwili śmierci, by winowajców ukazać, dotknęła za życia i to widocznie kilku katów czcigodnego proboszcza z Chalange oraz innych księży. Zabójcy podlegali przez całe życie kurczom nerwowym lub też innym

gwałtownym chorobom, które uważano słusznie za karę Boską. Zwrócono baczniejszą uwagę na dopust Ręki Bożej, dotyczący mieszkańca Sainte-Gauburge, jednego z uczestników dzikiej sceny. Od dnia zbrodni począwszy, przejmujący chłód ogarnął jego ciało, to też z zimna dygotał w czasie spiekoty upalnego lata. Kara była tak widoczna, że najmniej wierzący ludzie mówili o nim:—„Krew męczenników z Gacé każe drżeć temu nędznikowi!“

Mieszkaniec Courménil, chełpiący się, iż uderzeniem kija strzaskał głowę jednej z ofiar w Gacé, doznał również w godzinie śmierci czem jest Ręka Boża. Z oczyma iskrzącemi złością, z pianą wściekłości na ustach miotał okrzyki rozpaczliwe, dające się słyszeć w odległości kilometra. Nawet sprawiedliwość ludzka, lubo upodlona za czasów rewolucji, uczuła wstręt do zabójców tych czcigodnych kapłanów i w 1794 r. Franciszka Bonhomme, głównego sprawcę ich śmierci, pociągnięto do odpowiedzialności. Sąd kryminalny skazał go na ścięcie głowy, który to wyrok uskuteczniono na placu Broni w Alençon.

Męczennicy Rewolucji przez ks. Blin Tom I stron. 160.

Ksiądz Delaunay.

Zdrajca, który podczas Rewolucji wydał księdza Delaunay, proboszcza z Larchamp, za zbrodnie swoje wkrótce poniósł karę. Zmarł w nędzy na

skórną chorobę, objawiającą się robactwem wychodzącem z pod skóry.

Męczennicy Rewolucji przez ks. Blin Tom II stron. 10.

Nikt na cmentarz zanieść go nie chciał.

Nie zapomniano w kantonie Briouze o zabójstwach popełnionych w czasie Rewolucji przez Mylord'a w Lignou. Człowiek ten, raczej potwór z ludzką twarzą, szczycił się, iż pewnego dnia, zanim zjadł śniadanie, siedem osób uśmiercił, a osobom tym nawet on sam, poza uczciwością i szlachetnemi uczuciami nic zarzucić nie mógł; w zbrodniach zaś swoich do tak wyszukanego okrucieństwa był zdolny, że pióro nasze wzdryga się je powtórzyć. Ręka Boża dotknęła tego nikczemnika na tym świecie jeszcze, ducha bowiem wyzionął w strasznej rozpaczy, gryzł zębami ciało własne, wyjąc jak potępieniec. Swojem zachowaniem tak wszystkich przerażał, że długo nie można było znaleść nikogo, kto by chciał zwłoki jego na cmentarz zawieść.

(Centrum Houlme. Tom I, str. 222).

Ręką Bożą dotknięci w godzinę śmierci.

Bóg jest Sprawiedliwością samą i choć wieczność przed nim otwarta, choć mógłby czekać zgonu prześladowców, by im potem zasłużoną karę wymierzyć, częstokroć na tym świecie jeszcze karze ich

w sposób tak jawny, że pod tym względem dwóch zdań być nie może. Tego doznali na sobie mordercy ks. Bounout z Chênedouit. Wódz rewolucjonistów, który wydał rozkaz aresztowania i zabicia ks. Bounout, działając w tym względzie na swoją rękę, umiera nagle, zatwardziały w grzechu, po życiu obfitującem w zbrodnie i niegodziwości. Nikczemny B... z Tourailles ująwszy ks. Bounout w zamku de la Malletière oddał go w ręce oprawców, mówiąc do nich obłudnie, dla uspokojenia ludności: „Proszę was, nie czyńcie mu nic złego!“ nagłą karą dotknięty zostaje, gdyż wpada w bagnisko i tam niespodzianą śmiercią ginie. Inny zabójca, wypadłszy z pojazdu, czaszkę rozbija na gościńcu pełnym dziur i wybojów. Czwarty złoczyńca, wspinając się na wóz naładowany bawełną, równowagę traci, na bruk pada i zabija się na miejscu. Widziano w Tourailles innych jeszcze morderców księdza Bounout: ci znowu, doczekawszy się ostatniej godziny życia, wiedzeni najczarniejszą rozpaczą, darli ciało na rękach zębami, krzycząc przytem jak potępieńcy.

Wspomnienie smutnych tych wypadków zachowało się w Craménil, w Tourailles i w Carneilles.

Męczennicy Rewolucji przez ks. Blin. Tom III, stron 123.

Zamiatano plac daremnie.

Krew księdza Gallery, proboszcza w la Baroche, który męczeńską zginął śmiercią, ściągając na jego katów gniew Boży. W dniu morderstwa popołud-

niu rzęsisty deszcz padał. Aby krew księdza zatrzeć zamieciono plac starannie, lecz nie zdołano usunąć śladów krwi niewinnego, przejmujących zgrozą wszystkich uczciwych ludzi.

Męczennicy Rewolucji ks. Blin. Tom I, str. 172.

Niesprawiedliwi pospołu poginą. (Ps. 36).

Bóg ukarał na tym tu świecie, mówi ks. Blin, kilku z tych, co do śmierci świętego męczennika Jana Lachevrel rękę przyłożyli. Jeden ginie w dole kłoacznym, snać to był jedyny grób godny jego osoby; o drugim szczegółów dać nie mogę, powiem tylko, że on i jego rodzina tak okrutną ponieśli karę, że wszyscy w takowej Palec Boży widzieli. Wzrok mój zatrzymuje się na nazwiskach osób, które aresztowały ks. Lechevrel i były obecne badaniom jego w Flers. Kilka osobistości upodliło się do tego stopnia, że ich imię służyło za obelgę dla innych. Tak się spełniają słowa psalmu: „Niesprawiedliwi pospołu poginą".

(Męczennicy Rewolucji. Tom III, str. 123).

XXI.

Ręka Boża, karząca wrogów Kościoła w XIX wieku.

Ubolewać musimy nad losem biedaków, którzy wiek cały spędzili na walce z Kościołem i na rozpowszechnianiu idei rewolucyjnych, a którym nagle stanąć przyszło przed Bożym trybunałem, nie mając czasu westchnąć błagalnie, by Bóg udzielił im miłosierdzia.

W takich to okolicznościach umiera nagle w zajeździe Thiers, mogący śmiało nosić miano założyciela drugiej Rzeczypospolitej. W przededniu śmierci spędził on kilka godzin w towarzystwie wydawcy bardzo szkodliwego pisma drukowanego w Paryżu. Thiers miał wówczas lat 80.

„Przez ciąg długiego swego życia, mówi W. O. Huguet, brał udział w najrozmaitszych sprawach społecznych, mając tylko na względzie zajmowanie wysokiego stanowiska. Odnosił tryumf w każdej dziedzinie, nie czuł jednak zadowolenia w sobie.

„Jak ogół sekciarzy uważał on Kościół za osobistego swego wroga. Wprawdzie taił, ile się dało,

nienawiść i uprzedzenie, lecz w gruncie rzeczy, odczuwając wstręt do katolickich zasad, starał się niweczyć je tysiącem sposobów, jakie poddawane mu były przez czynny i ruchliwy jego geniusz. Dla praw i przywilejów Kościoła jest Thiers tem, czem się stał Wolter odnośnie do dogmatów i prawd w świecie.

„Zasłynął w świecie, dodaje tenże autor, zapracowany był więcej, niż ktokolwiek bądź, lecz pracował nad niczem, sprowadzając rzecz każdą, jak gdyby, do rozmiaru swojego maleńkiego wzrostu. Opamiętaniu się przed zgonem nie mógł poświęcić pięciu minut; Bóg nie udzielił mu czasu na to. Obecnie należy on może do rzędu tych potępieńców, którzy by chcieli, aby na świecie nigdy ich nie było.“

Gambetta.

Była to przez dwanaście lat najpotężniejsza indywidualność we Francji. Panował w Izbie, w Senacie, nad Ministerjum i prezydentami. Jakiż pożytek robił ze swej władzy? Używał ją na prześladowanie Kościoła katolickiego. Klerykalizm, oto nieprzyjaciel, brzmiało wojenne jego hasło! Przygotowaną z dawna, i przez Loże masońskie ustanowioną walkę, prowadził Gambetta do śmierci zręcznie, wytrwale i z powodzeniem.

Wysadzanie drzwi w pięciuset klasztorach, wygnanie tysięcy zakonników, zmuszonych tułać się po wszystkich europejskich gościńcach, wypędzenie ze szpitali, szkół i armji Sióstr, Braciszków i Księ-

ży, wreszcie tryumf najwyższy: dziatki francuzkie zaciągnięte z mocy litery Prawa w szranki ateizmu... takiem jest najwybitniejsze dzieło Gambetty.

Wypełniła się miara i wybiła godzina Sprawiedliwości. Na równi z Juljanem Apostatą wiódł on pod obłudną pokrywką zażartą walkę z chrześcjaństwem. Jak Juljan Apostata, Gambetta zatrzymany został w biegu swoim przez ranę tajemniczą, nie dającą się zrozumieć. Cezar padł na polu bitwy w 32 roku życia. Trybun francuzki, cuchnąc zgnilizną, gaśnie w swojej willi doszedłszy do 44 lat.

Gdy na początku 1882 r. Gambetta zamierzał wykreślić z Konstytucji Rzeczypospolitej Imię Boga, otrzymał on od Gabrjela de Belcastel list wymowny, nabierający z chwilą jego śmierci znaczenia przepowiedni:

„Ogłaszasz dzisiaj, panie Prezesie Rady, z niezręcznie udaną pogardą solenne odrzucenie Bożego Imienia, które Zgromadzenie Narodowe zapisało w prawach Konstytucji. Wykreślasz jednem pociągnięciem pióra Imię, otaczane przez czterdzieści wieków czcią ludzką na całej kuli ziemskiej. Miej się na baczności! Wolno panu wymazać Boga z Konstytucji, którą kiedyś zagłada nie minie, lecz Boga od władzy nad światem nie usuniesz nigdy! O tej samej godzinie, w której Stwórcy dajesz dymisję, Bóg gotuje zwolnienie dla ciebie i rachuje tygodnie kruchego twego panowania. Upadniesz jak inni, tylko niżej aniżeli inni, a po twym upadku Kościół, stanąwszy na prochach wrogów Boga, skła-

dać będzie uroczyste ofiary pokutne za odszczepieństwo narodowe.“

Wiktor Hugo.

Udzielając Wiktorowi Hugo wspaniały talent wieszczy, Bóg nie poskąpił mu także cenniejszego daru, jakim jest wiara chrześcjańska. Pycha zniweczyła wszystko w tym człowieku: poetę i chrześcjanina.

Po okresie, krótkim zresztą, prawdziwej wielkości literackiej, religijny i monarchiczny piewca Francji porwać się daje powiewom rewolucyjnym, których ślady ukazały się już nawet w utworach z najlepszych jego dni i zaczyna nowy okres życia, daleko dłuższy, w którym błazeństwo i śmieszność łączyły się rozmyślnie lub bezwiednie z iskrami geniuszu. Bluźnierstwo uporczywe, olbrzymie, przesadne, sięgające granic niodorzeczności przeważa w tym zboczonym umyśle, nie uznając szacunku ani dla wiary ani dla rodzinnego języka.

W 83-im roku życia pycha odwraca od Boga źrenice konającego człowieka i wstrzymuje na jego wargach jęk skruchy oraz prośbę o zmiłowanie się Boże. Wiktor Hugo zmarł bez księdza, 22 maja 1885 r., a po śmierci, pozbawionej duchownej pomocy, następuje pogrzeb bez krzyża.

W zamiarach ludzi, zajmujących się obchodem pogrzebowym, leżała myśl apoteozowania zgonu bezbożnika, lecz tak się zabrano do dzieła, że pogrzeb mimo szeregu dygnitarzy, licznych flag i rozesła-

nych kobierców, mimo obfitości pochwalnych przemówień, nie dorósł do uroczystości skromnego pochodu żałobników, idących za trumną pospolitego chrześcjanina, w oddalonej gdzieś tam wioszczynie.

Brakowało mu poszanowania, jakiem zazwyczaj nawet w Paryżu ludzie otaczają wóz żałobny, wiozący trumnę. Swoim jednokonnym karawanem nie oszukał nikogo, wiedziano bowiem co mniemać należy o jego faryzeuszowskiej pokorze. Lud drwił z tego, śmiał się i bawił jak na rzadkiem a ciekawem widowisku.

Neleży przyznać, że wszystkie wydawnictwa publiczne jego chwałę głosiły, lecz, niestety, z tych pochwał jaki miał być pożytek przed Sędzią Najwyższym, któremu dotąd bluźnił? Nie można ułagodzić Boga pięknemi wierszami! Czy w ostatniej chwili, nim stanął przed Stwórcą, przyszła mu myśl prosić o przebaczenie? Tajemnica!... Dla dobrego katolika taka śmierć to zguba.

Tygodnik kat. z Seez 1883 r. str. 42.

Paweł Bert.

Paweł Bert należał do głównych zwolenników nieszczęsnej kampanji, jaką Francja przeciw Kościołowi od przeszło dwudziestu lat prowadzi. Szkolne prawo jest jego dziełem. On to zapoczątkował przymusowe elementarne szkolnictwo bez Boga, i powołanie do wojska seminarzystów.

Będąc zawziętym wrogiem katolicyzmu, Paweł Bert powiedział: „Za lat trzydzieści religja zniknie z Francji. Dla zwalczenia chrześcjanizmu przedsięwzięliśmy odpowiednie środki a one są tak dobrze, obmyślone, że jeżeli religja potrafi je przeżyć, gotów jestem uwierzyć sam i stać się katolikiem.“ Nie dostąpił tej pociechy. Mianowano Pawła Bert gubernatorem Tonkinu i tam po dwóch dobach okrutnych boleści zabrała go cholera 11 listopada 1886 roku.

Mówią, że pątrząc na bohaterskie poświęcenie księży i zakonnic przy łożu chorego, Paweł Bert zniewolony był podziwiać Braci i Siostry tych, których on z granic Francji wypędził.

Oby widok okazywanego miłosierdzia obudził w nim żal i miłość do nieuznawanego Boga.

Juliusz Ferry.

Człowiekowi, który rozniecił walkę religijną nie było przeznaczonem osiąść na mieliznie, gdzie go osadziła opinja publiczna: nie zwrócono by w takim razie uwagi na jego zgon. Lecz ni ztąd ni zowąd wypływa ona na wierzch i nieomal wyniesiony jest na szczyt Francji; brakowało tylko jednego stopnia: jeszcze lat kilka a może zaledwie kilka miesięcy potrzeba do urzeczywistnienia śmiałych zamiarów. Jednak Bóg na to mu czasu nie dał. Gmach Senatu, będący w jego przekonaniu przedsionkiem Elizejskiego pałacu, zamieni się dla niego w dom umarłych, w kostnicę cmentarza,

na którym władza publiczna znajdzie swą mogiłę. Juliusz Ferry pada spiorunowany i jak jego wzór Juljan Apostata wykrzyknąć może: „Zwyciężyłeś Galilejczyku!“ Rażony jest w serce, — znak widomy kary Bożej. Śmierć ta nastąpiła d. 17 marca 1893 r. Data pamiątkowa, gdyż trzynaś ie lat temu, w ten sam dzień i o tej godzinie, Ferry, z wysokości trybunału zadał cios ostateczny nauczaniu religijnemu. W dzień zgonu Ferry, powróciwszy do domu wieczorem uczuł dreszcze; położył się do łóżka; niedomaganie trwało dalej; nazajutrz rano opuszcza sypialnię, chodzi po mieszkaniu ze wzmagającym się bólem; o godz. 6-ej minut 15 kończy życie. Mógł jeszcze uderzyć w pokorę, żałować za winy i wezwać księdza. Wystarczała krótka spowiedź, akt skruchy i rozgrzeszenie, aby wszystko odpuszczone zostało. Bezbożnik nie okazał żalu. Złe życie, śmierć straszna!

Większość praw pociągających za sobą wygnanie i ciemięztwo, które Francję do rozkładu prowadzą, zawdzięcza swe powstanie polityce Juliusza Ferry. Był dla Kościoła najniebezpieczniejszym wrogiem. On to był założycielem szkoły bez Boga, prześladowcą wolnego sumienia; fanatycznym przeciwnikiem dobrowolnego nauczania; bezlitośnym katem Kongregacji religijnych. On wykluczył zakonników francuzkich z pod praw ogólnych, nie wyłączając prawa nietykalności mieszkań. Pogrzebano Juliusza Ferry bez krzyża i księdza. Można by też wypisać na jego pomniku słowa: *Transiit*

male faciendo — przeszedł czyniąc zło! Stało by się sprawiedliwości zadość, bo całem swem życiem, poświęconem walce z Chrystusem, stawał zawsze w sprzeczności z Ewangelją.

Ernest Renan.

Po ukończeniu kursów filozoficznych i teologicznych w Saint-Suplice, po otrzymaniu tonsury, Renan wyrzeka się Boga. W 1863 r. mając wówczas 40 lat wydaje on książkę pod tytułem: „Żywot Jezusa“ która jest najbezbożniejszym utworem, jaki da się napotkać. Od tego czasu bluźnić nie przestaje.

Znaleźliśmy w Tygodniku katolickim z Seez, z dnia 9 grudnia 1886 r., doskonały artykuł o wstrętnej osobistości Renan'a; artykuł ten przytaczamy poniżej:

„Sprawiedliwość Boża dopuszcza zazwyczaj, aby winowajcy wielkiej miary dotknięci byli przykładną karą. Renan, autor „Żywota Jezusa,“ uledz musi skutkom tego prawa. Tak przeczuwano na ogół, pytano się tylko jakiego rodzaju będzie kara... Piorun li w niego uderzy? Czy też żywcem na pożarcie zwierzętom oddany zostanie? Lecz takie ukaranie jest zbyt pospolite. Ernest Renan skazany został, by na starość odsłonić przed całym światem bezeceństwo swej duszy.

Wydany przez niego niby dramat filozoficzny: „Matka Przełożona z Jouarre“ wzbudził w całej prasie francuzkiej niezwykłe oburzenie, któremu

nawet gazeta „Republique Française“ oprzeć się nie mogła. Książka o tak wyuzdanej treści nie ukazała się jeszcze w naszem stuleciu. Akademik Renan, siedemdziesięcioletni starzec, zabawił się w pornografię, opis wyuzdanych brudów w jego własnym mózgu wylęgłych.

Utwór ten, oprócz moralnej zgnilizny autora, przedstawia równocześnie obraz walk i cierpień jego duchowych. W dziele tem znajdują się słowa, które okazują niewdzięczną i bolesną pracę, w jaką wpędziło Renan'a zaparcie się Boga: „Okruchy dawnego Kościoła służyć muszą“, mówi on, *„zatracić je należy“*.

Zatracić znak dobrodziejstw przez Kościół nam danych, oto jest literacka działalność Renan'a i powód własnej jego męki. Widzi się jasno, że wierzenia odtrącone przez tego człowieka, cisnąc się natrętnie do serca, nie przestają nim władać. Odczuwa się, iż jest on w obawie, aby te wierzenia nie ogarnęły go napowrót, więc szuka oszołomienia w orgji bluźnierstwa i w zadowoleniu najgorszych namiętności. Puszczając wodzę swym zmysłom, chciałby zapomnieć, ale nie może. Znak chrześcjanina i księdza jest na jego czole wyryty, odgaduje, że ślad ten usunąć się nie da, więc próbuje znak zatracić, przeistoczyć jego charakter, przemienić piętno anioła na piętno bydlęcia.

Renan chorował dni kilka i lubo ze swego stanu doskonale zdawał sobie sprawę, choć do końca życia przytomność mu służyła, nie okazał skru-

chy. Zgasł 30 października 1892 r. dusza jego stanęła przed trybunałem Jezusa, któremu złorzeczył przez lat tyle.

Waldeck — Rousseau.

Wydał pod wpływem lóż massońskich niefortunne prawo o Zgromadzeniach. Chociaż sam wychowanie klasztorne otrzymał, potrafił zdobyć się na smutną odwagę uderzenia w serce wszystkich wychowawczych Zgromadzeń zakonnych, zadając im cios śmiertelny.

Wszelako dzieła swego do końca doprowadzić nie zdołał. Zrzucony został nagle ze szczytu prezydentury i wkrótce jego działalność poszła w zapomnienie. Wiadomem jest tym co go znali, że spotkała go z woli Boga największa kara ludzka, jaka jego właśnie spotkać mogła: stracił mianowicie w ostatnich miesiącach swego politycznego życia wszelki wpływ i powagę. Niepopularność w jaką popadł, była dla niego bardzo gorzkim kielichem, który wychylić musiał aż do dna.

Do upokorzenia przyłączyło się i cierpienie: na skutek dojmującego i trwałego bólu w krtani świetny mówca poczuł, że wraz z siłami głos jego niknie. Zmarł po operacji d. 10 sierpnia 1904 r. nie zdoławszy przyjąć Sakramentów św.

Jan Franciszek Edward Guyot — Dessaigne, minister Sprawiedliwości.

Smutna jest śmierć tego człowieka, na którego głowę spadło przekleństwo Kościoła świętego! Do-

tknięty ciosem Bożym, w odmęcie parlamentarnej pracy, przenosi się w jednej chwili z trybunału sprawiedliwości ludzkiej przed trybunał Boga! (31 grudnia 1907 r.).

Jeszcze jedna śmierć opłakana.

De Malherbe, prefekt Oranu, został niespodzianie powołany przed Sąd Boży w listopadzie 1908 r. Oto okoliczności, w jakich według gazety „La Croix“ śmierć nastąpiła:

Po całodziennych łowach de Malherbe o 6-ej wieczorem powrócił do gmachu prefektury. Przeszedłszy do swego gabinetu zabierał się właśnie do przeglądania przyniesionej poczty, gdy przykre uczuł bóle. Zdając sobie sprawę, że ulega uderzeniu krwi do głowy prefekt wyjmuje z biblioteki książkę lekarską, by się obznajmić z metodą puszczania krwi, jednocześnie prosi stróża o ostry nóż i poleca mu przywołać najbliżej mieszkającego lekarza.

Ale zwiększający się ból wątpić mu każe czy chirurg na czas zdąży. Wyczytał w lekarskiej książce, że, chcąc uniknąć naruszenia głównych arterji, cięcie robić należy około uszu. Stosując się zatem odważnie do tego przepisu, niecierpliwie i w pośpiechu tnie z dwóch stron tak zamaszyście, iż obydwa uszy do połowy odcina. Krew polała się strumieniem a biedak padł na ziemię. Przybiegła żona wraz z córkami, zabrano się do ratunku, wszelako, nim doktór nadszedł, śmierć dokonała swego.

Tragiczny ten koniec, pisze dalej wymienione pismo, zrobił na ludności w Ariège wielkie wrażenie.

De Malherbe urzędował przedtem długi czas jako prefekt w mieście Foix, gdzie zostawił pamięć po sobie bardzo podobną do tej, na jaką Combe zasłużył.

Na sumieniu de Malherbe leży: odjęcie środków utrzymania trzydziestu dziewięciu księżom wbrew zasadom sprawiedliwości, następnie grubiańskie wyparcie duchowieństwa ze szkół, a także zabór małego seminarjum w Sabarat.

„La Croix“ 17 listopada 1908 r.

I on także dotknięty zostaje!

W czwartek wieczorem rozeszła się wieść o śmierci pana Villeneuve, prezesa sądu w Bayonne, która nastąpiła tegoż dnia w Lembeye, posiadłości ziemskiej prezesa. Niestety i on także przed Sędzią Najwyższym stanie obarczony własnym wyrokiem, wydanym przeciw biskupowi z Bayonne, wyrokiem naruszającym tak głęboko wolność Kościoła, wolność nauczania religijnego, wolność kazań czerpanych w Ewangielicznem źródle.

„La Croix“ 21 listopada 1907 r.

XXII.

Ręka Boża karząca wrogów duchowieństwa i religji.

„Po Bogu ksiądz jest wszystkiem! Zostawić parafję bez księdza a ludzie czcić będą zwierzęta.

„Chcąc wykorzenić religję napada się przedewszystkiem na księdza, bo gdzie niema księdza, tam niema Mszy św. tam religji niema.“

(Błog. ks. Vianney, proboszcz z Ars).

W czasach obecnych wybiła godzina nienawiści do księży, zwłaszcza we Francji. Wprawdzie ogół nie dochodzi do okrutnych czynów z 1793 r. ale jest ciągle nurtowany robotą przewódców, którzy pałają nienawiścią do duchownego stanu. Ztąd trudności spotykające na każdym kroku księdza przy spełnianiu jego obowiązków i ztąd zniechęcanie młodzieży do francuskich seminarjów.

Ale na szczęście ksiądz zna swoją misję. Wie, że jeśli nienawidzą go ludzie, nienawidzili też jego Najwyższego Pana, zanim jemu niechęć okazali, zatem lubo o byt walczyć musi, kapłan zostaje na

swem stanowisku z wyjątkiem wygnania — i pracuje dalej nad zbawieniem otaczających go dusz. Czyż nie dzieli on zło i dobro ze słodkim Zbawicielem? Dziś z księdzem wojna, jutro pokój z nim zawarty, takiem było zawsze przeznaczenie sługi Bożego!

Te rodziny, które w pierwszych dniach wielkiej Rewolucji zaliczały do grona swych członków niszczycieli krzyżów, obrazobórców, bezbożnych znieważców świątyń, denuncjantów księży i t. d. były przedewszystkiem czci i szacunku pozbawione a następnie, przeważną ich liczbę Ręka Boża srogo ukarała. Jest to fakt niewątpliwy, wciągnięty do historji. Czyż zbyt śmiałe moje twierdzenie, jeżeli powiem, iż ludzie w niedalekiej przyszłości szeptać sobie będą po cichu nazwiska rodzin, które godzą się dzisiaj na branie ślubów cywilnych i na cywilne pogrzeby, tak zupełnie, jak dzieje się obecnie z tą lub ową rodziną, liczącą wśród swych przodków członka komitetu „ocalenia publicznego“ lub uczestnika krwawych dni wrześniowych.

Zaniedbywanie pierwszej Komunji św. śluby bez księdza, pogrzeby bez krzyża, wszystko to nieszczęście przyniesie i jak po zbrodniach wielkiej Rewolucji, tak na rodziny całe i na jednostki przyjdzie godzina Sądu Sprawiedliwości, odpowiedź Boża czyli winnych ukaranie.

Zając uczestniczący w pogrzebie bezbożnika.

Niedowiarstwo płynące z ust jednego z obywateli parafji Fougerolles du-Plessis (Mayenne) dziwi-

ło nieraz znajomych. Rozwinięta w nim żyłka myśliwska i brak zupełny religji dawały mu wątek do niesmacznych konceptów. Z takim np. zdaniem zwracał się często do swoich przyjaciół:

„Mówicie, że gdy śmierć zajrzy mi w oczy skwapliwie kapłana wzywać będę. Co to, to nie! Bytność zająca na moim pogrzebie byłaby mi stokroć milszą aniżeli postać w sutanie!

Minęło czasu niewiele, śmierć zgasiła nagle źrenice myśliwca, a kiedy na pogrzeb przyszła kolej dziwny żałobnik się stawił. Przybył w samą porę i warunkach takich, że swą obecnością poruszył najtrzeźwiejsze wyobraźnie, robiąc wrażenie publicznej odpowiedzi Bożej na drwiny starego niedowiarka.

Trzeciego dnia po zgonie, zanim ciało z domu wyniesiono, przez długą ulicę mieściny szedł zając. Ujrzano go najpierw na rozstajnej drodze między Dèsertines a ulicą prowadzącą do szpitala, potem skręcił na lewo do ogrodu nieboszczyka i tam znalazł sobie przytułek nieopodal pokoju, gdzie spoczywały zwłoki.

Kiedy eksportacja zwróciła się w stronę kościoła, niezwykły gość, trzymający się w tyle licznego orszaku, do samych drzwi świątyni podążył, lecz tutaj, zwróciwszy się w stronę wieży, poszukał ukrycia pod kamiennym stołem, służącym wówczas za piedestał publicznym mówcom mieściny.

Naprzeciw kościoła mieszkał notarjusz, od dwóch dni chory i z tego powodu nieopuszczający swojego

łóżka. Gdy mu oznajmiono o zjawieniu się zająca na placu wstał, a przekonawszy się naocznie, zdjął strzelbę z kołka, lecz zaniechał zamiaru strzelania w obawie, by huk broni palnej nie wywołał popłochu między znajdującą się w kościele gromadką. Po skończonem nabożeństwie kondukt udał się procesjonalnie na cmentarz, liczba zaś uczestników wzrastała ciągle. Zając, leżący dotąd spokojnie w ukryciu, podniósł się z miejsca i towarzyszył znowu pochodowi aż na cmentarz gdzie znikł nagle...

Fakt ten wywołał liczne komentarze w całem miasteczku, zwłaszcza gdy stwierdzono, że psy na widok zająca kryły się, zamiast go gonić.

Działo się to w Fougerolles nie więcej jak trzydzieści lat temu wobec publiczności, która widziała wyżej opisaną historję na własne oczy. Niektóre pisma okoliczne, po stwierdzeniu rzeczy na miejscu, dały o zadziwiającym wypadku szczegółowe opisy. Po dziś dzień żyją świadkowie tej sceny, a dokładne i zgodne ich twierdzenia nie upoważniają do niewiary.

Czy to jest kara?

Wydarzenie poniższe miało miejsce w Dompaire, gminie okręgu Mirecourt, w Wogezach. Jednemu z najzacietszych sekciarzy tej okolicy padło w ciągu dziesięciu dni sześć koni. Stajnia opustoszała. Wezwani weterynarze śladów epidemji nie znaleźli, w sąsiednich stajniach zwierzęta były zdrowe, konie zaś sekciarza padały jeden za drugim bez oznak żadnej choroby.

Człowiek ten dawał swoim koniom imiona osób szanowanych przez wszystkich katolików: Sarto, Foucault, Turinaz i t. d. nadto groził wynajęciem parafialnego kościoła na pomieszczenie swych koni, a w dodatku w dzień Bożego Ciała, mijając w szalonym galopie procesję, obnoszącą Najświętszy Sakrament, z narażeniem na stratowanie dzieci w pochodzie, śpiewał piosenki na całe gardło.

(Tygodnik kat. z Seez, stron. 795).

Śmierć zabójcy Jego Ekscelencji ks. Affre arcybiskupa miasta Paryża.

Jeden z wielkich dzienników paryskich daje na swych szpaltach szczegółowy opis śmierci prawdziwego zabójcy Jego Eks. ks. Affre, który zaciekawi niezawodnie czytelników.

Oto opisu tego streszczenie:

Arcybiskup zabity został 25 lipca 1848 r. przez szubrawca nazwiskiem Laforce. Był to belgijczyk z pochodzenia, stolarz z zawodu, zamieszkujący przedmieście św. Antoniego.

Uwiedziony, jak wielu innych ułudnemi obietnicami przewódców, chwycił za broń podczas burzliwych dni lipcowych; będąc jednak tchórzliwszym aniżeli inni, zamiast iść na barykady, wolał położyć się w zajeździe pod godłem „Zielona Małpa.“ Tam, nie narażając siebie na szwank, mógł strzelać z okien poddasza w stronę placu. W taki to sposób, celując w arcybiskupa, trafił go w bok. Kula przeszyła jelita i zatrzymała się w kręgach kości pacierzowej.

Kiedy z ukończeniem rozruchów zabrano się do ściągania powstańców, udało mu się zemknąć i powrócić do warsztatu. Tam zaczął wkrótce opowiadać w gronie towarzyszy o ohydnym swym czynie, chełpiąc się nadomiar złego.

— Sprzątnąłem kanalję! — mawiał ten łotr.

Wzbudziło to w rzemieślnikach wstręt i oburzenie; wydalono go z warsztatu i wydano rozporządzenie do innych zakładów stolarskich nie przyjmować.

Natenczas, poniewierając się z kąta w kąt, świecąc wszędzie swą nędzą, rok tak przeżył w Paryżu, aż nagle przyszła mu myśl wyjechania wraz z synem do Kalifornji gdzie go nęciło - złoto.

Siedem lat minęło. W 1856 r. syn powrócił do Francji, wychudzony, bez grosza, sam jeden. Zwrócił się do byłego majstra swego ojca, błagając o danie mu sposobu zarobkowania.

Zapytany odpowiedział jako w zeszłym roku Laforce zmarł na gościńcu pod murami m. San-Francisko. Uciuławszy kilka sztabek złota, zabójca arcybiskupa podążał do jednego z portów, mając zamiar powrócenia do rodzinnego kraju. Napadnięty przez bandę rozbójników, zamordowany i ograbiony został, nieusunięte zaś z szosy zwłoki, wałęsające się psy poszarpały.

Nazajutrz syn mieszkający w San-Francisko, gdzie pracował w swoim zawodzie, wyszedłszy na spotkanie ojca, znalazł na mało uczęszczanej drodze wpół pożartego trupa.

Widok krwawych szczątków tak wstrząsające zrobił wrażenie na biednym chłopcu, nieuczestniczącym w zbrodni ojca, że natychmiast włosy mu zbielały. Jego umysł uległ także nadwyrężeniu, wyobraźnia stawiała ciągle przed jego oczyma ten obraz straszliwy.

— Bóg ojca ukarał, Bóg pomścił śmierć naszego arcybiskupa!“ — mówił z wyrazem głębokiego przekonania.

We dwa lata po powrocie do ojczyzny musiano odesłać go do szpitala, gdzie zmarł prawdopodobnie jako obłąkany.

(Tygodnik kat. z Seez 1880 r., str. 702).

Brak uszanowania dla sług Bożych szczęścia nie przynosi.

Wyciąg z Religijnego Tygodnika wychodzącego w Nantes:

„Jego Eksc. biskup Cocq udawał się właśnie w okolice Nantes w celu udzielenia Sakramentu Bierzmowania mieszkańcom parafji Saint-Sébastien. Ponieważ w krajach gdzie kwitnie wiara istnieje obyczaj przystrajania domów po drodze, którędy jechać ma biskup, przeto i w Saint-Sébastien o tym zwyczaju zapomnieć nie chciano.

Znalazł się jednak jeden z radnych miasteczka X... wielce przychylny stronnik cywilnych pogrzebów, który jął ganić uroczyste przygotowania, utrzymując głośno, że śmiesznem jest tak świetnie przyjmować człowieka nie różniącego się niczem od

innych śmiertelników. „Zresztą, jak dodawał, skoro biskup zawita, pójdę osobiście wypowiedzieć mu swoje zapatrywania.“

Ale dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym że dniu i o tej godzinie, o której X... zamierzał uczynić afront biskupowi, wyniesiono go na cmentarz po ostrym przebiegu ospy. (Działo się to w 1882 r.)

„Wkrótce zdychać będziesz!“

Czytamy w Tygodniku z Vivier w 1882 r. iż miesiąc temu przejeżdżał przez Akbou biskup konstantyński, Jego Em. ks. Combes. Przed opuszczeniem tej miejscowości, kiedy stangret biskupi konie do karety zaprzęgał, jeden z kupców korzennych zbliżywszy się do stangreta, zapytał: „Ileż to tych kruków przywiozłeś? Na co one tu potrzebne?“ „Na to — odparł woźnica — aby zawlec ciebie na cmentarz, bo wkrótce zdychać będziesz.“ Z ukazaniem się biskupa grubjanin zawołał znowu: „Wyjeżdżać z nim! Wyjeżdżać!“ Po tych brutalnych konceptach, kupiec do domu powrócił, lecz zaraz dreszcz zatrząsł wszystkiemi jego członkami, a w niespełna cztery godziny skończył życie na wściekliznę, błagając o danie mu rewolweru dla skrócenia swej męczarni.

Niewiadomo kto pierwszy.

Skoro Rada Miejska w Pisote (Wandea) pod wodzą wójta Charpentier'a, znanego masona, głosy swe dała za wydaleniem ks. Coutand z parafjalnej

plebanji, służący wójta, niejaki Gerard, odezwał się głośno przed kilku osobami:

— Sam pójdę proboszcza wypędzać, a jeżeli zajdzie potrzeba, kopnę go porządnie!

Wszelako, gdy nazajutrz rano żandarmi przyszli do zacnego proboszcza, nadbiegł ktoś prosić księdza o udanie się do domu wójta, bo tam służący Gerard ataku apopleksji dostał. Kapłan nie zwlekając do chorego poszedł, przybył jednak już zapóźno, więc gdy nadeszła pora odpowiednia ks. Coutaud wyprowadził z domu zwłoki człowieka, który odgrażał się usunąć proboszcza z jego plebanji w sposób nieprzyzwoity.

(Tygodnik kat. z Seez 25 list. 1907 r.

Podwójna kara.

Misjonarz, bardzo znany w Tuluzie, pisze do nas: „W bliskości Gare, gdzie miewam obecnie kazania, jest położona parafja Loubens (Ariège). W czasie wizyty pasterskiej biskupa de Pamiers, który tamże Sakramentu Bierzmowania udzielał, stało się wielkie zgorszenie. Parafjanie z pobożną radością dążyli witać Jego Eminencję, znalazł się wszakże wolnomyśliciel, który, chcąc się wyróżnić, zawiesił na żerdzi tablicę z grubo wypisanemi słowy: „Precz z Jego Eminencją!“ i swojemu synowi trzymać ją polecił na rogu pola, około gościńca, którędy pochód miał przechodzić.

Nie długo obydwaj czekali na karę, ojca chwyciła choroba bardzo dokuczliwa i bolesna, w mękach przyszło zakończyć mu życie bezbożne.

Synowi nabita broń pękła w dłoni, co było przyczyną wpakowania się całego naboju w to właśnie ramię, które żerdź z tablicą trzymało. Łatwo się domyśleć jak wielkie być musiało jego cierpienie.

Proboszczowie z Loubens i z Montegut, sąsiednich parafji, zaświadczyli prawdziwość zdarzenia. Proboszcz z Montegut dodaje: — Wspominam często w moich kazaniach o tym wypadku, wywołującym zawsze dreszcz zgrozy w słuchającym mnie ludzie.

(Tydzień katolicki z Seez 1889 r.)

Przekładam taniec.

W 1903 r. podczas wizytacji pasterskiej, odbyć się miała ceremonja bierzmowania w jednym z kościołów djecezji Tuluzkiej. Zbliżał się dzień oznaczony.

Młoda dziewczyna z wioski, której nie wymienię, wsiadła na wózek wraz z matką i wybrała się do miasta po rozmaite zakupy.

Panienka przygotowuje się zapewne do ceremonji bierzmowania? spytał ktoś z jej znajomych.

Ja do bierzmowania? — Odrzekła — drwię sobie z tego, wolę iść na tańce!

Pięć minut nie upłynęło — wózek się przewraca, wyciągają z pod kół dziewczynę ze złamaną nogą! Opowiadając to zdarzenie dodano, że pierwsze złożenie nogi było nie udane, choroba zatem przewlecze się i nie prędko rozmiłowana w zabawach panienka w wir tańca się puści! Niektórzy powiedzą, że jest to zwykły wypadek — być może, ale

przyznajcie, bywają wypadki przypominające bardzo karę Bożą.

Zebraliśmy dane na miejscu, fakt ten był w pismach ogłoszony i za jego prawdziwość ręczymy.

Precz z duchowieństwem!

Pismo „La Croix“ z Pas de Calais ciekawą opisuje historję.

Przy stole karczemnym, nad kuflem piwa pewien robotnik, pijak skończony, wyłuszczał kolegom socjalistyczne zasady: „Precz z majstrami! Precz z policją! Precz z duchowieństwem! Po co nam księża? Wyobraź sobie, żona moja nabiła sobie głowę chodzeniem na Mszę i poszczeniem w piątki!“ „Czy być może?“ „Tak, ale co prawda nie długo to trwało.“

Opuściwszy szynk, robotnik wracając do siebie, zastaje przed domem tłum ludzi i policję. Wchodzi na schody, staje w drzwiach mieszkania i spostrzega na łóżku martwe ciało żony, oraz trojga swoich swoich dzieci. Z pokoju buchnęła woń czadu a na miejscu widocznem leżała napisana kartka tej treści: „Dopóki wierzyłam w Boga, miałam siłę znosić moją nędzę! Odkąd jednak mąż, prawdziwy mój kat, uczynił ze mnie rozpaczającą bezbożnicę, nie chcę, aby moje dzieci były równie nieszczęśliwe jak ja, dlatego też zabieram je ze soba.“

Ciemiężyciel wioski.

Będzie temu lat trzydzieści, w okolicy Perche mówiono jedynie o wójcie, ciemiężcy wioski, który

pod pozorami uprzejmej grzeczności niesłychaną krył nienawiść do religji i duchowieństwa. Przejęty szatańskim duchem, pracował ku zgubie dusz ludzkich. Szkalował codziennie księży, wymyślając coraz to nowe brednie na duchowieństwo: zajmował się rozszerzaniem niegodziwych broszur; jego umysł dążył jedynie ku zdobywaniu stronników dla masonerji, w której gorliwym był działaczem. Aby tem snadniej wykazać pogardę dla religijnych wierzeń i swą władzę silniej zaznaczyć, wydał rozkaz, zabraniający procesji w obrębie jego gminy. Co prawda pisząc to, nie miał na myśli pogrzebów z księdzem na czele, ale biskup z Seez, któremu oznajmiono wolę pana wójta, uważał za stosowne — i słuszne — zakazać wszelkie pochody, by tym sposobem uwydatnić całą śmieszność rozporządzenia wójta. To stanowiło pierwszą karę dla ciemiężyciela; przyszła też i druga, godząca w jego przywiązanie synowskie. Po kilku dniach umiera jego matka, dobra chrześcjanka, która pierwsza uledz musiała skutkom rozkazu syna.

Wójt czuł bądź co bądź konieczność ceremonji religijnej, ale „oby była krótka i najskromniejsza“ pośpieszył zaznaczyć w liście. Wypełniono jego prośbę co do joty, z usłużnością, która mu się wydała zapewnie zbyteczną. Celebrujący ksiądz odśpiewał tylko... *libera*. Nic więcej. Zdjąwszy następnie stułę i komżę *in nigris*, odprowadził zwłoki na cmentarz gdzie poświęcił nieboszczce parę pacierzy.

Nic nie zdołało uśmierzyć szatańskiej nienawi-

ści tego zwyrodniałego człowieka. W tej parafji, jak w wielu innych, był tradycyjny zwyczaj urządzania procesji złożonej z dzieci mających przystąpić do pierwszej Komunji św. Proboszcz myślał, że gromadna prośba na pana wójta podziała i choć w tym, wypadku zakaz swój cofnie.

Cała zatem młodzież przystępująca do Komunji św. wraz z rodzicami, udała się do mieszkania wójta i tam, ofiarując piękny bukiet, prośbę na piśmie podała. Wójt przyjął wszystkich grzecznie, pozwolenia jednak nie otrzymano. Na nic były kwiaty, błagania i łzy; ciemiężca nieugiętym pozostał. Zły musiał być koniec takiego człowieka. Na jego nodze otworzyła się niespodzianie złośliwa rana. Zmarł w bardzo przykrych cierpieniach, obojętny do ostatniej chwili na wszelkie zachęty do nawrócenia się i na słowa gorliwego kapłana.

Dodajmy jeszcze, że wszyscy członkowie Rady Miejskiej, których ten bezbożnik za sobą pociągnął, po kolei tragiczną zginęli śmiercią.

Ręka Boża.

Czytamy pod tym tytułem w piśmie paryzkiem „La Croix“.

„Proboszcz z Boucq (Seine-et-Moselle) ks. Robini, jest od pewnego czasu celem prześladowania Rady a także części swoich parafjan. Za ich staraniem odjęto mu pensję.

W czasie pielgrzymki proboszcza do Jerozolimy jeden z radców wygłosił życzenie, iż chciałby księ-

dza nie oglądać więcej. Wysłuchany przez Boga został, gdyż zdążył umrzeć przed powrotem proboszcza.

Atoli dziwniejsze zestawienie zwraca daleko więcej naszą uwagę. Oto przed rokiem o tej samej porze, radny odzywał się chełpliwie, że gdyby znalazł drugiego podobnego do siebie śmiałka, zdjąłby z nim dach z nad głowy proboszcza i wystawiłby jego jelita na operację słońca. Trzeba zdarzenia, że ruptura spowodowała śmierć radcy, przez nią, na skutek operacji, własne jego jelita dosłownie oglądały światło dzienne. Chory ulegał przez kilka dni tak silnym atakom furji, że pięć osób musiało go trzymać, a ponieważ przez całe życie bluźnił, szczególniej na widok księdza, w stanie nieprzytomnym bluźnić nie przestał i z bluźnierstwem na ustach wyzionął ducha, nie przyjąwszy Sakramentów św. Wszyscy mówią dotąd żywo o tej śmierci. Nie wolno jest bezkarnie znieważać sług ołtarza!“

Precz z duchowieństwem! — Spalona żywcem.

Piszą do Tygodnika Religijnego z Puy (1886 r.).

Ręka Boża dotkliwie smaga osoby, które ją ośmielają się znieważać. Przedstawimy tutaj wymowny przykład: Od wymienienia miejscowości, gdzie się rzecz stała, wstrzymuje nas tylko wzgląd na jedną z zamieszkałych tam rodzin. Znano w całej okolicy nieszczęśliwą istotę, uniesioną prądami dzisiejszej doby. Szczególniej, gdy następował okres wyborczy, kobieta ta wpadała w szał, w dniu zaś

zwycięstwa traciła absolutnie równowagę. Owego dnia wieczorem, aby tem większe wywołać wrzenie, otoczyła się gromadą wiedźm do niej podobnych i w takim to towarzystwie przebiegała ulice miasta. Pod drzwiami ludzi spokojnych wrzeszczała na całe gardło, zmuszając innych do krzyczenia wraz z nią: „Precz! Precz! Precz z księżmi! Precz z sutaną!“

Nazajutrz w mieszkaniu tej kobiety urządzono śpiewy i tańce, tu właśnie czekała ją Ręka Boża. W tańcu córka jej przewraca lampę naftową i staje w płomieniach. Matka rzuca się na swoje dziecko chcąc je ratować. Płomień natychmiast, jakby podsycony mściwym pędem, zwraca się w jej stronę i zamienia występną kobietę w żywą pochodnię. Jej mąż widząc, że nic nie pomoże, nagli tylko: „Pobiegnij czemprędzej rzucić się w basen fontany!“ Ta fontana umieszczona była o trzydzieści kroków od domu, na środku placu publicznego. Kobieta biegnie. Wepchnięto ją do wody i z wielką trudnością zagaszono na niej mściwy ogień, który gorzeć przestał, lecz dokonał swego. Nieszczęsną wyciągają z wody; nie krzyczy już: „Precz z sutanną!“ bo krzyczeć nie może. Jedna myśl przejęła wszystkich: *Kara Boża!* Gdy kobietę położono do łóżka, cierpiała męki potępieńców. Bóg ją dotknął straszliwie, aby stała się przykładem dla innych.

W politycznem oszołomieniu mówiła ona: że pragnęłaby posiekać księży na miazgę i zrobić z nich kiełbasę, otóż w czasie jej męczeństwa na tym świecie, palce nieszczęsnej odrywały się od rąk,

przypominając swoim wyglądem gotowane parówki.

Nareszcie po tygodniu zmarła w bólach okrutnych. Podobno rodzice jej sprowadzili w nocy księdza. Dla czego w nocy, a nie w dzień? Należało otwarcie zmyć plamę zgorszenia, jeżeli żałowała szczerze. Przykład Sprawiedliwości Bożej trwogą przejął całą okolicę, nawet bezbożnicy szeptali: „W tem jest Ręka Boża!“

Rocznik archikonfraterji wynagradzającej.
(Nr. 107, rok 1886).

Przypadek nie potrzebujący komentarzy.

Zeszłego roku w Lavelanet (Ariège) stał się wypadek rzeczywiście nadzwyczajny, który powtarzamy za gazetą tego departamentu. W niedzielę, w dniu Trójcy św. 14 lipca 1908 r., biskup Izart de Pamiers lud bierzmował. Wolnomyśliciele miejscowi, ziejąc jadem, umyślili urządzić tańce publiczne na znak protestu, lubo wójt nie poparł ich chęci swojem zezwoleniem. Masoni nadto ułożyli o Jego Eminencji nader obelżywą piosenkę. Ten, który wziął na swe barki urządzenie gorszącej manifestacji nazywał się Roudière; był to sekretarz syndykatu robotniczego, prezes „Wolnej Myśli,“ znano też powszechnie jego antyklerykalny sposób myślenia.

Przygotowano zatem wszystko, co mogło wieczorem zakłócić spokój religijnej ceremonji; postanowiono lżyć Boga, biskupa, księży i wiernych, sięgając aż w głąb parafjalnego kościoła.

Jednakże około godziny 2-ej po południu, kiedy Roudière zabierał się do wyjścia z domu, dla objęcia kierownictwa nad manifestantami, złowroga burza grożąc miastu, zasłoniła stropy niebios. Usłyszano nagle huk grzmotu. W dom obywatela Roudière'a grom uderzył, zabijając jego samego na miejscu, raniąc jego żonę, która jest sparaliżowana do tej pory, omijając jednak dwuletnie dziecko, trzymane przez matkę na ręku. (Niewinność ma łaskę u Boga!). Jeden z sąsiadów nadbiegł zaraz; człowiek ten w zamiarze niesienia pomocy, próbował rozewrzeć szczęki rażonego piorunem Roudière'a, lecz tenże, wijąc się w konwulsjach, odgryzł mu bezwiednie palec u prawej ręki.

Pogrzebano cywilnie na trzeci dzień obywatela R., który brał ślub cywilny. W pochodzie żałobnym niesiono czerwoną chorągiew i kilka wieńców; na jednym z nich widniał napis: „Bez Boga, Bez Pana!“ na drugim: „Młodzież Rewolucyjnego Syndykatu!“

Straszne to wydarzenie nie potrzebuje komentarzy.

„Rzecz opowiedziana powyżej jest najzupełniej prawdziwą,“ pisze do nas proboszcz z Lavelanet, „zebrałem dosyć wiarogodnych świadectw, aby módz z całą pewnością zaznajomić moich parafjan z tym oto wypadkiem.“

XXIII.

Ręka Boża, karząca włamywaczy i grabieżców domów Bożych.

Nikomu obcem nie jest, jak szeroko rozwielmożniły się we Francji zbrodnie przeciw Bogu i religji. Słyszy się wciąż o wyłamywaniu drwi kościołów, o świętokradzkich łupach, znieważaniu przybytków, napadach na księży i zakonników i t. p. Bóg ukarał doraźnie lub nie zwlekając długo uczynki kilku bezbożników i rzeczywiście niektóre wypadki oraz zbiegi okoliczności są tak wyjątkowe, że trzeba być ślepym, by Ręki Bożej w tem nie dojrzeć. Nie doszlibyśmy do końca dzieła, gdyby przyszło wszystkie przykłady wymienić, nadomiar wstrzymuje nas wzgląd, jaki mamy dla drażliwości czcigodnych rodzin, które słusznie pragną, żeby milczenie te sprawy pokryło. Ograniczyć się przeto musimy do przytoczenia wydarzeń znanych z publicznych obwieszczeń.

Zły żart.

Fakt szczególny, dający wolnomyślicielom poważne przestrogi, zdarzył się w 1882 r. w departamencie Ain.

Redaktor nieprzyjaznego religji pisma, wydawanego pod tytułem „Postęp w Ain,“ p. Chambaud, korzystając z okazji procesji Bożego Ciała, puścił wodzę bluźnierczym obelgom. Wnet odpowiedział na nie p. Villefranche, wydawca „Dziennika z Ain“ temi oto uwagami:

„Pan Chambaud mógłby doprawdy lepiej czas swój trawić, niż bawiąc się w nieustanne wyzywanie Sprawiedliwości Bożej! Czyż pozostanie zawsze ślepy i głuchy na ostrzeżenia, które mu są dane? Niechże przypomni sobie ranek 6 listopada w Plantej, gdy wykonywano sławetne wyroki na Trapistach z Notre-Dame des Dombres! Nie dalej jak wczoraj była o tem mowa w Saint-Nizier. Trzech brało udział w napadzie, z trójki pozostał tylko jeden!“

W poczciwych tych radach p. Chambaud widział powód do nowych szyderstw. Oznajmił żartobliwie swym czytelnikom, *że skazano go na rychłą śmierć* i z tego wątku snuł koncepta w słowach zawierających prawdziwe wyzwanie Opatrzności.

Dnia 4 sierpnia za powrotem swoim do Montanat (Ain), gdzie p. Chambaud bawił się wesoło, uczuł się nagle niedobrze, spowadził doktora *a w dwie godziny potem — nie żył.*

W nieczystościach zatopiony.

W Periac - Minervois, niedaleko Carcassone, młody bezbożnik ujrzawszy przechodzącego proboszcza, zuchwale powiedział: „Po jakiego kaduka tylu jest księży? Jakżebym ja chciał wyłapać ich wszystkich i zanurzyć w nieczystości!“ Tego dnia wieczorem, rodzice myśląc, że ich syn jest na robocie, spodziewali się, jak zwykle, jego powrotu na noc, lecz czekali daremnie, chłopiec nie przyszedł, szukają go więc i znajdują zanurzonym z głową w kloacznym dole. Wyciągnięto trupa.

(Źródło pewne).

Carrouges.

Wspomnienie ze spisu inwentarza dóbr kościelnych.

Pod tym tytułem umieszczono w gazecie „La Croix z Martenais“ z dnia 27 października 1907 r. artykuł następujący:

Z grona ludzi odznaczających się największą gorliwością przy wyłamywaniu drzwi kościołów: Champ-de-la-Pierre i St. Martin l'Aiguillon katolicy wyróżnili trzy osobistości. Ci trzej dotknięci zostali w tak wyraźny sposób, że w ich nieszczęściu nie tylko zbieg okoliczności publiczność dostrzedz winna.

O pierwszym poborcy nic nie powiemy, jak również o śmierci żony, która nastąpiła na drugi dzień po jego zgonie.

Drugim był sędzia pokoju: wedle wszelkich pozorów uderzenia siekiery o drzwi kaplicy zado-

wolenie mu sprawiały; robił wewnętrzny opis kościoła z cygarem w ustach. Umarł w Beauvain po czteromiesięcznej chorobie nie dającej się niczem wytłómaczyć. Trudno byłoby zliczyć dwanaście osób na jego pogrzebie.

Trzeci to robotnik szosowy J.... działający z rozkazu dwóch pierwszych. Uzbrojony w siekierę rąbał drzwi kapliczne, mówiąc: „Wióry te posłużą na odgrzanie kawy.“

Po dokonaniu smutnego dzieła usposobienie jego uległo zmianie, stał się ponury, do religji odnosił się nienawistniej jeszcze, zgrzytaniem zębów witał przechodzących księży. W końcu rozpił się.

Dnia 5 października zaskarżono go o kradzież. By uniknąć sprawiedliwości ludzkiej, kupuje on węgle, drzwi, okna szczelnie zamyka, węgle sypie do naczynia, rozżarza i do łóżka się kładzie. Firanki zajęły się od ognia; na pierwszy odblask pożaru przybiegli sąsiedzi wraz ze strażakami. Wysadzono drzwi i zaprowadzono do aresztu na wpół zaczadziałego samobójcę.

Wypuszczony z aresztu 6 października J.... węgle ponownie rozniecił, nazajutrz zaś znaleziono go uduszonego czadem. We wtorek odbył się pogrzeb cywilny i ponieważ dawni przyjaciele nie potrzebowali go więcej, nikt za trumną nie poszedł.

Fakta te są ściśle prawdziwe i komentarzy nie potrzebują.

Rozumiemy wszakże jednego z kolegów, który drukując sprawozdanie o tych wypadkach od siebie

dodaje: „Wyłamywanie kościelnych drwi nieszczęście przyniesie.“ Kolega był tłumaczem uczuć przeważnej części ludności.

Nie wiodło mu się!

Czytamy w „La Croix“ z Wyższych Pyreneów pod datą 28 maja 1906 r. Pragnąc uczcić zwycięstwo posła z partji radykalnej, rozwydrzona banda, złożona z kobiet i mężczyzn, dopuściła się manifestacji o wstrętnym charakterze. W chwili, gdy pochód znajdował się naprzeciw plebanji i krzyża, jeden z młodzieńców nabił fuzję: „Strzelaj do krzyża“, rzekli towarzysze. W tem nabój rozsadza broń w ręku chłopca, kaleczy sąsiadów, jemu zaś samemu obsypuje twarz śrutem. Stracił oko, twarz ma zbolałą, głowę niepomiernie napuchniętą. Stan jest beznadziejny.

Po paru dniach inny uczestnik manifestacji, poszedłszy w góry, przez nieuwagę lub zawrót głowy traci równowagę, spada z jednego ze szczytów i rozbija się o skały. Jego zdrowie nie rokuje także nadziei.

Wkrótce po wypędzeniu mnichów wyznaczono komisję z ramienia rządu, która gospodarować miała w pięknym szpitalu Św. Laurent du Pont, zbudowanym przez Kartuzów. Mer z Voiron, obrany na przedstawiciela rządowego, wyjeżdżał w drogę, by objąć nowe stanowisko, ale nagle zaskoczony paraliżem, zatrzymać się musiał jak Antiochus wypędzony z jerozolimskiej świątyni.

W Ch... wytrychem otworzono klasztor. Ludność tamtejsza była świadkiem skutków tego najścia. Temu, kto drzwi wyłamywał, groziło niebezpieczeństwo, życia; człowiek posiłkujący się wytrychem stracił wzrok; kapitan żandarmerji uległ sparaliżowaniu. Ciosy te padały raz po raz.

W innej miejscowości, w przeciągu dwóch tygodni zmarli w zadziwiających warunkach: komisarz policyjny, prezes trybunału i jeden z sędziów, który wziął bezpośredni udział w pogwałceniu miejscowego klasztoru.

Ślusarz Balot, otwierający wytrychem z usłużności dla rządu świątynie i klasztory, dostał pomięszania zmysłów i jest zamknięty w zakładzie dla obłąkanych.

W Ville Ardenne, około Charleville, socjalista Branet odznaczył się skandalicznem postępowaniem w czasie spisu inwentarza kościelnego. Ku wielkiemu wzruszeniu ogółu we dwadzieścia cztery godziny życie zakończył.

Wyrzut sumienia.

W pewnej gminie Meurthle et Moselle jeden z mieszkańców zgodził się służyć za świadka urzędnikowi przy opisaniu dóbr kościelnych. Na drugi dzień, w czasie nieobecności żony w domu, nagle zmarła córeczka obojga bez widocznej przyczyny.

Po tej stracie otworzyły się biedakowi oczy. Tonąc we łzach, udaje się on do proboszcza i mówi: „Błagam o przebaczenie za mój postępek. Jestem

nad wyraz strapiony.“ Następnie, z prośbą zaniesioną do proboszcza o publiczne ogłoszenie jego skruchy w najbliższą niedzielę po sumie, zobowiązał kapłana do przeproszenia w jego imieniu całej ludności za spowodowane zgorszenie.

(„Kalendarz pielgrzyma“ na 1908 r.).

Wyrzucony.

W grudniu 1907 r. wbrew wszelkiej sprawiedliwości, wbrew większości Rady Miejskiej, mer gminy N... w asystencji podprefekta, czterech żandarmów i kilku niedowiarków z okolicy, wypędzał z plebanji księdza opiekującego się parafją przez siedemnaście lat blizko. Tymczasem nocą z 28 na 29 t. m. ni ztąd ni zowąd wynikający pożar niszczy zupełnie mieszkanie urzędnika. Zdążył zaledwie wyskoczyć w bieliźnie i wołać o ratunek. Przy eksmitowaniu proboszcza wójt dał mu zezwolenie na zabranie mebli; on swoje uratować mógł także. Przemocą wysadzał drzwi plebanji, z jego drzwiami mniejszy był kłopot, bo ogień je spalił. Wszyscy widzieli w tym pożarze przykładną karę: — „Wyrzucał naszego proboszcza“ odzywały się głosy, — ale on za to doszczętniej wyrzucony został. Ma za swoje!“

Usunięty z zajmowanego przez siebie domu jest on wydalony z urzędu po wyborach w 1908 r. Stało się to jak zawsze w myśl prawa odwetu.

Wszak to daje do myślenia!...

Saint—Martin d'Ecubley (Orne).

Przed dwoma laty, 10 marca 1906 r., po wyłamaniu drzwi kościoła, sędzia Bourdon wtargnął do wnętrza wraz z poborcą Malet'em i piętnastu żandarmami dla opisania ruchomości. Od tej pory niepowodzenie prześladowało pana Boudron we wszystkiem co czynić zamierzał; wreszcie Bóg zesłał na niego najcięższą chorobę, jaką na ludzi zsyła. Odwieziono go do Alençon przed kilku tygodniami, gdzie też zmarł wkrótce.

Drzwi kościoła naprawione zostały przez dobrych katolików. Modlitwy wiernych rozbrzmiewają tam po dawnemu.

Sędzia stanął przed Bogiem w sile wieku. Czyż nie warto zastanowić się nad tym faktem, który wiele daje do myślenia.

Mason rażony na sesji Rady Głównej.

Proboszcz z dyecezji Carcassone pisał pod datą 28 maja 1907 r. „Radca D... mer gminy P... M... sprzeciwiał się uchwale na sesji Rady Głównej pewnej sumy na rzecz Sióstr św. Rodziny, które za te pieniądze utrzymać miały założoną przez siebie ochronkę. Pozwalał sobie nadomiar oczerniać pobożne zakonnice, lecz przy wypowiadaniu swego zdania podczas sesji rażony został apopleksją. Wyniesiono go z sali posiedzeń. Życie zakończył na drugi dzień nieodzyskawszy przytomności. Dodać muszę, że

stawiał przeszkody przy urządzaniu procesji i mojemu poprzednikowi wiele robił przykrości".

Kara oczywista.

Zabawa urządzona przez kilku pijanych łotrów nazajutrz po wyborach w okręgu Sain-Dié w maju 1906 r. przejęła obrzydzeniem mieszkańców tego miasta. W śródmieściu przeciągnięto w poprzek rzeki Meurthe długi sznur, na którym powieszono sztucznie zrobionego człowieka, przybranego w sutannę. Znaną była ogólnie osobistość przytwierdzająca linę do rosnącego nad brzegiem drzewa. W kilka dni później ten sam człowiek spadł z mostu i bez widocznych obrażeń na ciele zmarł pod tą samą olchą, do której przywiązywał ów sznur ku uciesze nieprzyjaciół sług Bożych.

W. T... wiosce około Sait-Dié 21 maja 1906 r. masoni urządzili rzekomy pogrzeb liberalnego posła, naśladując religijną ceremonję w sposób ohydny. Jeden z nich kropił gnojówką niby wodą święconą, drugi ująwszy trumnę za brzegi rzucił ją do ściekowego kanału. Kilka dni minęło. Ten, który kropidłem wywijał spadł z wozu, koła przeszły mu przez głowę i zmiażdżyły czaszkę. W tydzień po tym wypadku drugi stracił córkę. Szedł na cmentarz za trumną i tym razem nie była ona pustą!...

W B..., wiosce położonej w tym samym kantonie, niedowiarek uszczęśliwiony z wyniku wybo-

rów, które, jak się wyraził, Francję oswobodzą z pod jarzma duchowieństwa, z wielkiej uciechy, uderzeniem kija, łamie nogi wiszącego na ścianie Chrystusa.

Inny znowu w takich oto słowach do zacnego proboszcza parafji się zwrócił:“ –Rozpłatam ci brzuch, ty kruku!

W tym samym tygodniu pierwszy obcinając suche gałęzie w lesie spada z drzewa, podnoszą go ze złamanemi nogami; drugi wszedłszy na szczyt góry spuszczał na dół kloc dębiny, przy tej robocie dostaje on się pod szlitówkę i ostrym kołkiem brzuch sobie rozpruwa.

Podczas licytacji drukarni pobenedyktyńskiej likwidator, czyli urzędnik do robienia obrachunku, oddał krucyfiks stojącemu nie opodal robotnikowi. Tenże obelżywem słowem znieważył Chrystusa. Trzy dni poźniej, odwożąc na stację maszynę drukarską, własnym wozem przejechał sobie nogi i obydwie stopy miał zmiażdżone.

W departamencie zachodnim krzyż przydusił na śmierć sekciarza w chwili gdy niedowiarek ów krzyż przewracał.

W tych samych stronach nieprzyjaźnie dla duchowieństwa usposobiony człowiek, znany w dodatku z gorliwości okazanej przy grabieniu świątyń i klasztorów, dostał obłędu.

(Messager du Sacré—Coeur 1909 r.).

Czy to był odwet Sprawiedliwości Bożej?

Rzecz stała się przed katastrofą w Courrière, czytamy w liście p. Augusta Roussel. W wiosce należącej do obwodu kopalnianego wstrętni manifestanci zabawili się raz w świętokradzką rozrywkę. Urządzili coś w rodzaju procesji, w pośrodku której prowadzono wieprza obwieszonego wstążkami. Ciężko nam wymówić lecz to ohydne błazeństwo wyobrażać miało procesję z Najswiętszym Sakramentem.

Proboszcz parafialny zawiadomiony o strasznej rozpuście, wyszedł wzburzony na próg kościoła, gdzie też w wymownych słowach bezwstydną gromił zabawę. Kończąc przemówienie dodał silniejszym jeszcze głosem:

„Strzeżcie się gniew Boży wywołać! Strzeżcie się sprowadzić na siebie nadzwyczaj srogą karę!"

Na to bezbożna banda odpowiedziała szyderczym śmiechem, jakby z Opatrzności drwiła. Po upływie kilku dni — rozległ się huk straszny. Był to wybuch morderczy, który spowodował śmierć przeszło tysiąca ofiar z pomiędzy ludności górniczej.

(Messager du Sacré—Coeur. sierpień 1906 r.

Czekam emerytury.

W parafji, którą moglibyśmy wymienić, wszyscy współdziałacze religijnego prześladowania w okresie spisu inwentarza to jest w 1906 r. tak szybko

wymierali kolejno i prawie zawsze nagłą śmiercią, że musimy widzieć w tem wyraźną karę Bożą.

Jeden z nich powtarzał nieustannie: „Wiele mnie to kosztuje, iż jestem zmuszony drzwi naszych kościołów wyważać, lecz żądają tego odemnie a nie wypada mi narażać się rządowi odmawiać teraz, kiedy mam wkrótce otrzymać emeryturę“.

Wybiła istotnie godzina zakończenia służby tego urzędnika, wszelako inaczej niż się spodziewał. Zaskoczony w nocy śmiercią, gorliwy służbista wszedł w progi wieczności, nie mając nawet czasu na pojednaniem się z Bogiem. Oby w okrutnej chwili niespodzianego konania zdołał silnem westchnieniem ku Niebu Serce Jezusa przebłagać!

Krzywda sługi Bożego nie pójdzie na pożytek.

Pod powyższym tytułem, sprawdzającym się często w praktyce, „*Expres Zachodni* pisze w dniu 14 grudnia 1907 r.

W Ille—d'Elle,przy usuwaniu księży,jeden z radców miejskich krzyczał na cały głos:

„Jeśli księża we Francji przytułku nie znajdą niechaj jadą do Maroko“. Niebawem, bo zaledwie w parę dni później, córka jego wraz z zięciem udać się musieli dla przemysłowego interesu do Maroko. Córka powrócić nie miała, zmarła wkrótce po przybyciu na miejsce. Dwóch innych radców, którzy dawali swe głosy za wydaleniem księży, utonęło. Trzeciego z topieli ledwie ocalić zdołano. Trzej jeszcze wraz z rodzinami ciężką chorobą zostali dotknięci.

Czy te słowa wziął pan do siebie?

Były poborca Okręgu Zachodniego zrobił się dobrowolnie najczynniejszym pomocnikiem przy spisywaniu inwentarza kościelnego w 1906 r.

Lubo na ogół ośmieszony, wygwizdany, opluty, nie zniechęcał się niczem, pracował bez przerwy, urągając zarzutom, znosząc poniżenie i zniewagi.

Znalazła się jednakże obelga, której jego drażliwe sumienie znieść nie mogło.

Gdy pewnego dnia drzwi zakrystji wysadzał, proboszcz miejscowy pozwolił sobie (o zgrozo!) cisnąć mu w oczy słowo: *kanalja!*

On kanalja? Nie, tego za wiele! Należało sądownie żądać przywrócenia honoru.

— Czy pan wyraźnie słyszał słowo: kanalja?— zapytuje prezes cywilnego trybunału.

— Tak, panie prezesie, słyszałem na własne uszy.

— I to słowo pan wziął do siebie?

— Tak, tak, panie prezesie, nie mogło się odnosić do kogo innego — odrzekł z przekonaniem, wśród ogólnej wesołości.

Człowiek tak drażliwy na punkcie honoru poważnym uległ oskarżeniom i na ich mocy, aresztowany w swoim biurze poborczym, do więzienia odprowadzony został dnia 1 marca 1908 r.

Na dwa lata przedtem, w tym samym dniu i miesiącu, próbował wtargnąć do jednego z kościołów, co mu się jednak nie udało.

Zamknięto go pod klucz w oczekiwaniu wyroku, który nie mógł być pobłażliwym.

XXIV.

Ręka Boża karząca nabywców dóbr kościelnych.

„Potomkowie nabywców dóbr kościelnych źle byli widziani we wszystkich gminach".

Przeklęte dobra.

Pod tym zaciekawiającym nagłówkiem pismo *„la Tarentaise"* ogłosiło w 1907 r. wyróżniający się artykuł, poparty dokumentami, który zastosować można do rozmaitych okolic Francji.

Artykuł ten streszczamy:

Nie wymazano z pamięci ludu naszych wiosek żywego wspomnienia losu, jaki spotkał nabywców dóbr narodowych oraz ich potomków po burzy wielkiej Rewolucji. Ówcześni sekciarze łupili dobra kościelne, przywłaszczali sobie majątki ziemskie szlachty i wystawiali je na sprzedaż. Nabywając dobra kradzione po nader nizkiej cenie, wielu wzbogaciło się szybko.

Atoli sroga spotkała ich kara. Osoby, które nabywszy dobra narodowe, stanowczo odmawiały zwrócenia takowych, jeśli nie całkowicie to przynaj-

mniej częściowo, nie dopuszczane były przez duchowieństwo do przyjmowania Sakramentów św. nawet w obliczu śmierci. Trwało to od roku 1793 po 1802. Dzięki układowi ze Stolicą Apostolską Papież dozwolił wymienionym osobistościom władać tak mieniem narodowem jak i własnością prywatną emigrantów. Było to urzędowne przebaczenie grabieżcom dla osiągnięcia spokoju religijnego.

Opinja publiczna jednak nie była tak pobłażliwą. Odwołuję się w tym względzie do pamięci czytelników: wiedzą oni dobrze jak źle byli widziani w ostatnim stuleciu nowi posiadacze cudzej własności i ich potomkowie we wszystkich gminach francuzkich, Dzisiaj jak w 1794 r., zabór dóbr kościelnych i kongregacyjnych przyobleczony jest w formy prawne. Niemniej jest to jawne złodziejstwo i jestem głęboko przeświadczony, że opinja publiczna piętnować będzie niezatartą hańbą majętność i osoby nowonabywców kościelnego dobytku oraz całe tych ludzi potomstwo, tak jak to uczyniła względem ich poprzedników. Taki sam los zgotuje im sprawiedliwość wieczysta. Po pięćdziesięciu lub stu latach mówić się będzie: przodek pana X. wzbogacił się nabyciem majętności kongregacyjnej; przodek pana Z. głosował jako poseł lub senator za łupieniem świątyń i klasztorów albo też dał, będąc merem, polecenie kupienia dla niego własności takiego a takiego klasztoru. Boleśnie ucierpią niewinne istoty gdy w przyszłości wspomniana będzie kradzież lub moralny współudział w kradzieży bliz-

kich ich krewnych ulegających obecnie popędowi ambicji i sekciarskiemu zaślepieniu.

Najgorszym wrogiem religiji nie życzę nabywać wprost lub za pośrednictwem gminy dóbr przeklętych. Kara czekająca tych ludzi jest straszna.

I) „Wyjątek *z Biuletynu Stow. Św. Franciszka Salezego.* Lipiec 1907 r. str. 212.

Grom.

Szkic następujący zapożyczony jest z listu zakonnicy ze zgromadzenia Augustjanek w Anglji, pisanego do W. O. Huguet.

„W odpowiedzi na zadane mi pytanie spieszę zaznajomić Wieleb. Ojca z dwoma przykładami strasznych kar jakie spadły z zrządzenia Sprawiedliwości Bożej na świętokradzkich znieważców miejsc świętych. Pierwszego wydarzenia naocznym byłem świadkiem.

W jednym z miast belgijskich, prawie naprzeciw domu zamieszkiwanego przez moich bogobojnych rodziców, człowiek pozbawiony wszelkich zasad nabył śliczny klasztor za nader nizką cenę. Po zburzeniu takowego, wystawił on na tem miejscu dwie piękne kamienice; znajdującą się zaś w ogrodzie kaplicę na altanę zamienił. W kaplicy spoczywały niegdyś szczątki jednej z Sióstr zaliczonej w poczet świętych, wszelako idąc na wygnanie zakonnice zabrały je z sobą. Kiedy młodziutka żona nabywcy dóbr narodowych przestępowała po raz pierwszy próg owej altany zachwiała się i legła

martwa w dwudziestej wiośnie życia. W tej nagłej śmierci widzieli wszyscy karę za znieważenie świętej kapliczki.

W innem belgijskiem miasteczku pewien bezbożnik, wielbiciel Woltera, zakupił najpiękniejsze kamienne płyty, pochodzące z rozbiórki kościoła w rewolucyjnym okresie. Wyłożono temi płytami przedpokój nabywcy. Stąpając po świętokradzko wydartym marmurze właściciel domu przy pierwszych zaraz krokach padł bez życia.

Uderzające zestawienie dat.

Pusta była plebanja w Fons-outre-Gardon (Gard) przez sześć miesięcy od chwili gdy proboszcza wygnano. Dom chciano wynająć, jednak lokatorów jakoś brakło, Nareszcie p. Augé, niepraktykujący już chirurg a stryj mera, objął plebanję w swoje posiadanie 19 czerwca 1907 r. Przenosiny na nową siedzibę obchodzono hucznie; w czasie biesiady wygłoszono liczne mowy przeciw duchowieństwu. W tem, o 4-tej po południu, mer pośpiesznie na plebanję wezwany został, zaś o 6-tej rano rozeszła się wśród publiczności wiadomość, że p. Augé ducha wyzionął.

(Almanach Pielgrzyma 1909—str. 32).

Uderzające zestawienie faktów.

Dnia 24 maja 1907 r. po południu dziekan z Montech (Tarn i Garonna) otrzymuje przez ko-

mornika rozkaz, wydany przez mera Fourcade, aby opuścił natychmiast dom służący za plebanję od stu pięćdziesięciu lat.

Wydalony dziekan znalazł schronienie pod wielce gościnnym dla niego dachem pewnej zacnej rodziny.

Dnia 24 maja 1908 r. o 4-ej po południu wyciągają zwłoki pana Fourcade z kanału, nad brzegiem którego znaleziono części jego ubrania. Opuścił on także swoją siedzibę ale bez modlitw Kościoła, bez pociechy Krzyża, nie unosząc w duszy nic, co niebo lub chrześcijańskie nadzieje przypomina, a lud pobożny porównywując dwie te daty odczuwał w nich Sprawiedliwość Bożą.

(Expres Zachodni lipiec 1908 r.)

Gdyby ojciec nie kupował!...

Czytamy w Univers z 14 lipca 1908 r.

Donosiliśmy niedawno o śmierci siedmioletniego synka p. Pawła Desjardins, wydawcy *Presse departamentale.* Obecnie otrzymujemy wiadomość, że biedne dziecko utonęło w obrębie Zagrody opactwa de Pontigny, którego nabywcą został ojciec jego, po wydaleniu ztamtąd prawnych właścicieli, jakimi byli zakonnicy Zgromadzenia Św. Edma.

Nagły zgon podczas rozdawania nagród.

Rano 23 lipca 1908 r. zmarł Wincenty Henryk Caviale b. radca miejski z radykalnej partji, b. dy-

rektor zawodowej szkoły rzemieślniczej w Versailles, a w czasach ostatnich dyrektor szkoły imienia Juljusza Ferry. Szkoła ta mieści się od półtora roku w Wielkiem Seminarjum Wersalskiem.

Śmierć nastąpiła rano, w dniu wyznaczonym przy pierwszem rozdawaniu nagród, w nieprawnie posiadanej nieruchomości.

(*Kalendarz Pielgrzyma* na 1909 r. str. 32).

Pogrzeb cywilny.

Dziennik *La Croix* umieszcza w numerze z dnia 11 grudnia 1908 r. następującą wiadomość:

„Odbędzie się dzisiaj pogrzeb cywilny p. Guillonneau, mera z Lisieux".

W mieście, w którem większość ludności jest głęboko religijną, pogrzeb najwyższego miejscowego dygnitarza odbył się bez udziału duchowieństwa, bo nie dostąpił on przebaczenia Bożego za swoje zachowanie się przy zniesieniu Małego Seminarjum, przez co stał się niegodnym obrządku religijnego. Warto też zwrócić uwagę na tę okoliczność, iż w dzień uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny zmarł nagle człowiek, który miał występną odwagę przepiłować figurę Niepokalanej Dziewicy znajdującą się w Małem Seminarjum.

Mieszkanie w plebanji szczęścia nie przynosi.

Z *La Croix z Tarn et Garonne* grudzień 1907 r.

Kilka miesięcy temu Rada Miejska z Lubersac

(Corréze) zasekwestrowała plebanje i wynajęła takową nauczycielowi ludowemu, który ożeniwszy się niedawno zamieszkał w plebanji wraz z rodziną swej żony. „Nie przypuszczałem nigdy, że zajmować będę sypialnię proboszcza“ mówił nauczyciel do żony.

Lecz wszystko stać się może, nawet wypadki najmniej spodziewane. Istotnie, po kilku tygodniach w tym samym pokoju żona powiła córkę niewidomą; położnica przez dni kilka pozostawała między życiem a śmiercią, nauczyciel zaś tamże zmarł nagle przed niedawnym czasem.

XXV.

Ręka Boża karząca Martynikę.

Jeżeli ręka Boża dosięga jednostki, Bóg wznosi też niekiedy potężne swe Ramię i gnębi narody, które nie będąc wieczne, na tej tu ziemi jeszcze odcierpieć muszą karę za swoje zbrodnie. Niegdyś Sodoma i Gomora zgładzone zostały przez ogień niebieski. Za co? Za zbrodnie, któremi gniew Boży na siebie ściągnęły.

Wolnomyśliciele, wypierając się Boga, kładą wszystkie katastrofy na karb zwyczajnych objawów i przyczyn: wywołują je według jednych przypadkowe zbiegi okoliczności, inni chcą w nich widzieć li tylko powody takie jak prądy elektryczne, cieplik ziemi lub niezbadane siły przyrody.

Dla ludzi wierzących dostateczną jest odpowiedzią: Bóg jest wszechmocny i potrafi, gdy zechce, wielkie i straszne zsyłać nauki. W tem orzeczeniu tkwi prawda. Siły przyrody są w ręku Stwórcy i na jego rozkaz czy zezwolenie ziemia trzęsie się i drży. Graniczyłoby niezawodnie z przesadą gdy-

byśmy się dopatrywali kary Bożej w każdej klęsce, wszelako zawsze postawić można pytanie: „Czy nie przyczyniliśmy się uczynkami naszymi do wzbudzenia gniewu Bożego?“

Z tem rozsądnem rozumowaniem spotkaliśmy się w miesięcznym Biuletynie Stow. św. Franciszka Salezego, wydawanym w djecezji lionskiej. (maj 1909 rok).

Martynika.

W tym oto miesięczniku czytamy:

„W Wielki Piątek, poprzedzający katastrofę, banda masonów z Saint-Pierre ulepiwszy figurę, mającą przedstawiać Chrystusa, umieściła ją na biesiadnym stole, suto zastawionym mięsiwem; następnie zanieśli ową figurkę na szczyt góry Mont-Pelé, zkąd rzucili ją w głąb krateru.

Prawie jednocześnie nastąpił wybuch wulkanu. Wynikiem tej katastrofy była śmierć 40,000 ofiar.

Zadano kłam świętokradzkiej komedji i nie przyznano się do niej, atoli przeprowadzone śledztwo, u zasługujących na wiarę niedobitków stolicy, ustaliło ów fakt bezwzględnie. Byłaż to kara? Kto wie... Bóg jest wszechmocny i pomścić może uczynioną Mu zniewagę!“

XXVI.

Ręka Boża karząca Włochy.

Messyna.

Ze wszystkich plag trapiących ludzkość jedną z najsroższych jest trzęsienie ziemi, bo to nauka dana już nie pojedyńczym osobom ale wielkiemu zbiorowisku ludzi.

Czy nie widzimy dosadnej wskazówki w żywiołowej klęsce, która rankiem 28 grudnia 1908 r. niosła ze sobą śmierć i żałobę dla 300,000 istot rozsiadłych nad brzegiem mesyńskiej zatoki?

Czyż nie z woli Boga olbrzymi stos ludzkich ciał złożony był na ofiarę za Włochy, za tę krainę gdzie związki sekt piekielnych tak się rozprzestrzeniły?

Trudno, zaiste, wstrzymać się tutaj od smutnych zestawień. Wszak z Sycylji wyruszyła partja zebrana przez Garibaldiego, wszak awanturnik pod Reggio pierwszą wygrał bitwę, na skutek której nastąpiło zjednoczenie Włoch i grabież Stanów Państwa Kościelnego. Jest że to istotnie zbieg okolicz-

ności jedynie? Przytoczymy na tem miejscu poważne świadectwo, ułatwiające nam aż nadto rozwiązanie zagadki jaka z katastrofy wynikła.

Nazajutrz po klęsce ogłoszono list wzruszający swoją prostotą; ukazał się on najpierw w *Corriere d'Italia* poczem powtórzyła go cała włoska prasa, nigdzie zaprzeczenia nie napotykając:

„W niedzielę, poprzedającą noc pamiętną, wrogowie duchowieństwa wydali ostry rozkaz dzienny przeciw Religji, — pisze ksiądz Claudio, redaktor *Scintilla* w Messynie — z tej okoliczności nie wyciągam wniosku, wszelako zaznaczyć ją muszę.

Il Telefono, humorystyczne pismo, drukowane w Messynie, które odznaczało się zawsze antireligijnym prądem, dało w numerze wydanym w dniu Bożego Narodzenia wstrętne przeistoczenie nowenny do Dzieciątka Jezus. Między innemi zwrotkami czytało się co następuje!

O dzieciątko moje,
Człecze prawdziwy i Boże,
Z miłości dla Twego krzyża
Odpowiedź na nasze wołanie.
Jeśliś Ty nie jest mytem,
Trzęsieniem ziemi daj znak widomy.

„Dziś po okrutnej katastrofie nie podobna wspomnieć tej zwrotki bez drżenia.“

Słowa zawarte w owym dokumencie nie tylko zaprzeczeniu nie uległy ale obecnie jeszcze silniejsze znalazły potwierdzenie.

Przedewszystkiem oglądano w Paryżu numer *Il Telefono* z 27 grudnia wydany w Messynie, przekonano się zatem naocznie, iż mieści się w nim ohydne bluźnierstwo, rzucone w twarz Bożego Dziecięcia, w tych właśnie zuchwałych słowach, w jakich je podano uprzednio.

W *Univers* czytamy w tej kwestji: „Ponieważ kilka osób powątpiewało w prawdziwość tej rzeczy, jesteśmy w możności powiedzieć, iż mieliśmy w ręku numer pisma *Il Telefono* z datą 26 — 27 grudnia 1908 r. W numerze tym na drugiej stronnicy a dziesiątej szpalcie, umieszczona jest między innemi strofka o trzęsieniu ziemi. Autor przeistacza nowennę do Dzieciątka Jezus; w modlitwie z tego samego dnia prosi Boga o zesłanie trzęsienia ziemi, mówi też o cholerze.

Ów człowiek stracił podczas katastrofy wszystkich członków swojej rodziny, sam zaś zwarjował.

Prócz tego ks. Claudio napisał do gazety *La Croix* drugi jeszcze list popierający dawne jego orzeczenie, udzielił nadomiar szczegółowszych objaśnień.

Oto co pisze:

„Przeczuwana była olbrzymia klęska, która spowodowała zniszczenie Messyny; ostrzegano z ambony mieszkańców okolicy, lecz dzięki bezbożnej szkole, dzięki bluźnierstwu, zepsuciu obyczajów, a nadewszystko dzięki bezbożnej prasie, która lżyła rzeczy najświętsze, miasto doszło do stanu opłakanego.

„Zdaje mi się, że na sprowadzenie gniewu Bożego bezczynna obojętność katolików podziałała w większej mierze niż bezbożność złych ludzi.

„Ogół rozchwytywał pismo *Il Telefono*, odbijane w 25 tysiącach egzemplarzy; pomieszczane w nim koncepty nęciły wszystkich, choć nacechowane były bezwstydnem bluźnierstwem przeciw Bogu i Najświętszej Pannie. Drukowano tam często listy do Boga Ojca, pełne grubiańskich obelg i karykatur. Ogłoszono też wiersz zohydzający Niepokalane Poczęcie, rzecz o treści niesłychanie sprośnej.

„A pomimo to nikt z katolików głosu oburzenia nie podniósł! Wszak pisano niejednokrotnie, drukowano raz po raz słowa: „Bądźmy baczni na karę Bożą!...“ I spadła kara!... „Zacznę od mego domu,“ mówi Bóg w piśmie świętem; runęły więc nasamprzód kościoły, z których kamień na kamieniu nie pozostał. Z wyświęconych przez biskupa Arigo księży jeden tylko zdołał uniknąć nieszczęścia. Któż utrzymał się przy życiu? Wyłącznie prawie ludzie najstarsi i kalecy.

„Ci zaś, którzy czynili duchowieństwu zarzut, iż nie było obecne w chwili katastrofy, zastanowić się winni nad tem, że księża zdolni dać najpoważniejszą pomoc, sami też padli ofiarą klęski.

„Jak wzmiankowałem już w poprzednim liście z 27 grudnia 1908 r. z racji wniosku bezbożnego klubu *Giordano Bruno* odbyła się w Messynie narada, na której zatwierdzono rozkazem dziennym, iż

w Messynie dla obalenia religji wszelkie miary będą użyte. Nazajutrz Messyna legła w gruzach.

„Catane, styczeń 1909 r.

„ks. Wincenty Claudio.

Powtórzymy za Tygodnikiem katolickim z Seez „iż wobec takiego nieszczęścia ludzie powinni przyjąć najodpowiedniejszą na razie taktykę, mianowicie należałoby im uderzyć w pokorę i modlić się gorąco, w czem znajdą nadzieję i ukojenie. Te przerażające katastrofy, zapowiedziane zresztą przez Syna Bożego, jako zwiastuny końca świata, dla nas są tajemnicą podwójnie świętą; my wiemy tylko, iż Bóg w niedościgłym rozumie swoim ze sprawiedliwości i miłosierdzia jedną tworzy całość.

Co by on tym razem powiedział?

Na drugi dzień po katastrofie mesyńskiej jeden z polityków napisał w sposób szyderczy:

„Czemuż to Opatrzność zesłała nieszczęście na nich a nie na nas: *odłączonych, zbuntowanych bezbożników....*“ Otóż trzęsienie ziemi w południowej Francji miało miejsce w okolicy dobrze znanej zuchwałemu bluźniercy....

Co by on tym razem powiedział?

DODATEK.

W czwartem wydaniu niniejszej, książki, które dopiero kilka miesięcy temu ukazało się, znajdujemy jeszcze opowiedziane następujące wypadki, które dla całości obrazu przytaczamy.

„Widzę djabła".

Właścicielka hotelu w Vichy opowiadała często o wstrząsającem wydarzeniu, którego była naocznym świadkiem:

„Niegdyś, opowiadała ona, mieszkał u mnie pewien chory, któremu kuracja i wody Vichy tak bardzo szkodziły, że doktor powiedział mi: „Masz pani bardzo niebezpiecznie chorego człowieka, niewiele mu już życia pozostaje, należy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności".

„Obawiając się, żeby chory nie umarł bez pojednania się z Bogiem, udałam się do niego, przedstawiłam stan groźny i ofiarowywałam się przywołać księdza. Chory wpadł w wielki gniew i zaczął złorzeczyć Bogu i jego sługom. Nie przywykła do takich przekleństw czemprędzej oddaliłam się, cała drżąca z oburzenia.

„Wszakże na powtórne zapewnienie lekarza co do zdrowia chorego, które jeszcze się pogorszyło, poszłam odwiedzić go i znów przypomnieć o pojednaniu się z Bogiem; przyjęcia doznałam takiego jak za pierwszym razem.

„Rozpoczęłam moje namowy i perswazje: gwałtowna scena powtórzyła się: gdy nagle bezbożnik przerwał przekleństwa i krzyknął przeraźliwie: *„Widzę djabła!* Przybliża się do mnie, jest już na moim łóżku, dusi mnie". Po tych słowach rzucił się gwałtownie na łóżku i wydał ostatnie tchnienie".

„Wobec tego strasznego wypadku, wszyscy uznali, że „Palec Boży go dotknął!"

Kilku młodych ludzi zamierzyło ufetować tego, kto odważy się u drzwi kościoła św. Cezarego (Alpy nadmorskie) znieważyć Boga, podczas nabożeństwa do Serca Jezusowego, które codziennie odbywa się tam przez miesiąc czerwiec o godzinie ósmej wieczór.

Zamiar niegodny miał być spełniony. W dniu 7 czerwca, podczas odczytywania aktu poświęcenia, we drzwiach kościoła dały się słyszeć straszne złorzeczenia i bezbożne wymysły. Oburzenie ludu dosięgło szczytu, a potępienie haniebnego postępku było ogólne.

W sobotę rano dowiedziano się, że jeden młodzian z tej bezbożnej kompanii, którego imię, jak również i jego towarzyszy, zataimy ze względu na to, że należeli do rodzin ogólnie szanowanych, uległ wypadkowi w warsztatach elektrycznych de la Foux.

W samej rzeczy, opuszczając pracę, nierozważny młodzieniec chciał zapalić papierosa pod prądem elektrycznym 10.000 volt napięcia i padł jednej chwili rażony.

Nieszczęśliwa ofiara własnej nieostrożności i lekkomyślności, za zezwoleniem doktora Berietti, przeniesiona została do szpitala w Grac, gdzie po trzech dniach, pojednawszy się z Bogiem, życie zakończyła.

Następnej niedzieli odbyło się uroczyste nabożeństwo wynagradzające za znieważenie domu Bożego, któremu towarzyszyły gorące modły wiernych, wznoszone za bezbożników.

I jeszcze wymagamy cudów! *Wobec tego strasznego wypadku, wszyscy uznali że: Palec Boży dotknął nędznika!*

(„*Krzyż Alp Nadmorskich*“, dnia 19 czerwca 1910 r.).

„Rozkazał ryczeć osłowi przy ołtarzu, a teraz uległ temu samemu losowi“.

List, który podajemy poniżej, chociaż pisany był przed półwiekiem, nie stracił na swej wartości, zawdzięcza zaś to dramatycznemu wypadkowi, jaki opisuje:

Montpellier, d. 11 sierpnia 1859 r.

Do księdza redaktora *Rosier de Marie*.

Czcigodny Ojcze!

„Niniejszym donoszę Czcigodnemu Ojcu o fakcie, który może być z łatwością potwierdzony licz-

nemi świadectwami naocznych świadków, żyjących jeszcze dotąd w owej miejscowości, zasługujących na wiarę, którzy widzieli na własne oczy profanatorów i patrzyli na ich późniejsze nieszczęścia i cierpienia.

„Po rewolucji 1788 r., podczas rządów terorystycznych, kościoły wszędzie były profanowane.

„W Gigean, wiosce położonej o 18 kilometrów od Montpellier, tłuszcza zawładnęła świętem miejscem i działy się tam gorszące zajścia.

„Z pomiędzy wszystkich tych szaleńców wyróżniało się trzech głównie, z których pierwszy za jednym zamachem szabli, odrąbał głowę figurze Chrystusa; drugi stanął przed ołtarzem Najświętszej Panny Niepokalanego Poczęcia i złorzeczył w sposób niegodny, a trzeci sprowadził osła swego i rozkazał mu wskoczyć na ołtarz. Biedne zwierzę, podżegane biciem i krzykiem niegodnego pana, zaczęło ryczeć przeraźliwie, a nędznik podniecał go jeszcze, wykrzykując w języku ludu: *„Canta la messa, canta la messa: śpiewaj mszę, śpiewaj mszę!“*

„Kiedy zaburzenia ustały, po kilku latach trzej ci niecni świętokradzcy uspokoili się i każdy zabrał się do pracy około roli.

„Wszyscy oni podlegli dziwnym przygodom, które nazwać można karą Bożą. I tak: pierwszy z nich, ten, który od jednego zamachu odciął szablą głowę figurze Chrystusa, wracając z winnicy do domu spadł z osła i złamał szyję. Wyleczył się, lecz nigdy już w życiu nie mógł podnieść głowy i oglą-

dać nieba; do końca życia głowa zwisała mu na piersi.

„Drugi, który lżył Naśw. Dziewicę, został dotknięty chorobą nieuleczalną: umarł, gnijąc za życia.

„Nareszcie trzeci z nich, ten właśnie, który rozkazał osłowi sprofanować ołtarz rozchorował się na chorobę straszną i dziwną, której rozum ludzki odgadnąć nie umiał. Zachował zdolności umysłowe, władał wszystkimi członkami, pomimo tego leżał przez długie lata na łożu boleści, wydając dniami całymi i nocami przeraźliwe, rozdzierające krzyki, które nie miały w sobie nic ludzkiego. Można by je było porównać raczej z najstraszniejszym rykiem lwa. Gdy nadchodziły noce, głos ten, przerywając ciszę wiejską, rozbudzał i straszył dzieci; rodzice uspakajali je mówiąc: „Nie bójcie się dzieci, to pan X... tak jęczy i ryczy, *niegdyś kazał osłowi ryczeć w kościele przy ołtarzu, a teraz sam ryczy*".

„Ten właśnie był ostatnim z tej godnej trójcy. Dzieci, które wówczas po nocach drżały ze strachu, dziś żyją jeszcze i jako ludzie dojrzali mogą zaświadczyć o prawdzie słów moich.

Hialtor.

Nagły zgon świętokradzcy.

W Edinghausen, wiosce położonej niedaleko Bielfeld w Prusach Nadreńskich, pewien bezbożnik chciał wydrwić Najświętszy Sakrament. Usiadł do stołu wraz z godną kompanją przyjaciół i, ująwszy chleb i wino w ręce, wypowiedział słowa, wymawia-

ne podczas konsekracji: Oto jest ciało moje, a oto jest krew moja.

Po wypowiedzeniu tych słów w sposób szyderczy, podzielił chleb i wino pomiędzy towarzyszy i powiedział: „Pożywajcie to wszyscy“.

Kiedy obdzielił wszystkich i sam miał się jeszcze zabrać do spożycia owego chleba i wina, nagle dostał silnego zawrotu głowy i upadł bez czucia.

Po kilku chwilach wyzionął ducha.

Stało się to dnia 15 stycznia 1807 r. Nędznik pogrzebany został w niepoświęconej ziemi po za murami cmentarza.

(Schmid, *Katechizm historyczny).*

Gałązka uwięzła mu w gardle, poraniła ten sam język, który niedawno był narzędziem strasznej zbrodni.

W 1831 roku w Paryżu, w dzielnicy Bagno, mały chłopiec, godny uczeń tych szkół, które nietylko są bezwyznaniowe, lecz wprost bezbożne, przygotowywał się do pierwszej Komunji. Kilku kolegów żydów i protestantów wyśmiewało się z niego, albo, lepiej powiedzieć, wspólnie wyśmiewali się z Najświętszego Sakramentu, który wkrótce miał przyjmować. Namówili go, żeby Hostję ukrył przy sobie i im następnie pokazał.

Nieszczęsny malec dotrzymał słowa. Ukląkł wraz z innymi do Stołu Pańskiego, otrzymał Komunję św. i powrócił na pierwotne swe miejsce.

Jeden z chłopców, który klęczał obok, zauważył, że wyjmuje on coś z ust i zawija w papier.

Przeszło mu zaraz przez myśl, że może to być świętokradztwo. Pod wrażeniem tem, uniesiony gniewem, podniósł się, poszedł do księdza, i wyznał mu co widział przed chwilą.

Mały świętokradzca, drżąc cały, pod wrażeniem spełnionej zbrodni, domyślając się, że został podpatrzony, nie śmiał zachować przy sobie Hostji św. i rzucił ją na ziemię, pod ławkę, sam zaś wraz z innymi opuścił kościół po ukończonem nabożeństwie.

Proboszcz i wikary odrazu po Mszy św. byli o tem zdarzeniu zawiadomieni.

Znaleziono Najśw. Sakrament obwinięty w papier i podeptany nogami i ze ścieśnionem sercem odniesiono go do tabernakulum.

Po trzech miesiącach Syn Boży pokazał małemu Judaszowi, że bezkarnie nie znieważa się Eucharystji. Uczeń pojechawszy na wakacje do rodziców, spadł z wysokiego drzewa; *gałązka uwięzła mu w gardle i poraniła ten sam język, który niedawno był narzędziem tak strasznej zbrodni.* Tegoż samego wieczoru zmarł bez żalu za grzechy, bez sakramentów, w przystępie jakby szału.

Mgr. de Ségur.

„Matko! zniewoliłaś mnie do świętokradzkiej pierwszej Komunji! Idę do piekła... Twoja to wina".

Niżej opisany wypadek opowiadał gorliwy misjonarz zakonu Braci Mniejszych w Wersalu, który sam był naocznym jego świadkiem.

„Pewnego dnia w roku 1859, w miesiącu poświęconym Najśw. Marji Pannie, miałem kazanie misyjne w kościele djecezjalnym. Bóg błogosławił nam widocznie, bo każdego dnia kościół bywał przepełniony, nawracania były liczne i szczere. Czcigodny proboszcz pozostawił pierwszą Komunję dzieci na dzień zamknięcia misji.

Na tydzień przedtem wskazano mi trzynastoletniego chłopca, wierutnego nicponia, który przygotowywał się obojętnie i nie mógł być dopuszczonym do Sakramentu Komunji św. Był to godny syn swoich rodziców, którzy nigdy nie przestępowali progu kościoła i nie uczestniczyli w misjach. Pierwsza Komunja była dla nich tylko formalnością, której z konieczności dla oka ludzkiego poddać się musieli.

Nadszedł dzień ostatecznego egzaminu, wezwałem małego nicponia. Nic nie umiał, na wszystkie pytania dawał zupełnie sprzeczne odpowiedzi, niepodobieństwem było przyjąć go. Powrócił do domu zawstydzony, z płaczem. Gdy matka dowiedziała się, że postanowiliśmy niedopuścić malca do pierwszej Komunji, wpadła w wielki gniew na mnie, na proboszcza, na religję wogóle, na własnego syna, na wszystkich wreszcie.

— W każdym razie, zawołała, przystąpisz do Komunji, ubranie masz już kupione. Pomimo, że ci nie pozwalają, przystąpisz!

Dziecko odpowiedziało:

— Ależ oni nie dadzą mi rozgrzeszenia!

— Co mię to może obchodzić? Pójdziesz do

Komunji bez pozwolenia spowiednika. Wszystko to są głupstwa. Nie będziesz się spowiadał, zabraniam ci nawet, ubiorę cię w nowe, ładne ubranie, pójdziesz razem z innymi i przystąpisz do Komunji. Nie spostrzegą tego księża, a my pozbędziemy się kłopotu.

Dziecko uspokoiło się i postanowiło lekkomyślnie aby, nie obudzać gniewu matki, zastosować się do jej rady.

Nie spowiadał się wcale; w dniu oznaczonym ubrał się w nowe ubranie i podczas sumy wcisnął się nieznacznie pomiędzy inne dzieci, przybliżył się z kolei do Stołu Pańskiego, otrzymał, niepoznany, z rąk moich, Komunję i powrócił na swoje miejsce...

Nie upłynęło więcej jak kilka minut, gdy nagle padł bez czucia. Wyniesiono go, a my, nie wiedzieliśmy początkowo nic o tem, mając bardzo dużo zajęcia w kościele, z licznie komunikującymi i tłumem ludzi nieustannie wchodzących i wychodzących.

Po Mszy i po ukończeniu ceremonji, która odbyła się wspaniale, wywołano mię czemprędzej do zakrystji:

— Ojcze, chodź prędko, jedno z dzieci, przystępujących do pierwszej Komunji, dostało konwulsji i umiera!

Biegnę, jak mogę najprędzej, wchodzę do domu, widzę dziecko, leżące na łóżku matki, która stara się uśmierzyć jego cierpienia.

Gdy mię zobaczył, odwrócił się prędko do ściany i zawołał:

— Nie, nie, nie chcę! Nie!

Pomimo protestu, przybliżam się, staram się go uspokoić łagodnemi słowy. Nie mogłem pojąć co się stało, matka ze strachem i rozpaczą opowiedziała mi wszystko. Oniemiałem ze strachu.

Wtem konwulsje u dziecka wzmogły się, uniósł się w górę spojrzał na matkę i głosem chrapliwym i urywanym wypowiedział straszne te słowa:

– *Matko, zniewoliłaś mię do świętokradzkiej pierwszej Komunji... idę do piekła... Twoja to wina!*

Za chwilę w moich oczach wydał ostatnie tchnienie.

Gwałtowne boleści sprowadziły śmierć świętokradzcy.

Klasztor Urszulanek miał być założony w Ameryce: postanowiono, że przy klasztorze będzie otwarty pensjonat, powierzony opiece zakonnic, które miały starać się o rozszerzenie swego zakonu. Biskup zakupił na ten cel piękną posiadłość Mont Benedict. leżącą o milę od Charlestownu, małej mieściny, stanowiącej przedmieście Bostonu.

Sióstr przybyło ośm i zdawało się, że liczba ta się znacznie powiększy, dzięki ofiarności mieszkańców. Lecz pewnej nocy d. 11 sierpnia 1834 roku ludność heretycka, podniecona intrygami niektórych swoich pastorów, zbuntowała się w Charlestownie. Do buntowników przyłączyło się wielu zapaleńców z Bostonu, i cały ten tłum groźny z krzykiem i złorzeczeniem pośpieszył do Mont Benedict.

Klasztor cały pogrążony był w głębokim śnie.

Na krzyki, dochodzące z zewnątrz, hałas straszny, dobijanie się i wyłamywanie drzwi, zakonnice przebudziły się, ale zanim zdołały przyodziać się cokolwiek i uprzedzić pensjonarki o niebezpieczeństwie, płomienie groźnego pożaru przedarły się do ich celek. Wybiegły na pół ubrane, gdy rabusie niszczyli i grabili kościół i klasztor.

Płomienie ogarnęły wkrótce wszystkie zabudowania, które zawaliły się wraz z kościołem sprofanowanym.

W zamięszaniu tem całem jeden z fanatyków wspiął się na ołtarz, wsypał, świętokradzką ręką, Hostje św. do kieszeni, a spełniwszy ten czyn niegodny, zagorzały ów kalwin, udał się do oberży w Charlestown. Pomiędzy ciekawymi, którzy nadbiegli, aby zobaczyć nędznika, znalazł się pewien irlandczyk, katolik, który przypatrywał się mu, zdjęty ogromną trwogą. Bezbożnik znał go, wyjął z kieszeni kilka Hostji św. i rzekł z pogardą:

— Patrz, oto jest twój Bóg!

Irlandczyk oniemiał z przestrachu i oburzenia. Wtem gwałtowne boleści zmusiły świętokradzcę do natychmiastowego oddalenia się.

Przechodzi pół godziny, godzina cała, nie powraca nędznik...

Strach nieokreślony ogarnia towarzyszy. Dziwne przeczucie mówi im, że stało się coś nadzwyczajnego; idą na poszukiwanie i znajdują go martwego, na podobieństwo herezjarchy Ariusa,

w ustępie. Trudno wypowiedzieć wrażenie, jakiego doznali protestanci.

Irlandczyk pośpieszył tam również i uwielbiał w sercu swem boską sprawiedliwość; odciął umarłemu kieszeń, osłaniającą święte postacie, i, pozostawiając wszystkich, jakby przykutych w około nieboszczyka, pobiegł do katedry i powierzył święty skarb biskupowi.

(*Roczniki szerzenia wiary św.* Listopad 1847 r.)

„Trup jego osunął się do stóp tych, którzy nieśli Najśw. Sakrament."

W 1832 roku proboszcz z Sèvres, miejscowości leżącej pod Paryżem, przychylając się do gorących próśb swych parafjan, postanowił urządzić w dzień Bożego Ciała uroczystą procesję, która nie odbywała się od czasów rewolucji lipcowej.

W chwili, kiedy wynoszono z kościoła Najśw. Sakrament, bluźnierca jakiś, ukryty w kruchcie, lżył głośno boską Eucharystję: „Patrzcie, patrzcie, wołał szyderczo, oto jest ich Bóg z papieru!"

Probował zbiedz, lecz lud oburzony rzucił się na niego, popchnął go z całej siły; oburzenie ogólne było tak silne, że mogło się dla nędznika źle skończyć, gdyby wikary nie ochronił go i nie ułatwił ucieczki. Odchodząc, odgrażał się złowrogo i powiedział:

„Na przyszły rok zobaczymy jak to będzie!...

Następnego roku w dniu Bożego Ciała, podług

obietnicy, powtórzyły się te same bluźnierstwa i w temże samem miejscu, przy wyjściu procesji z kościoła.

Lecz tym razem już nie wikary, nie lud, lecz sam Bóg wdał się w tę sprawę; nędznik skonał z bluźnierstwem na ustach, *trup jego osunął się do nóg tych, którzy nieśli Najśw. Sakrament.*

Wiadomość tę otrzymałem od jednego z moich przyjaciół, któremu proboszcz z Sèvres zdarzenie to opowiadał ze wszystkiemi szczegółami. Kraj cały, chociaż nie odznaczający się zbyt wielką i gorącą wiarą, przez dni kilka przejęty był grozą.

Mgr. de Segur.

„Chodźmy na nieszpory do rzeki Viam."

Było to na początku września 1853 roku. Pewnej niedzieli kilkunastu młodzieńców zebrało się w miejskiej oberży w okolicy Rodez, w miejscowości Flavin, właśnie wtedy, gdy dzwoniono na nieszpory.

Jeden z nich zaproponował, żeby udać się do kościoła, ale drugi zaczął się z niego wyśmiewać i powiedział: *„Chodźmy na nieszpory do rzeki Viam."*

Zdania podzieliły się; kiedy opuścili oberżę, część udała się do kościoła, pozostali poszli ku rzece.

Bezbożnik który zdecydował, że kąpiel jest więcej warta niż nieszpory, wskoczył pierwszy do wody i zwrócił się nierozważnie wprost na głębię, lecz pływać nie umiał. Towarzysze wystraszeni spo-

strzegli niebezpieczeństwo, przywoływali go głośno, lecz było zapóźno: już przepaść pochłonęła śmiałka i dusza jego stanęła przed sądem Boga.

Wypadek ten stał się nauką dla wielu ludzi, którzy powrócili do dawnych swych pobożnych praktyk; wielu z nich zaczęło uczęszczać na nieszpory.

„Ludność jest wystraszona.“

W Montagne St. Georges (Gironde) małżonkowie Michaux, lekceważąc dzień świąteczny, każdej niedzieli przez cały dzień zajmowali się winobraniem. Raz wieczorem, ich dziewięcioletni wnuk wszedł do piwnicy, by pognieść jagody, lecz upadł i udusił się. Dziadka i babkę, którzy przybiegli na ratunek, spotkał ten sam los. *Ludność jest wystraszona;* oby zrozumiała przestrogę, jaką Bóg jej przez ten straszny wypadek zesłał!

Tydzień katolicki w Seez, 1884 r., str. 709.

„Ach! gdyby ci trzej młodzieńcy byli poszli na Mszę św. jakiegoż strasznego nieszczęścia byliby uniknęli!“

W tygodniku wychodzącym w Nevers „La Semaine Religieuse“ z miesiąca lipca 1887 r. czytamy:

Straszny wypadek, który wstrząsnął całą prowincją, wydarzył się w Champvert w niedzielę w dniu 17 lipca tegoż roku.

Podczas sumy, gdy właśnie dzwoniono na

Sanctus, czterech młodzieńców pobiegło do rzeki Aronu do kąpieli. Jeden z nich był to Karol Buisson, lat 18, drugi Ludwik Renard, lat 19 i trzeci Franciszek Barbier, 25 lat, jedyny opiekun i podpora ubogiej matki, wdowy. Wszyscy trzej przybywszy nad rzekę niebacznie wskoczyli do wody, porwał ich w jednej chwili silny prąd i uniósł na wielką głębię, dosięgającą siedmiu metrów. Wszyscy trzej poszli odrazu na dno i więcej nie wypłynęli.

Czwarty z nich, Ludwik Foblerot, który jeszcze pozostał na brzegu, przeląkł się bardzo i sam nie wiedział co robić; gdy oprzytomniał pobiegł czemprędzej do miasteczka, wzywając pomocy. Wychodzono właśnie z kościoła; wszyscy rzucili się tłumnie ku rzece, lecz nic już poradzić nie można było; po dwugodzinnych poszukiwaniach, udało się odszukać ciała nieszczęśliwych i nieoględnych młodzianów i wydostać je na brzeg.

Jakiż to był wzruszający i straszny dzień, a jakże przytem pouczający! *„Ah! gdyby ci trzej młodzieńcy byli poszli na Mszę św., jakiegoż strasznego nieszczęścia byli uniknęli.“*

Tejże właśnie niedzieli proboszcz miejscowy podczas kazania, przypomniał parafianom, że nieuszanowanie dnia przez Boga uświęconego tj. niedzieli, może sprowadzić zasłużoną karę.

„Bóg cię ukarze nędzniku, za twoją niedzielną pracę!“

„Observateur du dimanche,“ (tygodnik poświęcony święceniu niedzieli), z miesiąca czerwca 1910 r.

mówi, że parafja sąsiadująca z Toul była naocznym świadkiem strasznej kary Bożej. Woźnica, który nigdy nie obserwował niedzieli ani święta, zabrał się pewnej niedzieli do wożenia kamieni, do nowobudującej się sali tańca. Na drodze spotkała go bogobojna osoba i powiedziała: *„Bóg cię ciężko ukarze, nędzniku, za twoją niedzielną pracę.“* Czy nie boisz się potępienia wiecznego? Niegodziwiec ten zaczął strasznie bluźnić i wreszcie odpowiedział: „Ba! piekło jest już oddawna przepełnione!“ Gdy słowa te wypowiedział, padł martwy na ziemię. Przed dwoma tygodniami czcigodny proboszcz wymawiał mu, dlaczego nigdy nie widuje go w kościele, on odpowiedział: „Zobaczysz mię proboszczu za dwa tygodnie w kościele, gdy mię tam poniosą.“ Nędznik ten jakby przeczuł i przepowiedział śmierć swoją, gdyż istotnie nie upłynęło dwa tygodnie, a ciało jego zaniesiono do kościoła. Lud cały wobec tego przykładu wielkiej sprawiedliwości Bożej, która na miejscu ukarała grzesznika, przejęty był uczuciem trwogi i uwielbienia zarazem.

Jeszcze dwa wypadki na kolei w niedzielę.

W dniu 16 listopada 1908 roku, na stacji Grisolle (Tarn-et Garonne) wykoleił się pociąg; dziesięciu podróżnych poniosło śmierć na miejscu, pięćdziesięciu zostało mniej lub więcej poranionych.

W chwili kiedy to piszemy, dnia 15 sierpnia 1910 roku, nadeszła równie wstrząsająca wiadomość o katastrofie na kolei, która miała miejsce ostatniej

niedzieli w Saujon, małej stacyjce w pobliżu Royan (Niższa Charante). Przez mylne nastawienie zwrotnicy 38 osób zostało zabitych i wyrzuconych z pociągu spacerowego. Tak surową karę podobało się spuścić najwyższemu Sędziemu na gwałcących dzień świąteczny.

Niestety! Iluż to jeszcze ludzi niebacznych może znów wkrótce uledz temuż losowi!

Wniosek z tego jest następujący:

Unikajcie podróży w niedziele i święta, o ile to jest w waszej mocy. Jeżeli już koniecznie musicie jechać koleją w ten dzień, nie zapomnijcie wzbudzić w sobie i odmówić akt skruchy, który jest najlepszym środkiem ostrożności.

Estote parati.

Sprawiedliwość Boska nie mogła ociągać się z pomszczeniem za zniewagi i bluźnierstwa względem Niepokalanego Poczęcia Najśw. Dziewicy.

Zeszyt *Wszechświatu* z dnia 21 marca 1855 r. opowiada o fakcie następującym.

W Berchtesgadon, w Tyrolu, pewien młodzieniec, dumny ze swego urodzenia i majątku, gdy znalazł się z towarzyszami w kawiarni, zaczął wydrwiwać w nieprzyzwoity sposób Niepokalane Poczęcie Najśw. Marji Panny; obecni wszyscy wielce byli tem zgorszeni. *Sprawiedliwość Boska nie mogła ociągać się z pomszczeniem zniewagi i bluźnierstwa względem Niepokalanej Dziewicy.*

Bezbożnik, gdy już dosyć nabawił się i naśmiał w kawiarni, zadowolony sam z siebie i jeszcze z uśmiechem na ustach opuścił wesołą kompanję, wsiadł na konia, aby powrócić do domu. Droga wypadała mu właśnie obok figury Najśw. Dziewicy, jakich pełno jest w tej prowincji, słynącej z pobożności i głębokiej wiary. W tej chwili kiedy przejeżdżał koło figury, koń potknął się i zrzucił jeźdźca, który runął u stóp Najśw. Marji. Upadek był tak silny, że znaleziono go następnie leżącego bez czucia, z piersią przebitą, broczącego we krwi. Na trzeci dzień po wypadku umarł, nie odzyskawszy przytomności.

„Nic już nie widzę!"

W jednym z artykułów dziennika *Grota w Lourdes* (La Grotte de Lourdes) poświęconych świątyni, wystawionej przez katolików belgijskich w Ostacker, ku czci Najśw. Marji Panny słynącej cudami w Lourdes, mieści się wspomnienie o niezwykłem wydarzeniu, podczas jednej z początkowych pielgrzymek do tego cudownego miejsca: brzmi ono tak:

„Działo się to latem 1873 r, wkrótce po rozgłoszeniu przez pierwsze pielgrzymki do Ostacker sławy cudów Najśw. Marji Panny z Lourdes. Kilku młodych bezbożników udało się tam także, aby wyszydzić pielgrzymów i Najśw. Dziewicę. Role mieli podzielone. Jeden z nich, udając ślepego, miał udać się do groty i źródła, żeby się obmyć, a na-

stępnie zawołać: „Nagle wzrok odzyskałem.“ Lecz o cudzie boski! Kiedy towarzysze zapytali go ze śmiechem: „Czy jeszcze nie przejrzałeś? On tylko głosem złamanym i przytłumionym odpowiedział: *„Nic już nie widzę!..* Jestem ślepy!...“

„Zapewne zapytacie się, co się stało z owym młodzieńcem? Pozostał on ślepym aż do śmierci, która nastąpiła w 1907 roku w Brukselli; umarł nie pojednany z Bogiem... Imię jego jest wiadome, lecz ukrywamy je przez wzgląd na jego szanowaną i prawdziwie chrześcjańską rodzinę.

„Kilkunastu naocznych świadków tego zdarzenia żyje jeszcze dotąd w Sootendries i chętnie opowiada wszystkie szczegóły każdemu, kto ich o to zapytuje.“

Umarł ugodzony kulą w serce.

Przed kilkudziesięciu laty pewien nicpoń zasługujący na pogardę, dla dogodzenia nizkiej zemście, kilkakrotnie strzelał do figury Najśw. Panny z Lourdes, wznoszącej się, w Passe-Lourdin, w parafji św. Benedykta, w pobliżu Poitiers, ufundowanej przez panią de la Mardière. Kula trafiła *w serce*, pozostawiając bliznę, do dziś dnia jeszcze widoczną. W trzy lata po tem wydarzeniu, świętokradzca ów, który pochodził z innej okolicy, *umarł* w Saint-Benoit, w rocznicę tego fatalnego strzału, *ugodzony kulą w serce*, z ręki mordercy. Figura Najśw. Panny znajduje się dotąd w posiadaniu pro-

boszcza w Saint-Benoit, ciesząc się czcią i poszanowaniem wiernych, którzy zawsze odchodzą od niej pocieszeni i wysłuchani.

„Wymagałeś cudu, a czem objaśnisz ten wypadek?..“

La Croix du Tarn (Krzyż z Tarn) przytacza następujące zdarzenie:

W Alban, w djecezji Albi, znajdują się kamieniołomy, z których górnicy wydobywają kamienie. Rozbijając skały, niektórzy robotnicy jednocześnie roztrząsali ostatnie pielgrzymki do Lourdes. Jeden z nich sam odwiedził cudowną grotę i zdawał sprawę ze swego pobytu. „Głupi jesteś, odpowiedział mu drugi, pokaż nam cuda, wówczas umierzę.“

Rozmowa taka czas jakiś się toczyła, pielgrzym bronił Najśw. Dziewicy, towarzysz jego przeczył, a większość brała stronę pielgrzyma i Najśw. Panny z Lourdes.

Niedowiarek wygłosił ostatnie bluźnierstwo, drwiąc z odwiedzających grotę, gdy w tejże chwili odłam skały powalił go na ziemię.

Zdołał tylko zawołać: „Umieram!“ Towarzysze pracy nadbiegli, wydostali go z trudem z pod kamieni, podnieśli go nawpół żywego, okrwawionego, bladego, oniemiałego.

Kiedy spostrzeżono, że oddycha jeszcze i że wypadek nie pociągnie za sobą groźniejszych następstw, oprócz dłuższego wypoczynku, powiedzieli:

— *Wymagałeś cudu, a czem objaśnisz ten wypadek?*

Ranny pochylił głowę i poprzysiągł, może trochę po niewczasie, że już więcej drwić ze świętości nigdy się nie poważy.

Biuletyn dzieł św. Franciszka Salezego, październik 1901 r.)

Uczta Wielkopiątkowa przyczyną śmierci.

W Varages opodal od Brignolles w 1874 r. dwunastu bezbożników wyprawiło wspaniałą ucztę w Wielki piątek, poczem każdy z nich, ujął w rękę kawał pieczeni baraniej i zaczęli tańczyć farandolę (taniec Prowancki) w około pięknej swej towarzyszki. W kilka dni grad sprawił straszliwe spustoszenie w całej wsi. Wszystkich uczestników uczty schwyciły nagle straszne boleści, a rzecz godna zanotowania, że w cierpieniach swych łaknęli tylko mięsa. Przywódca owej djabelskiej uczty, pierwszy zachorował, a lud mówił: „zobaczycie, Bóg go ukarze za bezbożność, w następny Wielki piątek odbędzie się jego pogrzeb.“ Jak przepowiedzieli, tak się też i stało. W rok potem, w Wielki czwartek stan chorego bezbożnika znacznie się pogorszył, gwałtownie wpadł on w szał głodowy i z ustami pełnemi mięsa, którego jeszcze nie zdążył przełknąć, umarł. Towarzysze biesiady chcieli koniecznie przyspieszyć pogrzeb i pochować go zaraz w Wielki czwartek, ażeby przepowiednia kary Bożej nie speł-

niła się: lecz nie w tym dniu było mu sądzono być pogrzebanym. Doktor i mer sprzeciwili się takiemu pośpiechowi; pogrzeb odbył się dopiero nazajutrz, w *Wielki piątek.*

Sześciu towarzyszy jego umarło tegoż roku i w ten sam sposób; pozostali zaś chodzili bladzi, więcej do nieboszczyków, jak do żyjących podobni, a lud patrząc na nich, powtarzał: *„patrzcie, oto ten i ten jeszcze ma baraninę wielkopiątkową w żołądku, pewno niedługo mu już żyć sądzono!"*

Śmierć w wigilję biesiady.

Nędznik pierwszego rzędu, Karol Arnould, mer w Reims, pałając wielką nienawiścią ku duchowieństwu, religji, w ogóle ku katolikom i szkołom wyznaniowym, na widok godła wiary św. wpadał w gniew szalony. Połamał więc, porozbijał i poniszczył krzyże i posągi świętych w całem mieście.

Zaledwie dwa tygodnie upłynęło od przybycia jego z Algieru; czuł się zupełnie zdrów i czerstwy i przygotowywał się do przewodniczenia w Reims na wyborach, które poprzedzić miała wielka i suta biesiada w sali wolnomyślicieli; na ten cel sam właśnie urządził mieszkanie. Biesiada miała się odbyć w Wielki piątek, lecz w Wielką środę Arnould padł nagle rażony atakiem apoplektycznym w wigilję uroczystości świętokradzkiej. Działo się to dnia 30 marca 1904 roku.

Pogrzeb cywilny odbył się w dzień Wielkiej-

nocy, w obec wielkiej demonstracji wszystkich ma sonów z miasta i z okolicy.

Pisma *La Croix de Reims* (Krzyż w Reims) i *Le Courrier de la Champagne* (Kurjer Szampański) podały w swoim czasie okoliczności, towarzyszące tej nagłej śmierci, uważanej ogólnie, jako zasłużony wymiar sprawiedliwości Bożej.

Trzy śmierci sensacyjne w jednej rodzinie.

Śmierć chrześcjańska znanego z bezbożności Cezarego Bolard.

Dnia 21 marca 1909 roku zmarł w Bonnevaux Cezary Bollard, pałający nienawiścią dla religii i sług ołtarza.

W roku 1905, będąc restauratorem, wraz z bratem swym Justynem Bolardem urządził niecną zabawę, mającą być parodją uroczystości Wielkotygodniowych. Nędznicy ci dzwonili wciąż w Wielki Czwartek i Wielki Piątek, jedynie tylko dla dokuczenia katolikom, a w Wielki Piątek urządzili ucztę mięsną, na którą zaprosili trzech swoich godnych towarzyszy. Proboszcz miejscowy zaprotestował przeciwko temu świętokradztwu i podał nawet skargę do władzy świeckiej i duchownej, żeby ukróciła szał bezbożników. Po wielu badaniach urzędowych i niefortunnej obronie winnych, udało się wreszcie proboszczowi wygrać sprawę.

Cezary Bolard nie mógł mu darować tego zwycięztwa; podniecilo ono jeszcze nienawiść bez-

bożnika do duchowieństwa, a szczególnie ku własnemu proboszczowi żywił jawną niechęć.

W połowie marca Bolard zachorował na silne zapalenie płuc. Wiedziano odrazu, że choroba ta jest nieuleczalna i siostra jego, zacna matka rodziny i gorliwa chrześcjanka pragnąca przedewszystkiem zbawienia jego duszy, pielęgnowała go dzień i noc, modląc się gorąco i ślubując życie własne złożyć w ofierze, byleby tylko chory jej brat umarł pojednany z Bogiem i opatrzony Ostatniemi Sakramentami.

I oto, wbrew wszelkim oczekiwaniom, przekonania bezwyznaniowca zmieniły się zupełnie. Dnia 20 marca sam zażądał wezwania spowiednika, otrzymał Ostatnie Namaszczenie, lecz umarł bez Wiatyku, którego poprzedniego dnia nierozważnie odmówił przyjąć, odkładając to do dnia następnego.

Snać Bog wysłuchał modlitw pobożnej siostry grzesznika, odmówił jednak Eucharystji św. profanatorowi Wielkiego Piątku.

Śmierć Celiny Bolard.

W ośm dni po śmierci Cezara, zmarła na tę samą chorobę siostra jego, Celina Bolard. Bóg miłosierny, który odpuścił grzechy świętokradzcy, profanatorowi Wielkiego Piątku, zażądał od siostry jego wynagrodzenia jego winy i dotrzymania uczynionego ślubu, gdyż powołał ją do chwały swojej *w wigilję pierwszej Komunji jej syna pierworodnego.*

Straszna śmierć Ludwika Bolarda.

Dwie te śmierci wywołały w całej parafji wielkie wrażenie, ale najwięcej oddziałały one na wspólnika świętokradztwa, Justyna Bolarda. Nie tyle śmierci te go wzruszyły, jak raczej podnieciły gniew szalony, bluźnierstwa sypały się z ust jego nieustannie. Wątpię, czy znalazł by się nawet w Paryżu drugi bezbożnik, któryby mu pod tym względem sprostał. Był on szerzycielem bezbożności, urągał Chrystusowi, burzył krzyże, profanował imię Zbawiciela i Stwórcy wszechrzeczy, jednem słowem był to istny potwór, złością i bezbożnością przepojony.

Gdy dowiedział się o religijnej śmierci brata, wpadł w gniew szalony, włóczył się od kawiarni do kawiarni wykrzykując, że ci, którzy przystępują do Sakramentów św. są idjoci i głupcy, zapowiadał z góry, że umierając, za nic w świecie nie będzie się spowiadał. Wyśmiewał się z przystępujących do spowiedzi Wielkanocnej, bluźniąc straszliwie: „Świniom kazałem przystępować do Stołu Pańskiego!“ wołał głośno karmiąc swą chlewnię. Wreszcie cisnął ostatnie bluźnierstwo, którego Bóg nie mógł pozostawić bez wymierzenia sprawiedliwości nędznikowi. W Palmową niedzielę Justyn Bolard był u znajomych swoich, którzy wszyscy już odbyli spowiedź Wielkanocną, więc dla poirytowania ich powiedział: „Tego roku Wielki Piątek nie przejdzie spokojnie; jeżeli nie będzie komu dość silnie dzwo-

nić, to ja sam dopomogę: w dniu tym, tak jak w 1905 roku muszą wszyscy zajadać kiełbasę."

W Wielkim tygodniu bezbożnik zachorował niespodzianie na tę samą chorobę co brat Cezary; jako alkoholik miał organizm zniszczony i wszelkie środki lekarskie nań nie działały. W przystępie szału wykrzykiwał: „Jeżeli proboszcz albo siostry przyjdą do mnie, poduszę ich." Straszne sceny wyprawiał żonie i dzieciom, wreszcie w Wielki Piątek naraz uspokoił się, stan jego się polepszył, nikt nie przypuszczał że chory traci przytomność. Nie wspomniano nawet o przywołaniu księdza. W Wielki Piątek w samo południe, Justyn Bolard skonał. Dzwony, które zawsze oznajmiają śmierć każdego parafjanina, tym razem milczały. Zamiast zajadać kiełbasę w Wielki Piątek, jak to zapowiadał zuchwale, stanął zatwardziały grzesznik przed sądem Bożym.

(*Idéal*, sierpień 1909).

Do zobaczenia do jutra, o godzinie pierwszej po południu!

W liście pasterskim z 1866 roku o nabożeństwie do św. Józefa, kardynał z Bordeaux wspomina o figurze tego chwalebnego patryarchy, zdobiącej kaplicę przytułku dla sierot, znajdującego się pod opieką sióstr św. Wincentego a Paulo, przy ulicy św. Eulalji w Bordeaux. Figura ta podczas rewolucji w 1973 roku cudownie ocalała. O zdarze-

niu tem opowiadała kardynałowi jedna z Sióstr, znana w dzielnicy św. Eulalji pod imieniem siostry Felicyty. „Miałem wówczas lat dziewięć, pisze kardynał, gdy siostra Felicyta umarła i pochowaną została w podziemiach kościoła św. Eulalji wprost drzwi wiodących do zakrystji. Święcenia zakonne otrzymała jeszcze przed rewolucją. Obywatelkom dzielnicy św. Eulalji powierzono pieczę nad ubogimi, lecz te zajęte sprawami rodzinnemi mało troszczyły się o nędzarzy, wyróżniała się atoli Eulalja, która, przywdziawszy szaty świeckie, aby nie jątrzyć terorystów, rozdawała potrzebującym jałmużnę i opiekowała się nimi z macierzyńską troskliwością.

Miała wówczas sposobność poznać ludność ubogą jej potrzeby i zapatrywania.

Oto co opowiada ona o figurze św. Józefa:

„Było to podczas największego teroru, gdy wszystkie przedmioty i zabytki sztuki, mające związek z religją, były już od kilku miesięcy poniszczone. Pewien zapamiętały terorysta przechodził właśnie ulicą św. Eulalji, a spostrzegłszy figurę św. Józefa, dotąd nietkniętą, zatrzymał się, zaczął do siebie mówić, urągać mieszkańcom tej dzielnicy, za to, iż dotąd figurę tę pozostawili na miejscu. Następnie wzniósł pięście i zaczął wygrażać św. Józefowi i wreszcie zawołał z wściekłością: Jeszcze tu tkwisz niedorajdo? Poczekaj! Potrafię ja cię ściągnąć na ziemię! *Do zobaczenia, do jutra, o godzinie pierwszej po południu.*“

Świadkowie tych obelg, ludzie cisi i pobożni,

słysząc pogróżki, drżeli na myśl, że ręka świętokradzka figurę z pewnością obali, lecz jakaż była ich radość, gdy nazajutrz dowiedzieli się iż figura św. Józefa pozostała nietkniętą.

Bluźnierca ów i bezbożnik tegoż wieczoru poszedł do klubu i tam znów zaczął bluźnić przeciwko św. Józefowi, domagając się wydania rozkazu i wyznaczenia ludzi dla zburzenia widomej oznaki przesądu religijnego.

Zaledwie wypowiedział swoje żądanie, gdy zaczął okropnie jęczeć, wijąc się w strasznych kurczach. Przeniesiono go zaraz do domu, przez całą noc męczył się najokropniej, a nazajutrz umarł o tej właśnie godzinie, kiedy miał zniszczyć statuę św. Józefa.

Wszyscy widzimy w tem karę Bożą, nawet najzawziętsi nie odważyli się sięgnąć po figurę, dzięki czemu ocalała i dotrwała spokojnie aż do naszych czasów.“

Opowiadanie Siostry Felicyty, osoby wysokich cnót i zasług nie może być w żadnym razie podane w wątpliwość.

Ks. Blavières
Proboszcz parafji Saint-Médard-en-Jalles.

Świętokradztwo ukarane paraliżem.

Oto co opisuje Ludwik Veuillot w 1893 roku:

Przed jakiemi może trzydziestu laty syn właściciela rękodzielni zaproponował swym towaszyszom,

żeby sprobowali celności strzału i mierzyli w figurę Chrystusa, stojącą w głębi ogrodu.

Od propozycji przyszło do czynu. Młodociany świętokradzca pierwszy strzelił i odtrącił Chrystusowi nogi.

Nazajutrz został sparaliżowany na obydwie nogi i przez długie lata swego marnego życia, nie mógł chodzić o własnej mocy.

Tonący we własnej krwi.

Wyciąg z rejestru metryk chrztu, aktów ślubu i ważniejszych wypadków w parafji św. Józefa w Cette, djecezji Montpellier (Herault). Poświęcenie krzyża.

Dnia 23 grudnia 1808 roku, o godzinie 10 rano, odbyła się uroczystość poświęcenia krzyża, przez niżej podpisanego zastępcę proboszcza przy kościele św. Józefa.

Krzyż ten, z wizerunkiem Chrystusa, przywieziony został na statku genueńskim z Włoch, przeznaczony był do Hiszpanji, lecz złożony był w mieście Cette, ponieważ statek wiozący go, rozbił się nieopodal brzegu około 1722 roku.

W tym właśnie czasie, świeżo założone Zgromadzenie Pokutników białych w nowo zbudowanym kościele nie posiadało obrazu do wielkiego ołtarza. Kornut, zakonnik i obywatel tegoż miasta, ofiarował ten krzyż Braciom, lecz kiedy następnie umieszczono w wielkim ołtarzu obraz, przedstawiający

Zesłanie Ducha św. krucyfiks zawieszony został na chórze pośrodku kraty i pozostawał tam do rewolucji, do tych smutnych czasów, w których panowała bezbożność, kościoły i obrazy pobudzające i ożywiające wiarę były niszczone i palone. Podczas zaburzeń czterech bezbożników, których imion nie chcemy wyjawiać, wpadło do kościoła z obnażonemi szablami: wtargnąwszy aż na chór porąbali oni krzyż, bluźniąc przytem i naigrawając się z Chrystusa. Wreszcie jeden z nich zawołał:

„Jeżeli naprawdę jesteś Bogiem, dlaczego krew nie spływa z ran twoich?“ *S'as de san, sauna:* Jeżeli posiadasz krew prawdziwą, niechaj ona spłynie!“ Kara zasłużona nie minęła grzesznika, nie dał Bóg na nią długo czekać. Świętokradzca ciężko zachorował i po czterech dniach umarł, *tonąc we własnej krwi*, która ciekła ze wszystkich porów jego ciała, a nawet z włosów. Skonał nędznik o godzinie 8 wieczór, a krew do godziny 5 rano nieustannie płynęła, zatapiając go prawie.

Doktor Vincent, profesor wydziału lekarskiego w Montpellier, a zarazem doktor miejski, przywołał wszystkich swoich kolegów chirurgów, aby zobaczyli to nadzwyczajne zjawisko. Wszyscy jednogłośnie uznali, że w chorobie tej nieznanej jest coś nadprzyrodzonego i niepojętego.

Zapewniają, że podczas największych męczarni, jęczał ów nędznik: „Boże, cóż zawiniłem, że mi każesz tak cierpieć!“ Mógłby był umrzeć po chrze-

ścjańsku, opatrzony św. Sakramentami, gdyby nie te czasy teroru i nie jego własna rodzina, która go od tego powstrzymała.

Kilkanaście pobożnych niewiast zebrało starannie szczątki porąbanego krzyża, w którym brakło jednego ramienia, jednej ręki i jednej nogi. Naprawę krzyża powierzono znakomitemu rzeźbiarzowi Potevin, który przyozdabiał wielki ołtarz przy odświeżaniu kościoła. Obecnie kościół ten św. Józefa stał się filjalnym kościołem, a Chrystus Ukrzyżowany umieszczony został pośrodku w zagłębieniu nad ołtarzem.

Na uroczystość tę zgromadziło się bardzo wiele wiernych, pomimo śnieżnej zawiei. Zanoszono gorące modły do Boga, aby Mu wynagrodzić straszną krzywdę i zbrodnię świętokradztwa. Miejmy nadzieję, że modły te zostaną wysłuchane, a Jezus Chrystus przez wielkie swe zasługi i Krew najdroższą, przelaną za nas grzeszników na krzyżu, wybłaga nam u Ojca swego Niebieskiego łaskę i miłosierdzie. Amen.

Podpis w rejestrze:

Roche, J.-P. Sabatier, P. Bidon i E. Gourgon, c. d.

Zaświadczono zgodność, d. 3 marca 1910 r.

N. Vivarez.

Przewodniczący dawnej Radzie Fabrycznej.

Bóg jest sprawiedliwy, wymierzył mi ten cios za mój czyn świętokradzki.

Pewien kapelan, odwiedzając szpital w Tranteneau znalazł pomiędzy rannymi żołnierza pruskiego,

który podczas jednej z pierwszych potyczek utracił obie ręce. Ksiądz, litując się nad jego kalectwem, dodawał mu odwagi, pocieszał go, aby się poddał mężnie woli Najwyższego.

Słysząc te słowa pociechy, ranny z wielkim wysiłkiem usiadł i powiedział wzruszony:

— Powinienem się w pokorze poddać woli Boga, bo jest to słuszna kara za wielką zbrodnię, jaką popełniłem. Kiedy wchodziliśmy z pułkiem na terytorjum austryjackie, przy drodze zauważyliśmy krzyż: wtedy wyciągnąłem moją szablę i odciąłem obie ręce Chrystusowi. *Bóg jest sprawiedliwy, wymierzył mi ten cios,* jako słuszną karę za mój czyn świętokradzki.

(Sztandar Tyrolski (Drapeau Tyrolien) z miesiąca stycznia 1867 roku).

Odcinają mi nogi!

W Wavignies, kantonie St-Just-en-Chaussée (Oise) dnia 25 stycznia 1881 roku, hultaj straszny, postrach wszystkich mieszkańców, czytający tylko najgorsze dzienniki, znalazł się pewnego razu przy uczcie z dwoma towarzyszami. Podniecony winem, powiedział do jednego z nich:

— Podaj mi krzyż, napalę nim w piecu.

Zamyślał naprawdę spełnić to straszne świętokradztwo.

Piec był za mały, nie mógł pomieścić krzyża; złorzecząc, bluźniąc i wydrwiwając odłamał nogi

Chrystusowi i wsadził krzyż do pieca. Następnego dnia obaj ci szubrawcy udali się każdy do swego handlu, zajmowali się bowiem sprzedażą śledzi.

Wieczorem powracali znów do Wavignies dobrze podpici. Gdy przechodzili koło Kalwarji de Fumechon, miejscowości sąsiadującej z Wavignies, znieważcy krzyża zrobiło się niedobrze i upadł na ziemię: przyjaciel podniósł go.

— Obcinają mi nogi!.. zawołał. Napróżno starano się go uspokoić, cierpiał strasznie. Przyjaciel dociągnął go do wsi z trudem. Przez całą noc chory powtarzał bez przerwy: *„Obcinają mi nogi!“* Następnego wieczoru o tej samej godzinie, w której popełnił zbrodnię, wyzionął ducha.

Wypadek ten obudził ogólne zdumienie.

Żona i dzieci tego świętokradzcy bardzo byli zrozpaczeni, zwłaszcza matka, która jest gorliwą chrześcjanką.

Wieczna ciemność go otoczyła, oślepł na zawsze.

Ks. de Belcastel przytaczał wypadek następujący, zaręczając za jego wiarogodność.

Było to w r. 1881.

W jednej wiosce pomiędzy Paryżem i Lille mieszkał bezbożnik, który unikał kościoła, stronił od dobrych katolików, uciekał nawet od obrazów i figur świętych, odrzucając wszystkie pobożne myśli.

Parafjanie, którzy wierzyli w Boga, postawili

rzyż opodal od jego siedziby. Krzyż ten drażnił ezbożnika, zaczął bluźnić i wreszcie wypowiedział traszne te słowa: „Będę więc skazany na stałe glądanie tego potwora!“

Nazajutrz świętokradca doznał w oczach dziwego wrażenia, coś mu je zasłaniało, przetarł je ręą, lecz gdy ją odjął, przekonał się z rozpaczą, że szystkie otaczające go przedmioty zniknęły dla iego bez śladu. *Wieczna ciemność go otoczyła, ślepł na zawsze.*

„Boję się, bardzo się boję, widzę djabła!“

Tydzień religijny z Perpignon z 1891 roku opoviada o tragicznej śmierci wolnomularza, bezbożnia, znieważcy Krzyża, byłego właściciela garkuchni kawiarni, niejakiego G...

Przed jakiemi ośmnastoma miesiącami G..., będący podówczas w pełni sił, zdrów i czerstwy, ewnego dnia powiedział do żony: „Oto widzisz tu oje godła masońskie, pamiętaj, kiedy umrę, połóż na mojej trumnie: podczas pogrzebu zdejmiesz je, później na cmentarzu położysz na moim grobie.“

Zaledwie skończył mówić, mały krzyżyk spadł rzypadkowo z szafy na podłogę; bezbożnik powstał zybko, podszedł do niego, podeptał i strasznie zeżył. Żona wystraszona pośpieszyła, żeby czemprędzej wyrwać godło wiary rozszalałemu mężowi, Bóg, w wielkiej sprawiedliwości swojej, nie kazał mu długo czekać na zasłużoną karę. Tegoż wieczo-

ra bezbożnik ów niespodziewanie dostał silnej
rączki, strasznych boleści, które coraz się wzmag
i nie opuszczały go aż do śmierci. Konanie świ
kradzcy było straszne. Z obawy, żeby w ostat
chwili nie sprzeniewierzyć się głoszonym bezbożn
zasadom, powierzył ostatnią swą wolę towarzysz
masonom, którzy przyszli dopiero nazajutrz po j
zgonie.

Niedługo przed śmiercią G... zawołał wyst
szonym głosem: *Boję się, bardzo się boję, wi
djabła!*“ Tak strasznie ciskał się i drżał ze strac
że szwagier dla uspokojenia umierającego, w
w rękę kij i zaczął nim bić wskazane miejsce, gd
jakoby stał djabeł. Za chwilę chory znów jął p
tarzać:

— Dzwonek nie przestąpi progu domu me
(Miał snać na myśli dzwonek, który poprzedza k
łana z Wiatykiem). Innym razem uniósł ręce
góry i przez pół godziny czynił ruchy człowie
dzwoniącego. Jak naoczni świadkowie zeznają,
bił to wszystko z zupełną przytomnością umys
świadomie, a nie w przystępie gorączki.

Wyniesiono trumnę G... przez okno; pogr
był cywilny, tak jak tego życzył sobie nieboszcz
w mogiłę wbito pal i zawieszono na nim trój
masoński na czerwonej wstędze i bratek metalo

Nie dotykajcie się Krzyża, bo spotka was nieszczęś

W roku jubileuszowym 1827 w Saint-Paul
jednej z wysp Towarzyskich) wzniesiono Krzyż

placu przed kościołem, na upamiętnienie tego roku łaski i błogosławieństwa, a mieszkańcy otaczali to godło zbawienia wielką czcią i poszanowaniem. W roku 1831 czterech młodzieńców, których rozum wskutek nadmiernego używania trunków i czytania książek bezbożnych, został przyćmiony, dopuściło się ohydnego świętokradztwa.

Zburzyli oni w nocy krzyż jubileuszowy.

J. E. Arcybiskup Madagaskaru, Dalmond, był podówczas wikarjuszem w Saint-Paul. Dowiedziawszy się o świętokradztwie popadł w wielki smutek i zawołał z rozpaczą: „Ach nędznicy, czy pomyśleli oni, że Bóg świętokradztwo to ciężko ukarze! Nieprzeczuwają nawet co ich czeka! Czasami Bóg odwleka karę doczesną, mając wieczność całą na swe rozporządzenie,“ sprawiedliwość Boża, jak mówi łaciński poeta, ściga człowieka chromając, ale niekiedy razi odrazu, jak piorunem.

Czcigodny arcybiskup był na ten raz prorokiem. Wkrótce po tem jeden ze świętokradzców na wybrzeżu Manilli został zamordowany.

Drugi umarł w więzieniu jako złoczyńca, a nikt nie odważył się nawet postępować za jego trumną i oddać mu ostatniej posługi. Trzeci popadł w najstraszniejsze niedołęstwo; oniemiał, wydawał tylko głos podobny do kwiczenia wieprza i chodził na czworakach, zachowując się jak zwierzę.

Czwarty -jedyny z tej godnej czwórki, który nie dotykał krzyża, ponieważ był postawiony na czatach, żył jeszcze w 1904 roku. Stał się też nie-

dołężnym, po całych dniach kreślił patykiem krzyże na piasku i powtarzał ustawicznie: *„Nie dotykajcie się krzyża, bo spotka was nieszczęście!“*

Fakta te można różnie tłómaczyć: my ludzie wierzący widzimy w tem sprawiedliwość Bożą, karzącą zawsze świętokradzców.

(Życie Mgr. Dalmond, przez wiel. biskupa z Saint-Denis).

Chybiony bal.

W liście z dnia 16 lutego 1910 roku donoszono mi:

Kochany Bracie!

„Pozwolę sobie przesłać ci tu opowieść o wydarzeniu, w którym odegrałem rolę nieszczęśliwego proroka, dla uczestników bezbożnej zabawy.

„Przed jakiemiś trzydziestu laty pewien malarz, pracujący przy odnawianiu pałacu w Mesnil-Hubert, w Exmes, gdzie podówczas byłem proboszczem, chcąc przysporzyć dochodu oberżyście, u którego mieszkał, a pragnąc przy tej sposobności mnie dokuczyć, umyślił urządzać każdej niedzieli zabawy taneczne, na które miały być zapraszane wszystkie młode dziewczęta z miasteczka i okolicy.

Początkowo, gdy się o tym bezbożnym projekcie dowiedziałem, nie wierzyłem, żeby kiedy przyszedł do skutku, lecz gdy przekonałem się, że którejkolwiek najbliższej niedzieli może być wykonanym, postanowiłem przestrzedz parafjan moich

z ambony i przedstawić tę rzecz całą z punktu religijnego. Zacząłem przemawiać w następujące słowa: „Bracia moi, którzy powierzeni zostaliście mojej pieczy, dochodzą mię z różnych stron wieści, którym początkowo nie dałem wiary. Opowiadają, że mają być u nas, w naszej parafji, urządzane każdej niedzieli bezbożne zabawy połączone z tańcami. Gdyby to miało być prawdą, i odbywały się te gorszące zabawy, przypuszczam, że żaden pobożny ojciec ani matka, nie puścili by na nie córek swoich, aby nie obrazić Boga i nie ściągnąć na siebie kary. Zabawy zdrożne Bóg potępia, djabeł natomiast do nich podnieca, gdyż przyczyniają się one do zguby wiecznej tych, którzy się im oddają. Gdyby wbrew moim przestrogom, prośbom i surowemu zakazowi znaleźli się tacy, którzy by puścili tam córki swoje i sami poszli, mogą się spodziewać strasznej kary Bożej, bo Bóg nie puści bezkarnie takiego jawnego pogwałcenia dnia świętego, religji i moralności.“

Przepowiednia moja spełniła się, byłem na ten raz, niestety, prawdziwym prorokiem. W oznaczonym dniu t. j. przy niedzieli, o oznaczonej godzinie, kiedy wszyscy mieli zebrać się w oberży w miasteczku Mesnil-Hubert, w Exmes, chowano właśnie do grobu projektodawcę balu, który nagle życie zakończył.

Śmierć ta była przestrogą dla innych; przypomniano sobie moje przestrogi i przepowiednie. Bal, jak się łatwo można domyślić, nie odbył się, projekt poszedł w zapomnienie.

Bezbożny malarz, który był nałogowym pija-

kiem, nadużywszy pewnego razu alkoholu, schodził z pracowni swojej, położonej na drugiem piętrze pałacu, zamiast schodzić po schodach usiadł na poręczy i chciał tak zjechać w dół, lecz stracił różnowagę upadł wprost głową uderzając o ziemię, z wysokości jakich czterech metrów. Podniesiono go nieprzytomnego; miał wstrząśnięty mózg i zaraz skonał.

W zdarzeniu tem, które ci tu opisałem, widzę najwyraźniejszą „Rękę Bożą."

Feliks Aubry, proboszcz z Saint-Ouen-le-Brisoult.

„Jest piekło, trzeba nam wierzyć; mąż mój gore tam, a ja idę za nim."

Czytamy w dzienniku *La Croix* z dnia 27 marca 1890 roku:

„Z najzupełniej wiarogodnego źródła otrzymaliśmy następujące wstrząsające szczegóły: W grudniu roku poprzedniego Przeor OO. Kapucynów przybył dla odbycia misji w parafji X...

Bezbożnicy dokładali wszelkich starań, żeby mu przeszkodzić, między nimi znalazł się i niejaki P. P... który przewyższył towarzyszy swoją zapamiętałością. Pewnego dnia córki jego, wybrały się do kościoła dla posłuchania kazania misyjnego o błędach modernizmu i o masonach. Po powrocie do domu poprzysięgły sobie, że noga żadnej z nich tam już nie postanie, ponieważ OO. Kapucyni z ambony politykują. Pomimo takiej stanowczej

apowiedzi następnej środy znów stawiły się w kociele. Misjonarz miał mówić o piekle i „zadać ios szatanowi," jak przedtem oznajmiał. Prawdoodobnie sam P. P... wysłał córki, aby, wysłuchawzy ich sprawozdania, wydrwić i ośmieszyć czcigodnego kaznodzieję, dokładającego wszystkich staań, żeby lud w wierze św. umocnić. Zapewnie też bezbożnik głosił swym córkom zasady niedopuszczaące wiary w istnienie życia pozagrobowego i w męki wieczne za popełnione grzechy.

W każdym razie w sobotę poszedł z dziewczętami swemi po sprawunki i nakupił im rozmaitych strojów, żeby ubrawszy się wykwintnie, nazajutrz poszły na kazanie. Powtarzał, że muszą się pięknie ubrać na ten „karnawał kapucyński" bo: „w tych dniach uduszono djabła, jutro być może rozprawią się i z samym Bogiem." Kara Boża nie kazała długo na siebie czekać za te tak bezbożne słowa. Tegoż wieczora, kiedy zasiedli wszyscy do kolacji, P. P... nagle krzyknął przeraźliwie: „Ach, co za straszny ból głowy!... Umieram!..."

Tejże chwili padł martwy, zesztywniały, a córki jego, zamiast nazajutrz wystroić się i pójść wyśmiewać kazanie, tonęły we łzach, czuwając przy zwłokach nieszczęsnego ojca.

Żona P. P... odrazu zwarjowała z przestrachu i silnego wrażenia; powtarzała wciąż:

— Jest Bóg, trzeba w to wierzyć: *jest piekło, trzeba temu wierzyć; mąż mój gore tam, a ja idę za nim.*

Osoby, które się nią opiekowały, ogarnia wielka trwoga, a strach ten podniecały dziwne rz czy, które działy się w pokoju zmarłego P. P... Sł szano tam straszne hałasy i nawoływania, jakb ustawiczne miauczenie kotów, pośród których o różnić można było głos zmarłego, przywołującej córki po imieniu i błagający o ratunek.

W kilka tygodni za mężem poszła do grob i nieszczęśliwa żona. Umarła ona w domu obł kanych.

Urzędnik municypalny włamywaczem.

Bermond, przewodniczący izbie apelacyjne w Tuluzie, był pierwszym urzędnikiem municypa nym we Francji, który wypowiedział, że niem prawa sprzeciwiać się wykonaniu dekretów, zmusza jących księży do opuszczenia własności kościelnych To postanowienie miało wielkie znaczenie, gdy stało się sygnałem dla wielu innych. Brak sta nowczości ze strony pierwszego wykonawcy, mógł by może stłumić i powstrzymać prześladowani w zaczątku, należało tedy zabrać się do czynu teg z rozwagą, słabych pociągnąć przykładem, ośmieli zaś — powagą własną.

Bermond wiedział co robi, doskonale by w sprawach tych poinformowany, odznaczał si przytem wielką bystrością umysłu. Umywając ręc jak Piłat, tem samem popierał gwałt, który mia być wkrótce dokonany.

Wszystko to stanęło żywo w pamięci tych, do których doszła wiadomość o strasznej i tragicznej śmierci Bermonda. Zmarł on nagle w ustępie, tam go nieżywego odnaleziono. Musiano sprowadzić ślusarza, który wytrychem otworzył drzwi i dopiero tym sposobem wydobyto zwłoki. A wszakże z rozporządzenia władzy, przemocą wywlekał on z cel zakonników; śmierć nędznika była mu zapłatą za marne życie i czyny niegodne.

Tenże sam przywódca czynów świętokradzkich, który spodziewał się sowitej nagrody za swą gorliwość, uczuł jeszcze na rok przed śmiercią rękę Bożą nad sobą. Nagroda spodziewana ominęła go; przyznaną została zupełnie komu innemu: widział on ze smutkiem i bólem serca wywyższenie współzawodnika, któremu sam zmuszony był składać życzenia i winszować powodzenia z uśmiechem na ustach, a z goryczą wielką w duszy.

Straszna nauka.

Niezwykły wypadek przytrafił się w Millau (Aveyron).

L. G... zapamiętały wróg duchowieństwa, gdy stracił nowonarodzone dziecię, pochował je bez księdza. W kilka godzin potem za dzieckiem poszli i rodzice. Śmierć zabrała ich prawie jednocześnie.

La Croix, sobota dnia 11 czerwca 1910 r.)

Rozważcie sobie i... wywnioskujcie.

Przed rokiem nad brzegiem morza w miejscowości Mathes (Dolna Charente) 26 letni oficer marynarki, David, umyślił wyszydzić w świętokradzki sposób chrzest św.

Małej swej siostrzyczce nalał na główkę wina szampańskiego i, wygłaszając gorszące bluźnierstwa, dodał w końcu: „Ja ciebie chrzczę w imię rzeczpospolitej.“

Świadkiem tego ohydnego czynu była narzeczona David'a, 17 letnia panna Charrier, której snać zabawa ta bardzo się podobała, gdyż zachowywała się odpowiednio do okoliczności.

Posłuchajcie co się im obojgu przytrafiło:

W dniu 5 września tegoż samego roku, w rocznicę owego nieszczęsnego chrztu, narzeczeni poszli kąpać się w morzu, wyglądającem w tej chwili tak spokojnie, jak ciche jezioro. Gdy już oboje weszli do wody, nagle fale zmąciły się, narzeczeni poszli na dno; zniknęli z oczu i więcej się nie pokazali. Zdumienie było ogólne, gdyż David pływał doskonale. Ciało jego odnaleziono, trup zaś narzeczonej nie wypłynął już nigdy. Zaliż wypadek ten nie daje do myślenia?...

Czyż nie należy wyprowadzić zeń następujący wniosek: *Jest sprawiedliwość Boża!...*

(La Croix, dnia 20 września 1910 r.)

Widział św. Patronów kościoła parafjalnego, którzy z procesją obchodzili kościół zburzony.

W wiosce Saint-Maurice-Thizouailles, położonej w dolinie d'Aillant-sur-Thaton, znajdował się piękny, starożytny kościół. Od wielu lat stał on opuszczony, ponieważ zarząd municypalny nie troszczył się o niego, i nie myślał o podtrzymaniu tego zabytku przeszłości. Kościół wymagał gruntownego odnowienia, a środków po temu nie było żadnych. Proboszcz miejscowy umyślił drogą składek, które były dla niego bardzo uciążliwe, znaleść źródło, umożliwiające podtrzymanie upadającej świątyni, lecz mer miejscowy, pragnący jedynie ostatecznego zburzenia tego przybytku wiary, zostawił bez odpowiedzi podanie proboszcza w tej kwestji do rady municypalnej.

Dla większego zaznaczenia swej bezbożności, umyślili ci burzyciele kościołów, rozpocząć dzieło świętokradzkie w sam dzień Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny.

„W obec tylu różnorodnych kar, pisze *Univers* (Wszechświat) czyż ktokolwiek śmie powątpiewać, że sprawiedliwość Boża dochodzi praw swoich na osobach prześladowców?

Mer Gallet umarł nędznie, trapiony ustawiczną halucynacją religijną. *Widział św. Patronów kościoła parafjalnego, którzy z procesją obchodzili kościół zburzony dokoła.* Bezustannie słyszał głos dzwo-

nów, poruszanych niewidzialną ręką. Nieraz rzuc się naprzód, patrząc dziko, ręce wznosił w gór jakby usiłował odpędzić straszną wizję, przyte krzyczał przeraźliwie. Przed śmiercią miał chwi jaśniejszej świadomości, wtedy powiedział:

— Boże, czemże zawiniłem przeciw Tobie?...

Ktoś z obecnych powiedział:

— Znieważałeś Go.

Umarł niepojednany z Bogiem; pogrzeb cywi ny odbył się dnia 3 września 1905 roku. Chorob ta straszna przyszła zanim jeszcze gruzy zburzoneg kościoła zostały ostatecznie usunięte z placu, któr zamieniono następnie na plac publiczny.

Pisma miejscowe dalej piszą, że dzieci jeg przez 5 lat jeszcze czuły na sobie zawisłą karę Bo żą; umierały nagle, lub wpadały w rodzaj obłędu.

Obywatel Frappé, który radził kościół podpali lub wysadzić w powietrze, umarł tknięty paraliżem odmówiono mu chrześcjańskiego pogrzebu. Następ ca mera Galleta, niejaki Lefèvre, który podobn miał sprzedać dzwony, z stał dotknięty nieuleczalną straszną chorobą, która na długie lata przykuła g do łoża boleści.

Pozostałych spotka także niewątpliwie zasłużo na kara.

Bóg nie dozwala na wyśmiewanie się z Siebie pozwoli na chwilę zatryumfować bezbożności, lecz wielkie odstępstwa narodów, otrzymują z Jego ręk straszną naukę, celem ożywienia słabnącej wiary Historja wielkiej rewolucji podaje nam wiele po

obnych przykładów. Miłosierdzie i sprawiedliwość oża mniej jeszcze oszczędzać będzie nasze czasy ezbożne i grzeszne i zeszle być może straszniejsze nacznie kary.

Roger Duguet.

Dwie śmierci godne zastanowienia.

Głośną była w Bordeaux śmierć Juljana Bottet, rzędnika oddanego w zupełności bezbożnemu rzą-owi: umarł on nagle na letnisku w Honfleur, 54 roku życia.

Ostatni jego wniosek prokuratorski był skiero-any przeciwko kardynałowi Andrieu.

Jego Eminencja przebaczył mu, lecz list opu-likowany został dopiero po spełnieniu się kary Bo-ej, co dowodzi, że Ten, który jest Sprawiedliwością amą, osądził go wpierw niż wydał wyrok.

(*Univers* (Wszechświat,) 21 września 1909 r.).

Tydzień religijny w Bayonne donosi, że: pre-ydent Villeneuve, który ogłosił wyrok skazujący egoż kardynała, zmarł nagle. Tak więc, zanim yrok, wydany przez niego, został wykonany, on am powołany już został przez Najwyższego Sę-dziego.

(*La Croix*, 17 listopada 1908 roku).

„Djabeł nie da ci spokoju!..

W Chinon umarł w 54 roku życia handlarz sprzętami żelaznymi. Człowiek ten, wycofując się

z interesu, kupił sobie dom, dawną plebanję, z mieszkiwaną niegdyś przez byłego proboszcza z S Avertin, M. Suriau i przez wielu jeszcze innych pr boszczów z St.-Maurice w Chinon.

Zamierzał przeżyć w domu tym spokojnie dł gie lata, ale często ogarniał go jakiś niczem n wytłomaczony lęk, jakby przeczucie, że stanie s coś strasznego. Dawni jego przyjaciele, nie odzn czający się nawet zbytnią pobożnością i wia powtarzali mu niejednokrotnie:

— *Djabeł nie da ci spokoju*, zobaczysz, że w rządzi ci jaką psotę.

Na kilka dni przed wprowadzeniem się, g miano właśnie wbijać haki do zawieszania lust i obrazów, M. Hubert zachorował ciężko i praw nagle umarł, a zgon ten przedwczesny i nieoczek wany wywarł wielkie wrażenie w całej okolicy.

(Dziennik parafjalny z St.-Avertin, Indre - Loire, 1909 roku).

Śmierć wypędziła go z pod własnego dachu.

Lintier, mer z Mayenne, który starał się usi nie o wypędzenie nauczycieli i uczni z seminarjur dopiął wreszcie swego; udało mu się nawet przek prawa duchownych zakładów na świeckie, dokoń. też bezbożnego dzieła zniesienia fundacji pobożnyc Człowiek ten zawzięty, wypędzający księży z ic siedzib, nie szanujący żywych ani umarłych, nag i niespodziewanie zmarł na ulicy, nie zdążywsz

nawet wrócić do domu. *Śmierć wypędziła go z pod własnego dachu.*

Wszystkie te wypadki nagłej śmierci, które powyżej przytoczyliśmy, wstrząsnęły i poruszyły żywo opinją publiczną, która widziała w nich rękę Bożą, karzącą grabicieli dóbr duchownych.

(La Croix, 25 listopada 1910 roku).

XXVIII.

Ręka Boża czuwająca nad Francją.
Co by on na ten raz powiedział?

Nazajutrz po katastrofie w Messynie jeden z polityków pisał:

„Dlaczego Opatrzność spuszcza tę straszną klęskę tam, a nie u nas, gdzie jest pełno odszczepieńców, buntowników i niedowiarków?...“

Otóż trzęsienie ziemi w południowej Francji, nawiedziło właśnie tę okolicę, która znaną była dobrze temu nierozważnemu bluźniercy.

Co by on na ten raz powiedział?

Pyszny zwycięzco! Otóż kropla wody, której gwałtowności nie umiałeś zatamować, pokonała cię!

Gdyby przed jakim miesiącem, mówi kanonik Gougeon w piśmie swem *Val Marie*, zapytano o jakieś zjawisko, kogokolwiek z tych, którzy wierzą tylko w swój rozum, nie uznając Opatrzności Boskiej, z jakimże entuzjazmem wyłożyli by oni cały traktat o zdobyczach nauki bezbożnej, nie omieszku-

jąc dodać, że cokolwiek się stało na świecie, stało się bez udziału woli Bożej. Nawet samo pojęcie Boga starają się usunąć najzupełniej.

Pyszny zwycięzco! Otóż kropla wody, której gwałtowności nie umiałeś zatamować, pokonała cię.

Paryż, o którym głoszą, że jest najwspanialszem miastem na świecie, poniósł w ostatnich czasach tak wielkie straty, których nawet z największemi dotychczasowemi niszczącemi i rujnującemi wojnami porównać nie można.

Miljard zdobyty na kongregacjach, dwieście miljonów skradzionych kościołom i nieboszczykom nie wyrównają i nie zrównoważą strat poniesionych, nie zbogacą Francji, gdyż: „*Dobra, nieuczciwie* zdobyte, nie wyjdą grabicielom na korzyść.“ Maleparta do czarta!

Czy nauka zesłana przez Boga, tego Sędziego najsprawiedliwszego, przyniesie jaki pożytek i czy będzie należycie zrozumianą?

Jest ona jednak bardzo wymowną. Jakże to nie mamy widzieć łączności i związku pomiędzy strasznem tem zniszczeniem, a skandalicznem votum Izby, zatwierdzającem prawo wykreślenia Boga z nauki szkolnej?

We środę dnia 19 stycznia, jeden z deputowanych Izby, który przyczynił się do przeprowadzenia wszystkich wniosków sekciarskich, przeciw katolicyzmowi, wygłosił jednocześnie szyderczym tonem: „Jeżeli Bóg wasz jest wszechmocny, niechże nareszcie nam to jawnie okaże!“

Następnego dnia, 20 tegoż miesiąca stycznia rozpoczął się pamiętny, straszny wylew Sekwany który przez dni 10 trzymał miasto całe w trwodze niepokoju i niemal w głodzie. Czyż nie okazała się tu w pełni słabość ludzka? W obec rozpasanego żywiołu obróciły się w niwecz wszelkie nauki i doświadczenia, nikt nie umiał go ujarzmić. Trwoga ogarnęła wszystkich, bez względu na przekonania miasto całe było przybite, a rzeka wciąż przybierała, obracając w niwecz wszelkie obliczenia, zrywając tamy i wały ochronne, druzgocąc i niszcząc, cokolwiek na swej drodze napotkała. Paryż miał dwie przed sobą ostateczności: zatopienie albo podźwignięcie się.

Dla wyraźnego zaznaczenia, że jedynie Ten który rozkazał rozszaleć się żywiołowi, potrafi go też ukoić, gwałtowny przybór wstrzymał się raptownie: jak zaznacza *Tygodnik religijny w Paryżu,* wieczorem tego właśnie piątku, kiedy tłum niepomny na grożące niebezpieczeństwo i czas straszny, udał się gromadnie do Montmartre, błagać Najśw. Serca Niepokal. Marji Panny, której bazylika góruje nad Paryżem i roztacza nad nim swą opiekę oraz św. Genowefy, która niejednokrotnie już dawała swych łask wielkich dowody, aby i na ten raz wysłuchały ich próśb i odwróciły straszny wylew zagrażający zagładą.

W chwilach takich przezorność ludzka sili się aby odwrócić katastrofę, uważa to za święty swój obowiązek, lecz nie zapewni ona bezpieczeństwa zu

pełnego Paryżowi. Wylewy te są biczem Bożym na bezbożników, a siła ich żywiołowa jest wyzwaniem dla wiedzy. Larousse, w dykcjonarzu swoim określa powódź jako *wielkie nieszczęście, jako klęskę publiczną i prywatną*, jako *karę* nieba.

Nie przewiduje się rozmiarów klęski, lecz skutków jej się doświadcza. Rozum ludzki może odszukiwać środki zapobiegawcze, łagodzące ciosy, lecz odwrócić je może własne nasze postępowanie: trzeba starać się nie zasługiwać na te straszne kary.

Mrg. Dupanloup w roku 1886 pisał: „Bóg nas ostrzega, a ludzie tego nie rozumieją; Bóg zadaje cios, znów zostaje niezrozumianym; zsyła zarazy i choroby na ludzi i zwierzęta, wojny i trzęsienia ziemi, wylewy straszne następują jedne po drugich, na wszystko ludzie są głusi, nie chcą rozumieć Boga; nawet porządek moralny i społeczny zmieniony i zburzony, wszelkie przewroty nie zdołają ich oświecić."

Zrozumieją może kiedyś to wszystko, lecz wtedy może być już zapóźno, bo wielkie prawo Opatrzności, czuwającej nad światem, musi się spełnić. Dla jednostek i narodów nadejdzie chwila, że sprawiedliwość, prędzej czy później dosięgnie winnych, zawsze bowiem zło sprowadza nieszczęście.

Z rzezi galicyjskiej.

Opisując wioski górali polskich, przeniesionych ze Spiżu na Bukowinę, p. T. Zubrzycki podaje

w *Kurjerze lwowskim,* ciekawe szczegóły z życia smutnej sławy Jakóba Szeli.

W najbliższem sąsiedztwie górali — pisze p. Zubrzycki — żył ów ponury herszt rzezi galicyjskiej w r. 1846, Jakób Szela, który tak krwawemi głoskami zapisał się na karcie naszych dziejów porozbiorowych. Po r. 1846 rząd austrjacki, z obawy o swą „znakomitość"—jak go zwał Sacher-Masoch— przeniósł Szalę na Bukowinę, do dóbr kameralnych pod Solką, gdzie Szela mieszkał długie lata, na samej granicy między wsiami Glittem a Lichtenbergiem.

Góral polski z Pieszu, Józef Kurudz, jeszcze jako kilkunastoletni wyrostek, znał Szelę osobiście, i nie wiedząc, kto on taki, kilkakrotnie, wraz ze swym ojcem Michałem, odwiedził Szelę, a raz nawet tak im wypadło, że jadąc do Czerniowiec, zanocowali w jego chacie.

Otóż owego pamiętnego wieczora Szela rozruszał się jakoś, uczęstował gości kwaśnem mlekiem i kartoflami, które podano na pięknych, ze złoconemi brzegami talerzach; nadto uczęstował ich winem w srebrnych kubkach, na których widniały rozmaite inicjały. Opowiadał im cały przebieg „rabacji," skarżył się, że starosta tarnowski, Breindl oszukał go przy podziale łupów, dając mu tylko część zrabowanych klejnotów. Rząd, przeniósłszy Szelę na Bukowinę, wydzielił mu z dóbr kameralnych 60 morgów gruntu, zbudował chatę, nadto ofiarował dwie krowy, parę wołów, parę koni, narzędzia go-

spodarcze i 1,000 złr. gotówką. Szela użalał się dalej, że ludzie stronią od niego, uważając go za zwykłego zbójcę, księża nie chcą udzielić mu rozgrzeszenia.

Szela — jak go Kurudz opisuje — był to człowiek średniego wzrostu, silnie zbudowany i na zbójcę nie wyglądał. Na czole miał bliznę od cięcia siekierą. Blizna ta nie pochodziła z czasów „rabacji," lecz już podczas swego pobytu na Bukowinie był w swem własnem mieszkaniu napadnięty przez nieznanych mu ludzi i srodze poturbowany. Od tego czasu starostwo wydało mu pozwolenie noszenia broni.

Przy Szeli mieszkał syn Stanisław, który również brał udział w rzezi, i żona, trzecia z rzędu. Z nią miał jednego syna. W ostatnich latach życia Szela szczerze żałował swych czynów. Trapiły go wyrzuty sumienia, zjawiały mu się pomordowane ofiary — w końcu popadł w obłąkanie i w r. 1866 zakończył życie.

Drugi syn jego zmarł młodo, starszy Stanisław ożenił się z córką kolonisty niemieckiego, Szallera. I jemu się nie wiodło - ludzie nie przestawali omijać chałupy Szelów. Również jak ojciec, skończył w obłąkaniu i zmarł w r. 1892, pozostawiwszy po sobie trzech synów: Edwarda, Marcina i Jakóba — i córkę Elżbietę. Synowie pożenili się z niemkami, Elżbieta wyszła także za niemca, szynkarza w Lichtenbergu - dzieci ich wynarodowiły się zupełnie.

Na końcu wsi Glittu stoi po dziś dzień chata

Jakóba Szeli, którą każdy bukowiński góral polski z daleka obchodzi. Mieszka w niej najmłodszy syn Stanisława Szeli, Jakób, człowiek majętny. I o nim— podobnie, jak o jego dziadku — dobrze nie mówią w okolicy. Wnuk Szeli trudni się podobno lichwą.

NAUKA OPARTA NA DOWODACH.

Znaki szczególne poprzedzające koniec świata.

Boskie me serce czuwa nad ludźmi aż do ostatecznych czasów.

Był początek świata, będzie kiedyś i jego koniec. Ale kiedy nadejdzie ta straszna, ostateczna chwila? Kiedy słońce zagaśnie, księżyc utraci swe światło, niebiosa wstrząsną się, ziemia zaś i wszystko, co się na niej znajduje zostanie zniszczone przez straszną pożogę? Zbawiciel, przepowiadając to wielkie wydarzenie przyszłości, wyraźnie zaznaczył, że nikt oprócz Ojca Niebieskiego nie będzie wiedział ani dnia ani godziny [1]).

---

[1]) A o dniu onym albo godzinie żaden nie wie, ani Aniołowie w niebie, ani Syn, jedno Ojciec. (św. Marek XIII — 32).

Synowi Bożemu, jak mówi Bossuet, wiadomy jest ów dzień jako Bogu i jako człowiekowi; jako człowiekowi nie przystoi Mu tego wyjawiać. Jest to tajemnica, której wyjawienie Ojciec dla siebie zachował. *Rozmyślania nad Ewangelją*, 1 część, 78 dzień.

Wszelako chciał dać wiedzieć ludziom o zbliżaniu się go, zsyłając różne znaki szczególne.

Znaki owe wszelako zezwolił Bóg ludziom badać, a Jezus Chrystus nakazał nawet, kiedy mówił przez usta swych Apostołów: *Patrzcie, aby was kto nie zwiódł* (św. Marek XIII — 5). *Wy się tego strzeżcie. Otom ci wam wprzód wszystko powiedział* (św. Marek XIII — 23). *Strzeżcie się, czuwajcież, a módlcie się, bo nie wiecie, kiedy czas będzie.* (św. Marek XIII — 33).

Dorzuca jeszcze kończąc to opowiadanie prorocze: *„Także i wy, gdy obaczycie, iż się to dziać będzie, znajcież, żeć już blisko jest we drzwiach* (św. Marek XIII — 29). *A to gdy się dziać pocznie, poglądajcież a podnoście głowy wasze; boć się przybliża odkupienie wasze“* (św. Łukasz XXI — 38).

Odpowiadając Apostołom, którzy łączą dwa takie wypadki dziejowe: upadek Jerozolimy i koniec świata, jako mające się zejść w jednym czasie, boski Mistrz tłómaczy łączność zachodzącą pomiędzy nimi; nie wyprowadza ich jednak całkowicie z błędu, uważając to za zbyteczne. Plan boski był zdaje się następujący: ukryć przed wszystkimi dzień i godzinę Sądu ostatecznego, aby utrzymać ludzi w ciągłem oczekiwaniu, zsyłając im, jako wróżby ostatecznego końca, od czasu do czasu różne wstrząśnienia podobne do tych jakie kiedyś świat nawiedzą.

Otóż zburzenie Jerozolimy było właśnie jedną z symbolicznych figur czyli wypadków takich; Antychryst miał mieć jako swych poprzedników

wszystkich bezbożnych od czasu Juljana Apostaty aż do naszych czasów, gdy masoni wszelkimi sposobami zwalczają chrześcjanizm.

Także św. Jan Apostoł, przestrzega nas, *„jakoście słyszeli, iż Antychryst idzie i teraz Antychrystów wiele się stało: zkąd wiemy, iż jest ostatnia godzina.“* (św. Jan II — 18).

Objaśnienia podane tu, wytłómaczą nam po kolei różne cuda i przepowiednie, zwiastujące koniec świata i przedstawią o ile się one dotąd spełniły.

Głównych takich przepowiedni podaje nam Pismo święte i tradycje pięć:

1-o. *Obalenie państwa Rzymskiego.* W drugim liście swoim do Tessalończyków św. Paweł, mówiąc wiernym swoim o Antychryście, o jego bezbożności i fałszywych cudach: *„Niech was nikt nie zwodzi żadnym sposobem; albowiem nie przyjdzie, jeśli pierwej nie przyjdzie odstąpienie, i będzie objawion człowiek grzechu, syn zatracenia.“* (List do Tessal. II — 3). Ojcowie Kościoła pierwszych wieków w tradycjach apostolskich jednozgodnie mówią o buntach i powstaniach przeciwko państwu Rzymskiemu i o jego obaleniu: dowodzą oni też, że dopóki trwać będzie państwo to, dopóty Antychryst nie zejdzie na ziemię. Otóż państwo Rzymskie nie istnieje: dla Antychrysta droga otwarta.

Drugą przepowiednią końca świata jest *Ogłaszanie Ewangelji* po całej kuli ziemskiej. Czyż nie należało by koniecznie, żeby wszyscy ludzie na zie-

mi słyszeli naukę o prawdziwej wierze i nikt nie śmiał wymawiać się jej nieświadomością? *„I będzie przepowiedziana ta Ewangelja królestwa po wszystkiej ziemi, na świadectwo wszystkim narodom, a tedy przyjdzie koniec.“* (św. Mateusz XXIV — 14).

Otóż, nie można zaprzeczyć, żeby w dzisiejszych czasach słowa Ewangelji nie rozbrzmiewały po całym świecie. Ameryka, Australja z licznemi wyspami nawiedzane są stale przez naszych misjonarzy, którzy głoszą słowo Boże! Słowa Ewangelji rozbrzmiewają po całej Azji, po Indjach, Chinach, Korei, Japonji... Jedynie centralne niziny wysokiej Azji i środkowa Afryka nie słyszały dotąd głosu posłanników Boga, ale teraz już są śmiałkowie, którzy zachodzą w te nieznane i dzikie strony, torują drogę misjonarzom; miejmy nadzieję, że niedługo nie znajdzie się zakątka na całej kuli ziemskiej, dokąd by słowa Ewangelji nie doszły. Czyż prześladowanie, które surowo obchodzi się we Francji z wiernymi wierze, nie przyśpieszy tego wielkiego wydarzenia w dziejach świata? Wypędzeni księża i zakonnicy rozchodzą się w różne odległe strony i rozgłaszają słowo Boże; w ten to właśnie sposób najzaciętsi nieprzyjaciele chrystjanizmu bezwiednie przyczyniają się do jego propagandy. Jeżeli od pierwszych wieków *po wszystkiej ziemi rozszedł się głos ich i na kraje świata słowa ich.* (List św. Pawła do Rzymian X — 18), to dziś, gdy widnokrąg ziemski na wsze strony się rozszerzył, czyż słowa te wyjęte z Ksiąg św. wkrótce się nie sprawdzą?

Trzecim znakiem jest *Przepowiednia Enocha* (Malachiasz IV — 5.) *i Eljasza* (Mateusz XVII — II), którzy po zwaleniu fałszywych doktryn Antychrysta będą przez niego zabici, a następnie wskrzeszeni przez Jezusa Chrystusa po trzech i pół dniach po śmierci. Izrael wtedy otworzy oczy na światło i uwielbiać będzie tego, którego ukrzyżował. W ostatnich czasach pewna liczba żydów nawróciła się, na czele ich stanęli dwaj Ratisboni i dwaj bracia Leman, lecz przykłady te nie miały wielu naśladowców. Trzecia więc przepowiednia nie spełniła się jeszcze.

Z czwartą przepowiednią *Odstępstwem narodów* (św. Łukasz XVIII — 8. Tessal. II — 3) inaczej się dzieje. Dopełnia się ona w lożach masońskich z przerażającą szybkością. Gdzież mamy w naszych czasach te narody istotnie katolickie? Dawniej można było jako przykład postawić Francję, dziś niestety! byłby bardzo krótkowidzącym a nawet ślepym ten, ktoby w prawie rozdziału Kościoła z Państwem nie widział wyparcia religji, Słowa bożego, czyli krótko powiedziawszy, odszczepieństwa narodowego. Bóg został usunięty przez rząd świętokradzki, który go nie uznaje.

Odszczepieństwo toruje drogę *Antychrystowi* (II. Tessal. II — 3). Lecz dni jego są naprzód policzone: Daniel i św. Jan uczą nas, że panować on będzie we wszechświecie przez czterdzieści dwa miesiące, czyli przez trzy lata i pół, następnie upadnie jak najnędzniejszy zbrodniarz do nóg Chrystusa, Mistrza swego i Sędziego.

Oprócz tych pięciu głównych przepowiedni, po których spełnieniu całkowitem nastąpić ma zagłada i obalenie świata, są jeszcze i inne, które, rozproszone w czasie i przestrzeni, wróżą koniec ostateczny.

Według Ewangelji te główne wróżby są następujące: Rozruchy (św. Marek XVIII — 9 i 12), wojny i wieści, (św. Marek XIII — 7), powstania narodów przeciwko narodom, mory, głody, trzęsienia ziemi po miejscach. (św. Mateusz XIV — 7).

Wszystkie te wróżby tłómaczy w następujący sposób głęboki myśliciel, R. P. Desurmont: [1]).

Rozruchy: Małoż ich jest za dni naszych? Czy nasze społeczeństwa są rewolucyjne, czy też spokojne?

Wojny: Czyż ich nie było w ostatnich czasach? Czy wiek nasz był wiekiem pokoju, czy też wiekiem wojny?

Wojny i wieści: Czyż ludy mają zapewnioną przyszłość? czy też stale tylko mówi się o wojnach, ciągle się ich wyczekuje?

Powstania narodów przeciwko narodom: Czyż za dni naszych nie widzi się walk ustawicznych?

---

[1]) T. R. P. Achilles Desurmont, Redemptorzysta, doświadczał czuwającej ręki Opatrzności nad zakonem swym przez całe ćwierć wieku. Przez 40 lat życia apostolskiego głosił zasady Ewangelji, oraz duchowieństwo francuzkie nauczał. Umarł świętobliwie dnia 23 lipca 1898 roku. *Jego żywot,* tak bardzo upragniony przez tych, którzy go bliżej znali, wyjdzie w niedalekiej przyszłości.

Czy żyjemy tak jak dawniej ludzie żyli, kiedy każd odpoczywał po pracy w swej winnicy albo w cieni drzewa figowego, a narody miały do swej obron jedynie nieliczne grupy uzbrojonych żołnierzy?

Morowe zarazy: Czyż influenza, łagodniejsz od morowej zarazy, nie szerzy spustoszenia wokoło

Głody: Czyż niema ich stale na pewnych okolicach chociażby w Chinach i Indji?

Trzęsienia ziemi: Nie stałyż się one częstem zjawiskami? Czyż nie nawiedzają wielu miejscowości, aby spełniły się słowa Zbawiciela: *Terroe motus per loca.* (Albowiem powstanie naród przeciwko narodowi, i królestwa przeciwko królestwu; i będą mory i głody, i drżenia ziemi po miejscach, (św. Mateusz XXIV — 7).

Czy na wszystkie postawione tu przez nas pytania może być dana ogólna odpowiedź? A czyż odpowiedź ta nie byłaby taka: wszystko to doprowadzi do twierdzenia, że świat dąży do jednego z najstraszniejszych kryzysów, jakiego dotąd nie było jeszcze; może właśnie ku przyjściu Antychrysta we własnej swojej osobie?

Niechajże te przypuszczenia i te wątpliwości nie wzruszają nas nadmiernie, bo z drugiej znów strony nic nas nie utwierdza w mniemaniu, że po zejściu na ziemię najstarszego syna szatana, ludzkość przez długie lata nie ujrzy tryumfu Chrystusa. Z innej znów strony, gdy zbliżają się te czasy zamięszania, dzieci Boże widzą w tych nieszczęściach

klęskach cudowną tajemnicę Sprawiedliwości Najyższego [1]).

Mniemanie to nie jest bezpodstawne, jak również i zdanie Mgr. de Ségur którego nazwał Pius IX *Ślepym jasnowidzącym.*

„Nie jestem prorokiem, mówił on, i nie chcę prorokować, lecz twierdzę, że ci nawet, którzy mają mało wiary, zgodzą się ze mną, że widoczne zbliżanie się ku dniom ostatecznym jest zgodne z proroctwami niezawodnemi Pisma świętego“ [2]).

Nikt nie może być nieświadomym sławnego objawienia w La Salette i nauki jaka ztąd dla nas wypływa. Dnia 19 września 1846 r. Najśw. Panna powierzyła, ze łzami w oczach, dwóm małym pasterkom *wielką nowinę,* którą dwukrotnie zaleciła im powtórzyć i ogłosić ludowi swemu.

Pod znakiem, ciążącej ręki Syna swego, boska posłanniczka ogłosiła światu całemu, a Francji w szczególności, różne klęski, oznaki i zapowiedzi sądu ostatecznego.

Wszelako zauważyć należy, że żadna z tych zapowiedzi nie określa w przybliżeniu nawet czasu, kiedy ma nastąpić ten ostateczny koniec. Groźby i zapowiedzi te prorocze były warunkowe, a spełnienie się pozostało zależnem od woli ludzi, którzy mają zawsze otwartą drogę powrotu do Boga i do pokuty za grzechy.

---

[1]) R. P. Desurmont, *Opatrzność Boża,* str. 445.

[2]) *Wiara wobec nauki modernistycznej.*

Czy można powiedzieć, że boskie te ostrzeż
nia Najśw. Panny nawróciły świat i Francję? Czy
nie posądzono by o lekkomyślność tych, którzy za
pewniają, że ręka Boża nie jest bezbronną, i dotkni
czasy nasze jeszcze większemi klęskami? Teraźnie
sze nieszczęścia potwierdzają te obawy.

Wszelako, nie chcąc nawet wyjawiać naszeg
zdania o niewiadomym nam przedmiocie, nie powi
niśmy tracić nadziei, że Matka Boża nie napróżn
zstępowała do nas trzykrotnie w ciągu jednego stu
lecia z tronu swego, gdzie wiecznie króluje w try
umfie i chwale. Nie napróżno zniżyła się do na
dzieci swych niegodnych, poto żeby wzruszyć serc
zatwardziałe i powstrzymać tym sposobem rękę
gotową każdej chwili wymierzyć cios straszny [1]).

W tym razie będą mogły być sprawdzon
twierdzenia tych, którzy mniemają, że Sąd Boży ni
jest bliski, bo trzeba przyznać, że wielu nie przy
puszcza nawet zbliżania się jego. Świat, dowodzą on
musiał czekać na Twórcę swego tysiące lat, czyż t
jest prawdopodobne, żeby tak prędko zginął? Zby
wielka byłaby różnica pomiędzy czasem poprzedza

---

[1]) W La Salette Matka Boża oświadcza, że gniew Syn
jej może lada chwila wybuchnąć; w Lourdes — dla powstrzyman
ciosu nakazuje pokutę: *„Pokuta, pokuta, pokuta,“* przez us
Bernadety. W Pontmain, zawsze w tym samym celu, zaleca us
nie modlitwę: *Proście, dzieci moje, Syn Mój wysłucha waszeg
wołania.*

jącym przyjście Zbawiciela, a panowaniem Jego na ziemi.

Jakkolwiek stać się może, czy przeciąg czasu dzielący nas od Sądu ostatecznego jest krótszy lub dłuższy, wiemy tylko jedno, i śmiało twierdzić to możemy, że wiele znaków szczególnych, jakie miały poprzedzić ostateczny koniec, już się dotąd spełniły.

Tak jak ludzi uprzedza Bóg o zbliżającej się śmierci, zsyłając choroby, uwiądy starcze i wycieńczenie, połączone z upadkiem sił, tak samo ludzkość chciał różnemi wypadkami nadzwyczajnymi przestrzedz, że koniec świata się przybliża. Ostrzeżenia te niekiedy tak silnie oddziaływały na ludzi, że zdawało się im, jakoby nadchodził kres ich istnienia. Mylili się oni niezawodnie, lecz nie mają racji mowić: „Od tylu wieków głoszą koniec świata, a niema go, nie warto nim głowy sobie zaprzątać!“ Dowodzenie odwrotne może tu być zastosowane i będzie dużo racjonalniejsze: „Ponieważ od bardzo dawna zapowiadają nam koniec, kiedyś nareszcie przybliży się on do nas.“

Bóg rzucił zasłonę na epokę, kiedy wypadek ten spełni się, lecz zasłona ta, choć powoli, rozrywa się i opada.

„Jezus Chrystus będąc Bogiem, powiemy za Ludwikiem Veuillot na zakończenie, mógł boską

swoją dobrocią przepowiedzieć, a w wielkiem swem miłosierdziu uprzedzić nas i wskazać pewne znaki, zwiastujące bliski koniec świata, lecz w wielkiej swej mądrości zaniechał określenia czasu, aby ludzie, wiecznie go oczekując, byli zawsze w pogotowiu [1]).“

---

[1]) Życie Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, str. 368.

KONIEC.

Date Due

PRINTED IN U. S. A.